

Suzanne Enoch

Spotkania o północy

1

Lady Victoria Fontaine odrzuciła głowę w tył i wybuchnęła śmiechem.

- Szybciej, Marley!

Wicehrabia mocniej objął ją pod kolanami i zaczął wirować w iście szalonym tempie. Inne pary czmychnęły z parkietu, mimo że muzyka zapraszała do kadryla. Zazdrosne szepty zgromadzonych zlewały się ze sobą, postacie stanowiły zamazaną plamę. Rodzice po raz ostatni zamknęli ją w domu na trzy dni. Nauczyć ją powściągliwości... Też coś! Rozpostarła ramiona, śmiejąc się bez tchu.

- Szybciej!

- Kręci mi się w głowie - wysapał partner głosem stłumionym przez warstwy zielonego jedwabiu.

- W drugą stronę!

- Vix, do diaska!

W tym momencie Marley zatoczył się i runął razem z dziewczyną na wywoskowaną podłogę sali balowej.

Na pomoc natychmiast pospieszył jej tłum wielbicieli. Biedny wicehrabia usunął się z drogi, żeby go nie podeptali.

- Ale zabawa! - wykrztusiła Victoria ze śmiechem.

Zachwiała się gwałtownie. Pokój wirował wokół niej, podłoga falowała.

- Uważaj, Vixen! - zawołał Lionel Parrish, przytrzy-

mując dziewczynę za ramię. - Omal nie pokazałaś niewymownych diukowi Hawling. Nie możemy pozwolić, żebyś znowu upadła i przyprawiła go o apopleksję.

- Czuję się jak nakręcony bąk. Pomóż mi dojść do krzesła.

Tymczasem kilku adoratorów Victorii zlitowało się nad Marleyem i dźwignęło go z podłogi. Po chwili wicehrabia opadł na krzesło obok swej partnerki.

- Do licha, przez ciebie nabawiłem się morskiej choroby.

- Jesteś słabowity - stwierdziła, łapiąc oddech. - Proszę, niech ktoś przyniesie mi ponczu.

Połowa świty od razu popędziła do stołu, druga czym prędzej zajęła zwolnione miejsca. Tymczasem muzycy zaczęli grać kontredansa. Gdy parkiet się zapełnił, Lucy Havers wymknęła się spod matczynych skrzydeł i podbiegła do przyjaciółki.

- Nic ci się nie stało? - spytała z niepokojem, biorąc ją za rękę.

- Nic. Marley własnym ciałem złagodził upadek.

Pechowy partner Spiorunował ją wzrokiem.

- Gdybyś była postawną kobietą, już bym nie żył.

- Przede wszystkim nie dałbyś rady mnie podnieść - odparowała i zwróciła się do Lucy: - Czy moja fryzura jest do uratowania?

- Chyba tak. Zgubiłaś grzebień.

- Ja go mam, Vixen - oznajmił lord William Landry, unosząc w górę delikatny przedmiot z kości słoniowej. - Oddam ci... w zamian za pocałunek.

To dopiero niespodzianka! Poprawiając loki, które opadły na jedną stronę, posłała trzeciemu synowi diuka Fenshire chytry uśmiech.

- Tylko za pocałunek? To moja ulubiona ozdoba.
- Później możemy porozmawiać o innej nagrodzie, ale na razie pocałunek wystarczy.

- Dobrze. Lionelu, pocałuj lorda Williama w moim imieniu.

- Nie! Nawet za pięćset funtów!

Wszyscy się roześmiali, a Victoria westchnęła w duchu. Wiedziała, że im dłużej będzie się z nim droczyć, tym bardziej będzie się upierał, że jest mu coś winna... a zresztą naprawdę lubiła ten grzebień. Wstała, podszła do Landry'ego, stanęła na palcach i musnęła wargami jego policzek. Odsunęła się pospiesznie, żeby nie sięgnął do jej ust. Cuchnął brandy.

- Poproszę o moją zgubę - zażądała, wyciągając rękę.

Nie mogła się powstrzymać od uśmiechu zadowolenia.

- To się nie liczy - zaprotestował William, wyraźnie rozczarowany.

Towarzystwo parsknęło śmiechem.

- Moim zdaniem to był pocałunek - stwierdził Marley.

- Cii - syknęła Lucy. - Lady Franton znowu na nas łypie.

- Stara jędza - mruknął Landry i oddał grzebień właścicielce. - Sztywna jak nieboszczyk.

- Może trzeba by ją poobrać w tańcu - podsunęła dziewczyna, chichocząc.

- Przydałoby się jej jeszcze parę innych rzeczy - dorzucił wicehrabia. - Ałe sam wolałbym być nieboszczykiem, niż próbować ją rozruszać.

Lucy oblała się szkarłatnym rumieńcem, a Yictoria

uderzyła Landry'ego wachlarzem po rękę. Nie miała nic przeciwko frywolnym rozmowom, ale nie chciała również, żeby uciekło od niej w popłochu tych niewielu cywilizowanych przyjaciół, których miała.

- Przestań!

- Auu! - Skarcony potarł kostki. - Znowu bronisz słabych i uciśnionych? Lady Franton trudno do nich zaliczyć.

- Nie zamierzam wysłuchiwać twoich głupich uwag - oświadczyła, lekko zirytowana.

- Słyszałeś, Marley, zrób miejsce dla następnego - powiedział Parrish.

Rywale hurmem rzucili się na zwolnione krzesło, a Victoria wcale nie była pewna, czy tylko żartują. Prawdę mówiąc, zaczynali ją nudzić. Areszt domowy raptem wydał się jej atrakcją. No, prawie.

- Postanowiłam złożyć śluby - oznajmiła.

- Mam nadzieję, że nie czystości - wtrącił Landry. Jego uwagę skwitował wybuch śmiechu.

- To nie pora na tego rodzaju rozmowę - zauważył Lionel, przysuwając się do Lucy.

- Uważaj na kostki, Williamie - dodał Marley, na wszelki wypadek zabierając rękę.

Dobrze, że jej rodzice podziwiali teraz nowe nabytki w galerii portretów lorda Frantona, bo po uwadze Landry'ego natychmiast posłaliby córkę do klasztoru.

- Od tej pory zamierzam konwersować wyłącznie z miłymi mężczyznami.

Reakcją na jej oświadczenie była konsternacja. Dopiero po chwili Stewart Haddington parsknął śmiechem.

- Ale kogo znasz oprócz nas, łotrów, Vixen?

- Hm, to rzeczywiście jest kłopot. Marley, na pewno znasz paru miłych dżentelmenów. No wiesz, takich, których zwykle unikasz.

- Znam kilka żywych trupów, ale zanudzą cię na śmierć w ciągu sekundy.

Spróbował odzyskać swoje zwykłe miejsce u jej boku, ale cofnęła się, udając, że chce coś szepnąć Lucy. Nie mogła otrząsnąć się z wrażenia, że zna na pamięć wszystkie te żarty, przekomarzania i zabawy.

- Skąd wiesz?

- Mili dżentelmeni są nudni, moja droga. Dlatego właśnie jesteś ze mną.

- Z nami - sprostował lord William.

Victoria zmierzyła ich wzrokiem. Niestety Marley miał rację. Sympatyczni mężczyźni byli sztywni i ograniczeni, podobnie jak ich repertuar komplementów na temat jej wyglądu oraz niemal obraźliwych uwag co do jej intelektu. Hulacy i dranie przynajmniej nosili ją na rękach.

- Toleruję was tylko dlatego, że nie macie się gdzie podziać - oznajmiła wyniośle.

- Smutne, ale prawdziwe - przyznał Lionel bez cienia urazy. - Należy nam współczuć.

- Ja wam współczuję - powiedziała Lucy ze śmiechem i znowu się zarumieniła.

Parrish pocałował ją w rękę.

- Dziękuję, moja droga.

- Dobry Boże! - szepnął Marley, spoglądając w drugi koniec sali. - Nie wierzę własnym oczom.

W tym momencie Victoria dostrzegła obiekt jego zainteresowania.

- Kto to jest? - zapytała cicho i nagle sobie uświadomiła, że serce tłucze się jej o żebra.

Lucy też się obejrzała.

- Kto... O rany, Vixen, on patrzy na ciebie!

- Nie sądzę.

- Drań - warknął Marley pod nosem.

Mężczyzna wydawał się znajomy, ale Victoria była pewna, że nigdy wcześniej go nie widziała. W dusznej sali balowej lady Franton pojawił się grecki bóg. Elegancki ciemnoszary strój i pewny krok świadczyły, że jest arystokratą. Sposób, w jaki zerkał na Victorię, jednocześnie witając się ze znajomymi, wskazywał, że to uwodziciel. Ale przecież znała wszystkich uwodzicieli w Londynie i na widok żadnego z nich nie drżała z napięcia, a krew żywiej nie krążyła jej w żyłach.

- Sin we własnej osobie - stwierdził lord William.

- Althorpe - zawtórował mu Lionel.

- Althorpe? Brat Thomasa?

- Słyszałem, że syn marnotrawny wrócił - powiedział Marley, biorąc od lokaja kieliszek madery. - Pewnie skończyła mu się gotówka.

- Albo wypędzili go z Italii - dodał Landry, z ponurą miną obserwując lorda Althorpe, który zmierzał w ich stronę.

- Sądziłem, że rozbijał się po Hiszpanii.

- A ja, że po Prusach.

- Czy można człowieka wygonić z kontynentu? - zainteresował się William.

Wokół nich rozbrzmiewały podobne szepty i spekulacje, mieszając się z tonami kontredansa. Victoria słuchała ich jednym uchem. Śmieszne.

Mężczyźni często się jej przyglądali, lord Althorpe nie stanowił w tym względzie wyjątku.

- Jest bardzo podobny do brata - stwierdziła cicho, usiłując zapanować nad sobą. - Choć Thomas był jaśniejszy.

- Duszę też miał jaśniejszą - rzucił cicho Landry i postąpił dwa kroki na spotkanie nowego gościa. - Althorpe. Co za niespodzianka!

Markiz się uklonił.

- Lubię niespodzianki.

Victoria nie mogła oderwać od niego wzroku, jak zapewne każda kobieta obecna na sali. Spotkała w życiu wielu uwodzicieli, ale żaden nie sprawiał wrażenia aż tak... niebezpiecznego. Ten emanował siłą i pewnością siebie. Szary frak z najprzedniejszego materiału podkreślał jego szerokie ramiona i wąskie biodra. Pod czarnymi spodniami rysowały się muskularne uda. Oczy o barwie starej whisky omiotły grono adoratorów Victorii nieprzychylnym spojrzeniem. Wydawało się, że zaraz przetrzuci ją sobie przez ramię i wyniesie z pokoju, ale zamiast tego uprzejmie pozdrowił wszystkich towarzyszących jej mężczyzn.

Dźwięk niskiego głosu sprawił, że po plecach Victorii przebiegł dreszcz, a na widok niesforne go kosmyka czarnych "włosów" naszała ją ochota, żeby odgarnąć go z opalonego czoła. Gdy zmysłowe wargi wykrzywił lekki uśmiech, w głowie zakreśliło się jej mocniej niż w czasie szalonego tańca.

- Vixen, Lucy, pozwólcie, że przedstawię wam Sinclaira Graftona, markiza Althorpe - powiedział William. - Althorpe, lady Victoria Fontaine i panna Lucy Havers.

Markiz przyjrzał się Vix badawczo, po czym ujął jej dłoń i złożył głęboki ukłon.

Gdy w taki sam sposób przywitał się z Lucy, Victorię przeszły nieznane do tej pory ukłucie zazdrości. Nie chciała dzielić się swoim nowym odkryciem. Z nikim.

- Proszę przyjąć moje kondolencje z powodu brata - odezwała się pospiesznie.

- Dziękuję, lady Victorio. Słyszałeś, Marley, że...

- Złożyłabym je wcześniej, ale był pan nieobecny. Althorpe zmierzył ją wzrokiem.

- Gdybym wiedział, że pani czeka w Londynie, żeby mnie pocieszyć, wróciłbym już dawno - powiedział.

- Co sprowadza cię do Londynu? - zapytał wiehrabia niezbyt przyjaznym tonem.

Nie potrzebował dodatkowego rywala. W czasie ostatnich dwóch sezonów wśród wielbicieli Victorii wytworzyła się pewna hierarchia, a największymi przywilejami cieszył się Marley. Ona nie protestowała, bo żaden z pozostałych adoratorów nie budził w niej szczególnych emocji. Ponadto starała się unikać niepotrzebnych konfliktów.

- Sporo czasu minęło od mojej ostatniej wizyty, a teraz kiedy odziedziczyłem tytuł...

- O ile sobie przypominam, ma pan tytuł od dwóch lat - przerwała mu znowu, lekceważąc zdziwione spojrzenie Lucy.

Do licha, nie chciała, żeby poszedł z Marleyem na drinka, żeby rozmawiał z nim o kobietach i zakładach.

Sięgała mu zaledwie do ramienia, tak że musiała zadzierać głowę, żeby spojrzeć mu w oczy. Dostrzegła w nich dziwny błysk, ale zniknął tak szyb-

ko, że nie była pewna, czy się jej nie przywidziało.

- Istotnie. Jest pani zainteresowana rodem Althorpe? - spytał, przeciągając zgłoski.

- Pański brat był moim przyjacielem.

Tym razem jego wzrok rzeczywiście stał się czujniejszy.

- Tak? Nie przypuszczałem, że utrzymywał kontakty z osobami, które chodzą bez laski.

Gruboskórna uwaga zaskoczyła ją i oburzyła.

- Thomas nie...

- Może porozmawiamy w czasie walca - zaproponował.

Znowu przebiegł ją dreszcz.

- Ten taniec należy do pana Parrisha.

Niezwykle przystojny Sinclair Grafton był kolejnym zarozumiałym uwodzicielem.

- Nie masz nic przeciwko temu, że cię zastąpię, Parrish, prawda? - rzucił.

- Nie, o ile Vixen się zgadza - odparł Lionel dyplomatycznie.

- Ja się nie zgadzam - wtrącił Marley.

- To nie twój walc. - Markiz wyciągnął rękę władczym gestem. - Lady Victorio?

Jego maniery przeczyły wyglądowi, ale tego wieczoru już zrobiła z siebie widowisko, więc tylko zacisnęła zęby i podała mu dłoń. Jego dotyk zrobił na niej piorunujące wrażenie. Była ciekawa, czy lord Althorpe czuje to samo co ona.

- Bardzo niegrzecznie potraktował pan Lionela - stwierdziła.

- Doprawdy? - Objął ją w talii. - Po prostu skorzystałem z okazji.

- Jakiej?

- Chodziło mi o panią. A potrzebuję innego powodu?

Westchnęła rozczarowana. Kolejny uwodziciel i wyświechtane banały.

- Więc ze wszystkich obecnych dam postanowił pan zatańczyć walca akurat ze mną.

- Mam doskonały gust.

- Albo inne odmówiły, znając pańską reputację.

W jego oczach znowu pojawił się na moment dziwny wyraz.

- Pani ją zna, a mimo to tańczy ze mną.

- Nie zostawił mi pan wyboru.

- Opór byłby bezcelowy. Jak pani widzi, jestem uwodzicielem, któremu żadna kobieta nie zdoła odmówić.

- Co panu po tańcu?

Udał, że się zastanawia.

- Walc to dopiero początek.

Potknęła się i oparła o partnera, tak że ich biodra się zetknęły. Oblał ją war, w głowie zawirowało jeszcze mocniej niż wtedy, gdy pierwszy raz go zobaczyła.

Nie umiałyby zliczyć, ile razy próbowano ją oczarować. Znała wszystkie sztuczki i reguły gry, ale teraz, o dziwo, wcale nie chciała jej przerwać.

- Musiałbym być głupcem albo nieboszczykiem, żeby nie mieć wobec pani dalszych planów, lady Victorio. - Jego niski, zmysłowy głos świadczył o wielkiej pewności siebie.

Po plecach przebiegł jej dreszcz oczekiwania.

- Nie uda się panu zrobić na mnie wrażenia.

W jego oczach zabłysła wesołość.

- Założę się, że potrafiłbym. Żywiołowego tańca nie nazwałbym skandalicznym zachowaniem.

Nie miała pojęcia, że markiz już tak długo jest na balu u Frantonów. Powinna była wyczuć jego obecność, gdy tylko wszedł do sali.

- Więc proszę mną wstrząsnąć, lordzie Althorpe. Opuścił wzrok na jej usta.

- Zaczniemy od pocałunków. Gorących, powolnych, od których pani stopnieje.

O niebiosa!

- Może powinien pan zacząć od wyjaśnienia, dlaczego chce mnie pan pocałować, skoro pięć minut wcześniej bardziej pana interesowała rozmowa z Marleyem niż taniec ze mną.

Nie pomylił kroku ani nie zmienił wyrazu twarzy, ale zdołała przykuć jego uwagę. I zrozumiała, dlaczego wcześniej nie wyczuła jego obecności. Po prostu nie chciał się ujawnić.

- W takim razie musi mi pani pozwolić naprawić błąd - stwierdził ściszym głosem i rozejrzał się po zatłoczonej sali balowej. - Zna pani... ustronne miejsce, gdzie mógłbym panią przeprosić?

Jeszcze nikomu nie udało się onieśmielić Vixen Fontaine. Poza tym nie zamierzała pozwolić mu uciec. Nie teraz.

- Lady Franton na pewno pozamykała na klucz wszystkie odosobnione pomieszczenia.

- Do diaska! - Rzucił posępne spojrzenie na jej wielbicieli. - Będziemy musieli udać się do...

- Jej słynnego ogrodu - dokończyła.

Niech teraz spróbuje się wycofać.

Lecz zamiast wymyślić jakiś pretekst, żeby zo-

stać w bezpiecznym miejscu, wśród ludzi, uśmiechnął się wyzywająco.

- Tak. Czy mogę przeprosić panią w ogrodzie, lady Victorio?

Och! Odmowa nie wchodziła w rachubę, skoro sama podsunęła ten pomysł.

- Nie domagam się przeprosin - odparła lekkim tonem. - Zadowolę się wyjaśnieniem.

Już dotarli do rzędu uchylonych okien balkonowych i pozostawało jedynie wymknąć się przez jedno z nich. Egzotyczny ogród lady Franton od lat cieszył się zasłużoną sławą i gdyby nie to, że Victoria dobrze go znała, w nocy zgubiłaby się dwadzieścia stóp od domu. Rozmieszczone tu i ówdzie pochodnie oświetlały kamienne alejki, które dochodziły do ścieżki biegnącej wokół małego stawu.

Przypuszczała, że teraz Althorpe wycofa się z zabawy. Pewnie tylko się z nią drażnił. Nikt nie wprowadza na oczach zgromadzonych córek hrabiego z sali balowej, żeby je uwieść.

Jednocześnie miała nadzieję, że spełni obietnicę. Zapomniała o nudzie. Marzyła o tym, żeby jego dotykiem rozpałił jej zmysły tak jak wcześniej głos i słowa.

- Pańskie wyjaśnienie, milordzie? - ponagliła go.

- W odpowiednim czasie.

Wziął ją za łokieć i poprowadził ścieżką okrążającą staw.

Choć nie ścisnął jej mocno, wyczuwała jego siłę. Wiedziała, że nie zdołałaby mu się wyrwać, lecz wcale jej nie przerażał, tylko podniecał jak jeszcze żaden mężczyzna. Zastanawiała się, jak smakuje jego usta.

Stanęli pod purpurowymi, zwieszającymi się

kwiatami wistarii. Powietrze przesycił ich ciężki, słodki zapach. Markiz odwrócił się twarzą do dziewczyny, ale nie puścił jej łokcia.

- Na czym to stanęliśmy? - zapytał cicho. - A, tak. Jestem pani winien wyjaśnienie.

Jego oczy lśniły w blasku pochodni. Victoria wyraźnie czuła jego bliskość, zdawała sobie sprawę, że celowo wybrał miejsce pod ciężkimi gałęziami krzewu. Ciszę zakłócał odległy, stłumiony szmer głosów, dźwięki smyczków i szum wiatru.

- Myliłam się - powiedziała, siłąc się na swobodny ton.

Przesunął wzrokiem po jej sylwetce, wrócił do twarzy.

- W jakiej sprawie?

- Kiedy pana zobaczyłam, pomyślałam, że jest pan podobny do brata. Ale to nieprawda.

Odgarnął lok z jej czoła.

- Jak dobrze pani znała starego piernika?

Od lekkiego muśnięcia Victorię przebiegł dreszcz. Ta mimowolna reakcja wprawiła ją w zakłopotanie, bo jednocześnie uraził ją jego brak delikatności.

- Markiz Althorpe był bardzo szanowany.

Palec przesunął się na policzek.

- To dopiero nowina.

- Nie rozumiem, dlaczego tak źle pan mówi o swoim bracie, podczas gdy wszyscy go podziwiali.

- Widać nie wszyscy. Ktoś wsadził mu kulkę w głowę.

Victoria zeszywniała.

- Nie obchodzi pana, że brat nie żyje?

Sinclair Althorpe wzruszył ramionami.

- Nie przywrócę go do życia. - Dotknął płątką jej ucha. - Czy dobrze słyszałem, że Marley nazwał panią Vixen?

- Czy cała rozmowa miała na celu zaciągnięcie Vixen Fontaine do ogrodu, żeby później chwalić się tym przed przyjaciółmi?

Markiz znieruchomiał na moment, po czym pieszczotliwie musnął kciukiem kącik jej ust.

- A jeśli nawet tak? - Zmysłowe wargi wykrzywiły się w uśmiechu, od którego zaparło jej dech. - Tyle że ja nie mam żadnych przyjaciół. Wyłącznie rywali.

- Więc chce mnie pan pocałować.

- Chyba to pani nie dziwi. - Przekrzywił głowę i opuścił wzrok na jej wargi. - Na pewno już się pani całowała. Na przykład z Marleyem?

- Wiele razy. I nie tylko z Marleyem.

- Ale nie ze mną.

Przywykła do panowania nad własnymi emocjami i nad mężczyznami, z którymi się spotykała. Ale kiedy Althorpe wpił się wargami w jej usta, zalała ją fala gorąca, w głowie zawirowało mocniej niż w czasie tańca.

Markiz objął dłońmi jej twarz, a ona z głębokim westchnieniem zarzuciła mu ręce na szyję. Powoli odchylił ją do tyłu, aż oparła się plecami o sękaty pień. Ciepłymi dłońmi zaczął pieścić ramiona dziewczyny, po czym przesunął ręce na talię, biodra i niżej. Wplotła palce w jego włosy. Słyszała tylko ich urywane oddechy i szum własnej krwi w uszach. Dobrze, że miała za sobą drzewo, bo nie ustałaby o własnych siłach. W pewnym momencie poczuła chłodny powiew na nogach.

- Victorio!

Sądząc po wściekłości przebijającej w głosie, ojciec, hrabia Stiveton mógł ją wołać od jakiegoś czasu, ale usłyszała go dopiero teraz. Odsunęła się gwałtownie od markiza i zaczerpnęła tchu.

- Tak, ojczy?

Basil Fontaine stał po drugiej stronie stawu i łypał na nią groźnie. W dłoni ścisnął kieliszek madery.

- Co ty wyprawiasz, na litość boską? Zabierz od niej rękę, Althorpe!

Markiz bez pośpiechu opuścił rękę. W miejscach, gdzie jej dotykał, skóra ją paliła.

Victoria chciała na niego zerknąć i przekonać się, czy pocałunek zrobił na nim takie samo wrażenie jak na niej, ale oparła się pokusie. Zwykle to ona doprowadzała mężczyzn do szaleństwa. Nie powinno być na odwrót.

- Zapewne lord Stiveton - powiedział Althorpe, przeciągając zgłoski.

- Nie zamierzam przedstawiać się panu w takich okolicznościach! Precz od mojej córki!

Victoria powoli odzyskiwała zdolność myślenia. Ojciec nienawidził scen, zwłaszcza z jej udziałem. Na pewno nie wrzeszczałby i nie tupał nogami, gdyby nie było już za późno na zachowanie dyskrecji. Najwyraźniej próbował ratować swoje dobre imię. Obejrzała się i serce w niej zamarło.

- Niech to diabli! - wyszeptęła.

- Nie taki koniec sobie wyobrażałem - mruknął Althorpe, wcale nie zbity z tropu.

Na drugim brzegu jeziora stali chyba wszyscy goście lady Franton, szepcząc, chichocząc i poka-

zując ich palcami. Wyglądało na to, że świadkiem najnowszego wybryku Victorii było pół Londynu.

- Jak śmie pan traktować moją córkę w taki sposób!

Z tłumu wyszła jej matka i stanęła u boku męża.

- Jak mogłaś, Victorio? Rób, co każe ojciec, i odsuń się od tego łotra!

Victoria usiłowała pozbierać myśli. Nadal czuła się oszołomiona.

- To tylko pocałunek, mamó - powiedziała, siłąc się na spokojny ton.

- Tylko pocałunek? - przemówiła lady Franton surowym głosem. - On cię rozbierał!

- Wcale nie...

W tym momencie w krąg światła wszedł gospodarz. Za nim stanęło kilku roślących lokajów.

- Przekroczyłeś granice przyzwoitości, Althorpe! - oświadczył lord Franton. - Zaprosiłem cię z szacunku dla twojego nieżyjącego brata. Najwyraźniej jednak nie potrafisz zachować się stosownie do swojej pozycji...

- Czy mogę coś zaproponować? - odezwał się markiz z taką swobodą, jakby rozmawiał o pogodzie.

Bez wątpienia nie raz musiał stawiać czoło gniewnemu tłumowi. Natomiast Victoria była przerażona. Publiczne całowanie się ze znanym uwodzicielem nie mieściło się w kategoriach niewinnej, wesołej zabawy. W dodatku wszyscy widzieli ją prawie naga!

- Zaproponować? - powtórzył lord Franton z pogardą. - Możesz zrobić tylko jedną rzecz i nie sądzić, że pomoże ci strojenie sobie żartów...

- Zanim dokończy pan tyradę, coś wyjaśnię - prze-

rwał mu Althorpe. - Wróciłem do Anglii z zamiarem wzięcia na siebie obowiązków związanych z tytułem.

Gdy w ogrodzie nagle zapadła cisza, Victoria zarzykowała spojrzenie na markiza.

- Nie zamierzam narażać na szwank niczyjej reputacji z powodu chwili nieostrożności - ciągnął dalej lekkim tonem. - Dlatego zrobię, co należy, lordzie Franton, i ożenię się z lady Victorią. Czy to pana usatysfakcjonuje?

Victoria poczuła, że ziemia usuwa się jej spod nóg.

- Co takiego? - wykrztusiła.

Spojrzał na nią z nieprzeniknionym wyrazem oczu i pokiwał głową.

- Oboje posunęliśmy się za daleko. To jedyne wyjście z niezręcznej sytuacji.

Nachmurzyła się.

- Najrozsądniej byłoby puścić cały incydent w niepamięć - warknęła. - Przecież nie zamierzaliśmy uciec do Gretna Green, żeby wziąć potajemny ślub!

- On trzymał ręce na twojej... no, wiesz - odezwał się książę Hawling. Liczni goście potwierdzili jego uwagę w bardziej obrazowy sposób. - Znając reputację obojga, byliście na najlepszej drodze do spółdzenia dziedzica Althorpe.

- Wy właściwie... cudzołożyliście! - zawołała lady Franton. - I to w moim ogrodzie!

Osunęła się bezwładnie w ramiona męża.

Znowu rozległy się chichoty i szept.

- Dzisiaj pierwszy raz widziałam go na oczy! - krzyknęła Vixen.

- Nie o twoje oczy się martwimy, córko - stwierdził hrabia Stiveton, blady jak papier. - Jutro złożysz

mi wizytę, Althorpe, albo wsadzę cię do więzienia.

Markiz chłodno się uklonił.

- Do jutra, milordzie. - Ujął dłoń Victorii, pochylił się i musnął ją ustami. - Milady.

Następnie obrócił się na pięcie i niespiesznie ruszył w stronę domu. Victoria miała ochotę pobiec za nim, ale ojciec podszedł do niej dużymi krokami i chwycił ją za ramię.

- Chodź, dziewczyno.

- Nie wyjdę za Sina Graftona - oświadczyła.

- Owszem, wyjdiesz - syknął. - Tym razem za daleko się posunęłaś, Victorio. Ostrzegałem cię, ale nie raczyłaś słuchać. Jeśli go nie poślubisz, żadne z nas nie będzie mogło więcej pokazać się w Londynie. Połowa znajomych widziała twoje niewymowne... i to dwa razy jednego wieczoru, jak wynika ze słów lady Franton!

- Ale...

- Dość tego! Jutro omówimy warunki.

Znowu otworzyła usta, ale ojciec uciszył ją wściekłym spojrzeniem. Pocieszyła się jednak, że do rana zostało jeszcze dużo czasu. Zdaży wszystko wyjaśnić rodzicom, kiedy się uspokoją i zechcą jej wysłuchać. Jedno było pewne: za nic w świecie nie wyjdzie za Sinclaira Graftona, markiza Althorpe.

2

Ten przeklęty drań Marley nadal próbował zniszczyć jego życie.

Postanowił mu odpłacić, ale zważywszy na konsekwencje ostatniego wieczoru, nie był pewien, czy nie powinien raczej go zabić niż odbierać mu kobietę.

Rozległo się pukanie, ale Sinclair nie przerwał golenia.

- Nie - rzucił krótko, widząc, że jego lokaj rusza ku drzwiom.

- To może być coś ważnego - zauważył Roman. - A jeśli pańska narzeczona uciekła z Anglii?

- Albo przybył któryś z jej wielbicieli, żeby mnie zastrzelić.

Nie obawiał się żadnego. Na takie właśnie okazy trzymał w kieszeni pistolet o rękojeści z kości słoniowej.

Stukanie się powtórzyło, tym razem głośniejsze.

- Panie Sin...

- Nie bądź taki nerwowy.

Lokaj przez chwilę mierzył go wzrokiem, po czym wbrew zakazowi poszedł otworzyć drzwi.

- To Milo.

Sinclair nie skarcił go za nieposłuszeństwo, tylko dalej golił się spokojnie.

- Dziękuję, Romanie. Spytaj, czego chce.

- Zapytałbym, milordzie, ale on nadal ze mną nie rozmawia.

Za każdym razem, gdy lokaj mówił do niego „milordzie”, brzmiało to jak „idioto”. Sin z westchnieniem rzucił brzytwę do miski i sięgnął po ręcznik. Wytarł resztki piany i podszedł do drzwi.

- O co chodzi, Milo?

Kamerdyner minął Romana, nie zaszczycając go spojrzeniem.

- Listonosz właśnie przyniósł korespondencję dla pana, milordzie. Od lady Stanton.

- Dziękuję. - Sin schował list do kieszeni. - Milo, często przerywałeś toaletę mojemu bratu z błahych powodów?

Sługa poczerwieniał.

- Nie, milordzie. - Uniósł spiczasty podbródek. - Ale jeszcze nie znam pańskich zwyczajów. Poza tym nie wiedziałem, że ten list jest mało ważny. Przepraszam, że się pomyliłem.

- Przeprosiny przyjęte. Wyślij lady Stanton bukiecik róż wraz z pozdrowieniami. I poinformuj panią Twaddle, że dzisiaj nie będę jadł kolacji.

- Dobrze, milordzie.

-Milo.

Kamerdyner się odwrócił.

- Słucham, milordzie.

- Sam się zajmę lady Stanton.

- Ja... dobrze. Jak pan sobie życzy, milordzie.

Gdy tylko służący wyszedł z pokoju, Roman zamknął za nim drzwi.

- Powinien pan go zwolnić.

Sin wzruszył ramionami.

- Milo jest kompetentnym kamerdynerem.

- Nie podoba mi się, że zatrzymał pan personel swojego brata. Ktoś z nich może pewnej nocy strzelić panu w głowę.

- Nie chcę, żeby zniknęli mi z oczu. - Opadł na krzesło i wskazał na surdut leżący na łóżku. - Nie założę tego granatowego paskudztwa na wizytę u mojego przyszłego teścia.

- To konserwatywny strój.

- Właśnie. Jemu pewnie by się spodobał, a wcale tego nie pragnę. Przynieś mi beżowy.

- Będzie pan wyglądał jak dandys.

- Jestem dandysem, idioto. I nie chcę, żeby Stiveton zapomniał o tym choćby na minutę.

Powstrzymując się od uśmiechu na widok niezadowolonej miny lokaja, którą dostrzegł w lustrze, wyjął z kieszeni list i rozerwał kopertę. Szybko przebiegł wzrokiem treść, po czym zaszepiony odchylił się na oparcie krzesła. Nieszczęścia zwykle chodzą parami, pomyślał.

- Świetnie. Niech mnie pan nazywa idiotą - burknął lokaj. - Ale to pan dał się złapać w sidła od razu po powrocie do Londynu.

- Nie wpadłem w żadne sidła, tylko zyskałem punkt w rozgrywce z Marleyem. - Nie potrafił bez warknięcia wymówić nazwiska tego drania.

- A małżeństwo?

- Tylko w ten sposób uniknąłem ukamienowania.

-Aha.

- Żaden ojciec o zdrowych zmysłach nie pozwoliłby córce wyjść za mnie, ale wszyscy doszli do fałszywego przekonania, że będzie najlepiej przykuć mnie

łańcuchem do jakiejś biednej kobiety. - Jeszcze raz przeczytał list, szukając choć promyka nadziei. - A tak przy okazji, Bates przesyła ci pozdrowienia.

- I dobrze, bo jest mi winien dziesięć funtów. - Lokaj rozłożył na łóżku właściwe ubranie. - A kto to właściwie jest lady Stanton?

- Pewna wdowa mieszkająca w Szkocji. Prapracość Wally'ego.

- Brzmi prawdopodobnie.

Sinclair zmierzył służącego wzrokiem.

- Nie jestem kompletnym osłem. A twoje dziesięć funtów jest już w drodze do Londynu.

Roman spoważniał.

- Bates nic nie znalazł?

- Nic. Nie spodziewałem się, że znajdzie, ale człowiek zawsze ma nadzieję. Razem z Wallym i Crispinem wynajął dom na Weigh House Street. A raczej lady Stanton go wynajęła.

Podał list lokajowi. Ten przeczytał go szybko.

- Cieszę się, że Crispin przyjeżdża - powiedziała.

- Może on przemówi panu do rozumu i uchroni przed małżeństwem.

- Jestem teraz markizem Althorpe. Kiedyś muszę znaleźć sobie żonę, choćby ze względu na Thomasa.

Poza tym podniecała go myśl, że zdobędzie Victorię Fontaine. Te długie, podwinięte rzęsy...

- Wiem, wiem. Ale wszyscy w Londynie uważają, że jest pan... rozpustnikiem. A rozpustnik nie powinien się żenić. Nawet z taką dziką osóbką jak panna Vixen.

Grafton prychnął, zmiął list i wrzucił do kominka.

- Na razie nie będzie żadnego małżeństwa. Nie komplikuj prostej sprawy.

Lokaj skrzyżował ramiona na piersi i łypnął na niego spode łba.

- To pan wszystko komplikuje. Nawet służba bierze pana...

Sinclair Spiorunował go wzrokiem.

- Po raz ostatni powtarzam ci, Romanie, że jestem dawnym Sinem. Nic się nie zmieniło od czasów Francji, Prus czy Italii, z wyjątkiem celu misji. Przestań zmuszać mnie do zmiany mojego podłego charakteru.

- Ale ja nie...

- Daj spokój.

- Dobrze, milordzie. Skoro pan chce, żeby wszyscy uważali go za drania, a nie za bohatera, i skoro pan chce poślubić córkę hrabiego, żeby zachować pozory, to pańska rzecz. Jeśli...

- Nasz rząd kazał mi przez ostatnie pięć lat tułać się po Europie, ale teraz, gdy Bonaparte jest skończony, chcę jedynie znaleźć mordercę mojego brata. Dlatego zachowam pozory, póki będzie mi to potrzebne. Jasne?

Lokaj westchnął głęboko.

- Jak słońce.

- To dobrze. - Sinclair zaszczycił go lekkim uśmiechem. - I nie nazywaj mnie bohaterem, bo wszystko zepsujesz.

- Oczywiście.

- Chyba nie mówisz poważnie?

- Nigdy nie byłem poważniejszy, Victorio. - Hrabia Stiveton chodził wokół sofy zajmującej środek biblioteki. Od jego dudniących kroków drżały szklane

drzwi gablotki stojącej w drugim końcu pokoju. - Na ile jeszcze twoich wybryków mieliśmy przymykać oko? Jak długo znosić twoje dzikie pomysły?

- Dłużej.

- Victorio!

Leżała na sofie w bardzo dramatycznej pozie skrzywdzonej niewinności, podpierając ręką czoło.

- To był tylko zwyczajny pocałunek, ojcze!

- Akurat! Pozwoliłaś, żeby Sinclair Grafton całej cię dotykał. Publicznie! Nie mogę i nie będę więcej tolerować twojego skandalicznego zachowania!

W zeszłym tygodniu taka sama poza podziałała na ojca i skończyło się na trzydniowym domowym areszcie. Victoria usiadła prosto.

- Więc wydasz mnie za markiza Althorpe? To trochę za surowa kara, nie uważasz? Całowałam się z innymi mężczyznami i nie...

- Dość tego! - Stiveton zakrył uszy rękami. - Nie powinnaś całować się z nikim, a tym razem w dodatku zostałam przyłapana na gorącym uczynku przez tłum gości.

- Ale...

- Żadnych więcej wyjaśnień i żadnych tłumaczeń. Poniesiesz konsekwencje swojego postępowania i wyjdiesz za lorda Althorpe, jeśli do tej pory nie uciekł z kraju.

- Nigdy niczego nie zrobiłeś dla zabawy?

- Zabawa jest dla dzieci. Ty skończyłaś dwadzieścia lat. Czas, żebyś wydorosłała. Poza tym kto inny chciałby cię za żonę?

Wymaszerował z pokoju i ruszył do gabinetu, gdzie miał poczekać na markiza. Zamierzał pozbyć się kło-

potliwej córki, oddając ją w ręce znanego hulaki. Victoria z westchnieniem znowu wyciągnęła się na sofce. Oczywiście posunęła się za daleko, ale sądziła, że uda się jej odwieść ojca od niedorzecznego pomysłu.

- Nie wyjdę za mąż! - wrzasnęła do sufitu.

Nie doczekała się odpowiedzi.

Tym razem rodzice wymyślili dla niej najgorszą karę. Za rok, po osiągnięciu pełnoletności, mogłaby podróżować i wspomagać swoimi pieniędzmi wszelkie sprawy, które uznałaby za słuszne. Po ślubie jej posag dostanie Sinclair Grafton i bez wątpienia przepuści go przy stolikach karcianych.

Był przystojny, owszem, i przyprawiał ją o szybsze bicie serca, ale to nie powód, żeby za niego wychodzić. Nie wiedziała o nim nic, znała tylko jego fatalną reputację. Rodzice z pewnością nie pragnęli dla niej takiego męża.

Z rozpaczą uderzyła pięściami w miękkie poduszki. Jedyne nadzieje w tym, że perspektywa małżeństwa przeraziła markiza tak samo jak ją. Może już wyjechał do Europy albo w nieznaną. Zamknęła oczy i nagle przyłapała się na tym, że powoli wodzi palcem po wargach. Zakłęła cicho i zerwała się na równe nogi. Nie poślubia się mężczyzny tylko dlatego, że umie całować. Wychodzi się za mąż, bo wybranek jest mądry, dobry, wyrozumiały i nie oczekuje, że żona będzie tylko haftować i urządzać proszone herbatki. Ona nie należała do takich kobiet.

Sinclair wysiadł z faetonu i wszedł po marmurowych schodach do Fontaine House. Długo się zastanawiał, czy złożyć wizytę lordowi Stivetonowi, ale

w końcu doszedł do wniosku, że Sin Grafton, którego wszyscy znali, zjawiłby się z jakimś wyjaśnieniem, dlaczego małżeństwo nie może dojść do skutku.

O ile się orientował, hrabia, choć nudny i sztywny, nie był głupcem. Gdyby odzyskał rozsądek, oszczędziłby Sinclairowi poważnego kłopotu.

Zeszłego wieczoru posunął się za daleko. Lady Victoria Fontaine mogła coś wiedzieć o udziale Marleya w morderstwie, lecz nie zdążył jej wybać, bo pożerał ją wzrokiem i cieszył się w duchu, że ukradł ją adoratorowi, a właściwie adoratorom. Gdyby równie nieroztropnie zachowywał się we Francji, nie przeżyłby tyłu lat.

Niestety jego reputacja była dużo bardziej opłakana niż Victorii i gdyby nie wystąpił z propozycją małżeństwa, przyjęcie u Frantonów okazałoby się pierwszym i ostatnim, na które go zaproszono. I cokolwiek sądził o wyższych sferach, musiał mieć do nich wstęp, póki nie udowodni, że Marley albo ktoś z jego grona zamordował jego brata.

Co gorsza poprzedniej nocy całkiem stracił głowę. Kiedy Vixen Fontaine spojrzała na niego fiołkowymi oczami, zapomniał nie tylko o swoich podejrzeniach co do Marleya, Williama Landry'ego i innych jej wielbicieli.

Do ogrodu zaprowadził ją wcale nie po to, żeby wypytać o interesujące go sprawy. Gdyby ich nie przyłapano, nie poprzestałby na pocałunkach. A teraz pragnął dokończyć to, co zaczęli, i niech się dzieje co chce.

Wziął głęboki oddech i uderzył mosiężną kołatką w ciężkie dębowe drzwi.

- Lord Althorpe? - spytał niski, okrągły kamerdy-

ner, mierząc jego strój ze stosowną dozą pogardy.

- Gdzie znajdę lorda Stivetona?

Mężczyzna cofnął się o krok.

.. - W gabinecie, milordzie. Tędy, proszę.

Ród Fontaine'ów był stary, bogaty i szanowany. Idąc za sługą przez hol, Sinclair rozmyślał o tym, jak bardzo musiał ich obrazić, uwodząc Victorię. Lepiej jednak, że zrobił to on, a nie morderca Thomasa.

Hrabia siedział za mahoniowym biurkiem i wyglądał raczej na bankiera niż arystokratę. Leżała przed nim otwarta księga rachunkowa, ale Sin wątpił, czy tego ranka Stiveton zajmował się pracą.

- Althorpe, myślałem, że już uciekłeś z kraju.

- Dzień dobry, lordzie Stiveton. Przykro mi, że pana rozczarowałem.

Gospodarz zmrużył oczy.

- Timms, niech nikt nam nie przeszkadza.

- Dobrze, milordzie.

Kamerdyner ukłonił się i zamknął za sobą drzwi.

- Nic nie usprawiedliwia pańskiego wczorajszego postępowania, Althorpe. Udawanie skruchy też niewiele pomoże.

Sinclair wzruszył ramionami.

- Ma pan rację.

- Zgadzanie się ze mną też nic panu nie da. Ile razy postąpił pan niegodnie i uniknął konsekwencji?

Grafton uniósł brew.

- Chce pan dokładnego wyliczenia?

- Cokolwiek wyczyniał pan na kontynencie, tutaj nie tolerujemy podobnego zachowania.

- Z całym szacunkiem, lordzie Stiveton, pańska córka poszła ze mną z własnej woli.

Hrabia zerwał się na równe nogi.

- W taki sposób prosi pan o przebaczenie?

Sinclair strzepnął z rękawa niewidzialny pyłek.

- O nic nie proszę, lordzie Stiveton. Jestem do pańskich usług. Złożyłem propozycję, ale zrobię, jak pan zechce.

Gospodarz usiadł powoli, nadal spoglądając na niego groźnym wzrokiem.

- Spodziewał się pan, że wyzwę pana na pojedynek, żeby bronić honoru córki?

- Oczywiście, że nie, bo nie chciałem pana zabić. Myślałem raczej o publicznych przeprosinach.

- To może uratowałyby reputację pańską, ale nie mojej córki.

Hrabia umilkł, mierząc go badawczym spojrzeniem. Sinclairowi nie podobał się wyraz zamyślenia na jego twarzy ani kierunek, w jakim zmierzała rozmowa.

Gdy zegar stojący na kominku wybił czwartą, Stiveton pochylił się do przodu i złożył ręce na księdze rachunkowej.

- Choć niechętnie, ale muszę przyznać, że nie tylko pan jest winien wczorajszemu incydentowi.

Zabrzmiało to obiecująco.

- Zgadzą się zatem, że przeprosiny...

- Chwileczkę, Althorpe. Jeszcze nie skończyłem. Moja córka niestety nie potrafi nad sobą panować. Miałem nadzieję, że odpowiednie wychowanie i dyscyplina wyleczą ją z impulsywności, ale myliłem się, jak pan widzi.

Sin bez zaproszenia opadł na niewygodne złoczone krzesło, które stało przed biurkiem. Sądził, że hrabia

stanie w obronie córki, a jego potępi. Do tego jednak nie doszło i, o dziwo, sam omal nie zaczął jej usprawiedliwiać. Ostatecznie przez ostatnich pięć lat skutecznie nakłaniał ludzi do mówienia i robienia rzeczy, których normalnie by nie zrobili. Dziewczynie też nie dał najmniejszej szansy. Nagle zauważył, że Stiveton patrzy na niego groźnie, więc przyoblekł twarz w wyraz powagi.

- I?

- Skoro więc nie potrafię utrzymać jej w korbach, podejmę stosowne kroki, żeby zapobiec kolejnym skandalom. Mówiąc bez ogródek, Victoria jest teraz pańskim problemem.

Sinclair zamrugał.

- Chyba nie chce pan wydać jej za mnie?

- Owszem, bo sam nie umiem jej okiełznać. - Gospodarz wziął do ręki pióro. - Zapiszę jej dziesięć tysięcy funtów teraz i trzy tysiące rocznie do czasu ukończenia przez nią dwudziestu jeden lat, kiedy to wejdzie w posiadanie spadku po babce. Przypuszczam, że skoro już pan wrócił do Londynu, rodzinny majątek szybko pan przepuści.

Sinclair myślał gorączkowo. Najwyraźniej się przeliczył. Hrabia widać nie zdawał sobie sprawy, jak zszargana jest jego reputacja, skoro rzeczywiście zamierzał oddać mu Victorię.

- Pańska hojność mnie zaskakuje. Córka i dziesięć tysięcy funtów.

- Płacę za ratowanie dobrego imienia mojej rodziny.

- Lordzie Stiveton, musi pan wiedzieć, że każdy kawaler w Londynie uznałby pańską córkę za god-

na kandydatkę na żonę, gdybym teraz przeprosił...

- Może i tak, ale już postanowiłem. Ślub odbędzie się w następną sobotę. Zawiadomiłem księcia Jerzego. Opactwo Westminsterskie będzie do naszej dyspozycji.

Najwyraźniej earl wolał nie stwarzać przyszłym małżonkom okazji do ucieczki.

- Regent też zaszczyci nas obecnością?

- Tak, zważywszy na pozycję naszych dwóch rodów.

- A pańska córka wyraziła zgodę?

- Oczywiście, że nie. Ale mogła pomyśleć, zanim w miejscu publicznym padła w pańskie objęcia.

-Ja...

Gospodarz postukał piórem w blat biurka.

- Przez ostatnie trzy lata podsunąłem jej co najmniej kilkunastu kandydatów i dałem dostatecznie dużo czasu na „zakochanie się”, co było jej warunkiem. Lecz ona, zamiast dokonać wyboru, łamała serca, rujnowała swoją i moją reputację, powtarzała, że jeszcze nie chce wychodzić za mąż. Nie zrozum mnie źle, Althorpe. Uważam pańskie zachowanie za godne ubolewania.

- Już pan wyraził swoją opinię.

Sinclair poczuł się, jakby właśnie stracił ostatniego gońca i królową. Zapędzono go w kozi róg, ale, o dziwo, wcale nie był tak przerażony, jak należało się spodziewać. Pozostało mu jedynie uznać swoją przegraną i odebrać nagrodę pocieszenia: lady Victorię Fontaine. Zresztą nigdy nie martwił się o przyszłość. Robił to za niego Thomas.

- Dobrze chociaż, że oddaję córkę potomkowi starej i szanowanej rodziny.

- Zawsze do usług - rzucił Grafton ironicznie.

- Proszę tu zaczekać. - Hrabia wstał zza biurka. -
Przyślę pańską narzeczoną.

Sin nie był pewien, czy pragnie ją zobaczyć. Nie lubił, gdy przypierano go do muru. Z drugiej strony, jeśli nie chciał opuścić Anglii i zrezygnować ze śledztwa, musiał ożenić się z Victorią. Odchylił się na oparcie krzesła.

Popełnił wielki błąd. Okazał się głupcem, a Stiveton wykorzystał jego chwilowy brak poczytalności, żeby pozbyć się kłopotu.

Właściwie i tak zamierzał się ożenić, ale nie z osobą, której prawie nie znał i której nie ufał. Poza tym najpierw musiał rozprawić się z mordercą brata i nie potrzebował dalszych komplikacji.

- Do diabła!

- To samo powiedziałam, kiedy ojciec poinformował mnie, że pan tu jest.

Na twarzy lady Victorii Fontaine malował się taki spokój, jakby rozmawiała o pogodzie. Tylko w fiołkowych oczach czaiła się niepewność. Sinclair wstał i ujął jej dłoń.

- Dzień dobry, lady Victorio.

Gdy nie cofnęła ręki, po raz drugi musnął wargami jej kostki. Nawet w codziennej sukni z szarozielonego muślinu przyciągała wzrok i budziła pożądanie. Gdy w końcu odwróciła się do okna, na widok ruchu jej bioder zawrzała w nim krew.

- Wiem od ojca, że przyjął pan jego warunki - powiedziała, opierając się o parapet.

- Okazał się bardzo hojny.

Victoria pokiwała głową.

- Nigdy nie spierał się o drobiazgi.

Obserwował ją przez dłuższą chwilę, zaabsorbowany szybko pulsującą żyłką na szyi. I nagle przypomniał sobie, że jest Sinem Graftonem, zdeklarowanym uwodzicielem i hedonistą.

- Pani również szybko powzięła decyzję.

- Sama chciałam, żeby zaciągnął mnie pan do ogrodu - stwierdziła, rumieniąc się rozkosznie. - Nie wiedziałam jednak, że spróbuje mnie pan rozebrać.

- Nie przeszkadzało to pani, zanim pojawił się ojciec.

Jej policzki przybrały ciemniejszą barwę.

- Przyznaję, milordzie, że dobrze pan całuje. Zapewne dużo pan ćwiczył.

Ukłonił się rozbawiony.

- Cieszę się, że moje wysiłki nie poszły na marne.

- Aż za bardzo się pan starał, zdaniem moich rodziców.

- Przepraszam, że na nasze sam na sam wybrałem niewłaściwe miejsce, ale nie za całowanie. - Podszedł do niej bliżej. Działała na niego równie mocno jak poprzedniego wieczoru. - Jest pani urocza.

- Nadal próbuje mnie pan uwieść? - Odsunęła się od okna i ruszyła do wyjścia. - Niepotrzebnie, lordzie Althorpe. Już pan zdobył moją rękę.

Ze zdziwieniem patrzył, jak panna Fontaine zamyka drzwi gabinetu i staje twarzą do niego.

- Jeśli chce pani kontynuować to, co zaczęliśmy wczoraj, jestem bardziej niż chętny - powiedział cicho.

- Pragnę jedynie wydostać nas z kłopotów - odparła ściszym głosem. - Panu też nie pali się do tego małżeństwa.

- Co więc pani proponuje?

Splotła dłonie.

- Ostatnie pięć lat spędził pan na kontynencie. Nikt by się nie zdziwił, gdyby postanowił pan tam wrócić.

Najwyraźniej sądziła, że może dyktować warunki. Jej ojciec miał rację co do jednego: była samowolna i pewna siebie.

- Pewnie nie.

- Jeśli chodzi o pieniądze, mam własne dochody. Mógłby pan wygodnie żyć w Paryżu za... powiedzmy, tysiąc funtów rocznie.

Nie wierzył własnym uszom.

- Chce pani, żebym wyjechał do Paryża?

- Tak. Im szybciej, tym lepiej.

- A pani będzie płacić za moje utrzymanie?

Na jej twarzy odmalowała się niepewność.

- Tak.

- Powinna jeszcze pani obiecać, że będzie mnie odwiedzać od czasu do czasu i przywozić czekoladki.

Victoria zmrużyła oczy.

- Nie proponuję, żeby został pan moim utrzymankiem czy kimś w tym rodzaju. Pragnę tylko, żeby pan przebywał z daleka ode mnie.

- Na jedno wychodzi.

- Mówię poważnie!

Zirytowany i jednocześnie rozbawiony zbliżył się do niej o parę kroków.

- Ale ja nie chcę wracać do Francji. Podoba mi się tutaj.

Cofnęła się pod ścianę.

- Na pewno szczęśliwszy byłby pan w Paryżu ze

swoimi przyjaciółkami. O tej porze roku na pewno jest tam pięknie.

- W Londynie też jest pięknie.

- Ale nikt tutaj pana nie lubi!

I nikt nie wie, że w ciągu ostatnich pięciu lat omal nie zginął z tuzin razy, służąc krajowi! Udał, że wygląda przez okno, żeby nie dostrzegła gniewu w jego oczach.

- Nie mają pojęcia, jaki jestem czarujący - odparł gładko.

- Przepraszam - powiedziała cicho, kładąc mu rękę na ramieniu. - To było okrutne z mojej strony.

Odwrócił się do niej wolno. Nie znosił litości.

- Myślę, że Londyn mnie polubi, gdy zostanę panem mężem, miłady.

- Ale...

- Jest pani bardzo popularna i darzona sympatią w towarzystwie.

Raptem sobie uświadomił, że małżeństwo z panną Fontaine przyniesie mu liczne korzyści. Nie tylko pozwoli mu wkupić się na powrót w łaski wyższych sfer, ale otworzy przed nim wszystkie drzwi. W dodatku pełna temperamentu żona nie będzie przez cały czas wisiła na jego ramienia i wchodziła mu w drogę.

- Ale ja nie zamierzam wychodzić za mąż. A już z pewnością nie za pana!

Uśmiechnął się z lekka.

- Więc nie powinna była pani się ze mną całować. Victoria znowu oblała się rumieńcem.

- A czy małżeństwo nie przeszkodzi panu w uganianiu się za kobietami i hulankach? - odparowała z desperacją w głosie.

Sin oparł ręce o ścianę po obu stronach jej głowy.

- Nie bardziej niż pani we flirtowaniu, chodzeniu na bale, przyjęcia, zakupy, i co tam jeszcze pani robi.

Nie umknęła oczami, tylko spojrzała na niego wyzywająco.

- Najwyraźniej doskonale do siebie pasujemy - stwierdził i nachylił się ku jej ustom.

Po pierwszej chwili zaskoczenia Victoria zarzuciła mu ręce na szyję. Jej natychmiastowa reakcja zrobiła na nim równie piorunujące wrażenie jak w ogrodzie lady Franton. Całował w życiu wiele kobiet, ale jeszcze żadna nie działała na niego tak mocno.

Niechętnie oderwał wargi od jej ust. Victoria zamrugała oszołomiona.

- Wyjdę za pana tylko przez wzgląd na dobre imię mojej rodziny - wyszeptwała.

Prędkiej po to, żeby uciec spod jej skrzydeł, pomyślał Sin i zaśmiał się cicho.

- Mogę panią jutro zabrać na piknik?

Victoria zdjęła ręce z jego szyi.

- Jutro wybieram się na zakupy z Lucy Havers i Marguerite Porter.

- W takim razie przejażdżka po Hyde Parku w sobotę.

- Jestem już umówiona.

Wymknęła się z jego objęć i poprawiła włosy.

- Odnoszę wrażenie, że nie chce pani być ze mną widywana.

- Uważam, że traktujemy całą sprawę zbyt poważnie - stwierdziła po chwili wahania. - Może za tydzień wszyscy odzyskają rozsądek i nie będziemy musieli popełniać głupstwa.

- Może tak, ale w sobotę rano wybierzemy się na przejażdżkę.

Uniosła brodę.

- Po co?

Wykrzywił wargi w mimowolnym uśmiechu. Nie pozbędzie się go, rzucając mu wyzwania. Wkrótce sama się o tym przekona.

- Jak już wspomniałem, nie zamierzam poprzestać na pocałunkach. Następny krok jest dużo ciekawszy. Do soboty, milady. Muszę poinformować rodzinę, że się żenię.

Nim zdążyła odpowiedzieć, ukłonił się i opuścił gabinet.

3

- Sin!

Christopher Grafton zbiegł po schodach, wyciągając ręce. Sinclair chwycił go w objęcia; w gardle ścisnęło go ze wzruszenia. Stracił jednego brata, ale zdążył wrócić, zanim coś stało się drugiemu. Teraz już nic mu nie groziło.

- Dobrze cię widzieć, Kit - powiedział z szerokim uśmiechem, cofając się o krok. - Urosłeś chyba o trzydzieści centymetrów.

- Co najmniej, ale miałem nadzieję, że będę od ciebie wyższy.

- Christopher jest wzrostu twojego dziadka - dobiegł głos od strony pokoju dziennego. - Dziwne, że poznałeś go po pięciu latach nieobecności.

Sinclairowi drgnęło serce. Naprawdę był w domu. Odwrócił się powoli.

- Nic się nie zmieniłaś, babciu Augusto.

Lady Drewsbury podniosła do ust filiżankę herbaty i przyjrzała mu się uważnie.

- Oczywiście, że się zmieniłam. Straciłam wnuka.

- Babciu, Sin dopiero co wrócił - odezwał się Christopher. - Daj mu chwilę spokoju.

Bystre niebieskie oczy nadal taksowały Sinclaira. Tego właśnie najbardziej się obawiał przed powrotem do Londynu. W tym momencie myślał o zszar-

ganej reputacji ani nawet o szukaniu mordercy Thomasa.

Nie, martwił się, że nie będzie mógł wytłumaczyć babce swojego postępowania w ciągu minionych pięciu lat, a zwłaszcza dwóch ostatnich.

- Nie psuj zabawy naszej babci, Kit - rzucił lekkim tonem. - Z pewnością od dawna szykowała mowę powitalną.

- Sin! - syknął brat.

- Rzeczywiście przygotowałam mowę, ale nie sądzę, żeby cokolwiek zmieniła, skoro już tu jesteś. Rozczarowałeś mnie, Sinclairze, ale już dawno obniżyłam swoje wymagania wobec ciebie. Wróciłeś, więc chodź i napij się herbaty.

Urażony niesprawiedliwą oceną, powstrzymał się od cynicznej odpowiedzi i tylko potrząsnął głową. Spokojna rezygnacja była gorsza od szlochów, krzyków i wyrzutów. Rozczarował babcię. Wyglądało na to, że już niczego dobrego się po nim nie spodziewa.

- Nie mogę zostać.

Nie okazała zdziwienia.

- Dobrze.

- Przecież dopiero przyjechałeś! - zaprotestował Kit. - Zostaniesz w Londynie przez jakiś czas?

- Nie denerwuj brata, Christopherze. Jego kalendarz towarzyski na pewno jest zapełniony.

Nareszcie trochę zgryźliwości, mimo wszystko lepszej niż lodowata obojętność.

- Przyszedłem, żeby zaprosić was na pewną uroczystość - powiedział. - Piętnastego.

Spojrzenie lady Drewsbury stwardniało.

- Twój brat ani ja nie chcemy brać udziału w żadnych farsach wymyślonych przez ciebie i twoich kompanów.

- Babciu...

- Może rzeczywiście to będzie farsa i zrozumieć, jeśli nie przyjdiesz. Sam nie jestem pewien, czy się pojawię... przynajmniej trzeźwy. Tą uroczystością będzie mój ślub. Książę Jerzy...

- Co? - krzyknął Christopher. - Ślub? Niedawno wróciłeś! Przywiozłeś narzeczoną z kontynentu? Włoszkę?

- Nosi twoje dziecko? - dorzuciła babka.

Widać miała o nim coraz gorsze zdanie.

- Nie. I jest Angielką. Poznałem ją.. niedawno. - Dobry Boże, czyżby zaledwie wczoraj? - Przebywam w Londynie od kilku dni, ale byłem dość zajęty.

- Na to wygląda - stwierdziła Augusta cierpko. - Kto to jest?

- Lady Victoria Fontaine.

- Vixen? Złowiłeś Vixen?

Nawet lady Drewsbury się zdziwiła.

- Cicho, Christopherze. Wspomniałeś o księciu Jerzym. Będzie obecny na ślubie?

- Tak. Udostępni nam Opactwo Westminsterskie.

- W takim razie przyjdziemy. To kwestia honoru. Sinclair złożył jej głęboki ukłon.

- Dziękuję, babciu. - Gdy się wyprostował, już zniknęła w pokoju. - I tyle jeśli chodzi o rodzinne pojednanie.

- A czego się spodziewałeś? W ciągu pięciu lat napisałeś do nas z dziesięć razy. Kiedy nawet nie raczyłeś się pojawić na pogrzebie Thomasa... my... ona...

- Nie wiedziałem, że został zamordowany.

Przeklął się w duchu. Kłamstwo przyszło mu zupełnie bez wysiłku. Łatwiej niż prawda.

Skoro wojna się skończyła, powinien móc wyznać rodzinie, gdzie się podziewał po wyjeździe z Anglii. Tylko Thomas znalazł prawdę. Gdy Sin otrząsnął się po jego śmierci, przysiągł sobie, że nic im nie powie, póki nie będzie absolutnie pewny, że nie ucierpią z powodu tego, co robił w Europie. Liczyło się wyłącznie ich bezpieczeństwo, do diaska z jego reputacją.

- Odwiedzisz nas jutro? - zapytał Christopher, odprowadzając go do frontowych drzwi.

- Nie wiem. Mieszkam w Graf ton House. Przyjdź do mnie, jeśli chcesz. I jeśli babcia ci pozwoli.

Kit się naburmuszył.

- Mam dwadzieścia lat. Robię, co mi się podoba. Sinclair położył dłoń na jego ramieniu.

- Nie zawieź jej. Jesteś dla niej wszystkim.

- Znam swoje obowiązki - odparł brat posępnie. - Babcia jedynie pragnie, żebyś ty wypełniał swoje.

- Jak my wszyscy - skwitował z cynicznym uśmiechem.

Lucy sięgnęła po drugie ciastko.

- „Co ja o nim wiem?” To, co wszyscy.

Victoria siedziała na sofie i bawiła się filiżanką.

- Usłyszałaś coś nowego w ciągu ostatnich dni?

Zerknęła na wysoki zegar dziadka stojący w rogu pokoju. Lord Althorpe umówił się z nią na spotkanie. Dochodziło południe, a jego jeszcze nie było.

Oczywiście wcale się nie denerwowała. Nawet za-

prosiła przyjaciółki, sądząc, że markiz się nie zjawi. Jej dłonie same zaczęły się splatać i rozplatać. Popatrzyła na nie gniewnie. Przecież jest całkiem spokojna.

Lucy strząsnęła okruszki z sukni.

- Podobno Marley strasznie się upił po wieczorze u Frantonów i do dziś nie wytrzeźwiał.

Żadna niespodzianka; picie i zakłady należały do jego ulubionych zajęć. Ale przynajmniej się wyjaśniło, dlaczego jej nie odwiedził, choć ostatnimi czasy robił to niemal codziennie.

Marguerite Porter poprawiła różowy koronkowy rękaw.

- Diane Addington bardzo chciała się do nas dzisiaj przyłączyć, ale matka kategorycznie jej zabroniła. Twierdzi, że masz na nią zły wpływ, Vixen.

- Przestań, Marguerite. Tak się po prostu złożyło. - Lucy zachichotała. - Na niebiosa, gdybym mogła ukraść pocałunek lordowi Sinowi, na pewno bym to zrobiła.

Victoria westchnęła.

- Cokolwiek uważa matka Diane, Addingtonowie już przyjęli zaproszenie na ślub.

Wstała i podeszła do okna.

- Nikt nie przepuści takiej okazji. Szkoda, że nie przyszłaś wczoraj do Almacków. Wszyscy o tym rozmawiali.

- Nie mogę nigdzie wychodzić, chyba że w towarzystwie rodziców albo narzeczonego. Ojciec pewnie myśli, że zamierzam uciec albo co.

- A nie zamierzasz? - Lucy zerknęła na nią z niepokojem. - To byłoby straszne, gdybyś wyjechała z Londynu.

- Oczywiście, że nie wyjeżdżam. Co bym robiła? Tłukła się po jakimś obcym kraju bez pieniędzy?

Taka myśl parę razy przemknęła jej przez głowę, ale uznała ją za samolubną i bezsensowną. Wbrew temu, co sądził ojciec, miała w sobie dumę rodową. Zresztą życie wygnańca wcale by się jej nie podobało. Wiedziała, że musi znaleźć inne rozwiązanie, nie tak drastyczne i ostateczne.

- Cieszę się, że to nie mnie skompromitował, choć rzeczywiście jest cudowny - szepnęła Marguerite. - Słyszałam, że mieszkał przez pół roku w paryskim burdelu.

- Nie pomagasz Vixen - stwierdziła Lucy.

Na krętym podejździe ukazał się faeton i Victoria nie usłyszała odpowiedzi przyjaciółki. Z powozu wyskoczył wysoki mężczyzna w jasnobrązowych spodniach, czarnym surducie, brązowym cylindrze i lśniących butach do kolan. Niespiesznym krokiem ruszył ku schodom, jakby nie był spóźniony już siedem minut.

Zaczęły jej drżeć ręce, więc na wszelki wypadek odstawiła filiżankę na parapet. To śmieszne. Sinclair Graf ton zniszczył jej życie - przy jej wydatnej pomocy - a ona nie mogła się doczekać wspólnej przejażdżki. Na jego widok aż dygotała ze zdenerwowania.

Chwilę później w drzwiach salonu stanął Timms.

- Lady Victorio, przyszedł lord Althorpe.

- Dziękuję.

- Dzień dobry, milady.

- Dzień dobry, milordzie. Pamięta pan pannę Lucy Havers. A to panna Porter...

Markiz ujął dłoń Victorii i podniósł ją do ust.

- Zauważyła pani - powiedział cicho.

- Co?

Jego wargi wykrzywił zmysłowy uśmiech.

- Że się spóźniłem.

Victoria oblała się rumieńcem. Nie chciała po sobie pokazać, że niecierpliwie czekała na jego przybycie. Czym prędzej zabrała rękę i wskazała na przyjaciółki.

- Marguerite, lord Althorpe.

Młode damy ukłoniły się jednocześnie.

- Milordzie.

- Panno Lucy, panno Porter. Bardzo mi przykro, ale w faetonie jest miejsce tylko dla dwóch osób.

- Nie sądziłam, że pan się zjawi - wyjaśniła Victoria. - Przyszły, żeby uratować mnie przed spędzeniem dnia w samotności. Jak pan wie, jestem więźniem.

Althorpe uśmiechnął się czarująco.

- W takim razie proponuję zmianę planów i spacer we czwórkę.

- We czwórkę? - pisnęła Marguerite.

- Dlaczego nie? - Wzruszył ramionami. - Dzień jest piękny, a poza tym nie chciałbym pozbawiać lady Victorii miłego towarzystwa.

- Może wołą, żeby nie zobaczono ich w pańskim towarzystwie - wtrąciła gospodyni, marszcząc brwi.

- To nie była miła uwaga - stwierdziła Lucy z przyganą w głosie.

- W razie kolejnego skandalu lord Althorpe nie mógłby ożenić się z nami wszystkimi - dorzuciła lekkim tonem Victoria.

- Hm, ten pomysł całkiem mi się podoba - powiedział markiz z szelmowskim uśmiechem.

Victoria z trudem oderwała od niego wzrok.

- W takim razie, żeby było sprawiedliwie, przydałoby się nam jeszcze ośmiu dżentelmenów do towarzystwa. - Z trudem pohamowała śmiech i zwróciła się do przyjaciółek: - Nie musicie iść z nami. Lord Althorpe się spóźnił, więc sam sobie jest winien.

- Och, nie, na pewno będzie wesoło - odparła Lucy. - Nasza czwórka może spowodować niezłe zamieszanie.

- I o to właśnie chodzi - poparł ją markiz.

- Ja... muszę... iść do krawcowej - bąknęła Marguerite i pospieszyła do drzwi. - Żałuję, że nie mogę wam towarzyszyć.

- Przekaż pozdrowienia mamie - zawołała za nią gospodyni.

- Idziemy, drogie panie? Choć we trójkę pewnie wcisnęlibyśmy się do powozu.

Lucy zachichotała.

- O rany!

- Chodźmy - powiedziała Victoria z westchnieniem rezygnacji.

Gdy ruszyli ulicą w stronę Hyde Parku, wzięła przyjaciółkę pod rękę. Lord Althorpe został dwa kroki z tyłu.

- Nie powinnaś iść z markizem? - szepnęła Lucy. - Przecież jesteście zaręczeni.

- Nie tracę nadziei, że ojciec odzyska rozum - powiedziała na tyle głośno, żeby Sinclair ją usłyszał.

W rzeczywistości chciała trzymać go pod ramię, przekomarzać się z nim, słuchać jego irytujących uwag. I właśnie dlatego nawet nie raczyła się obejrzeć.

Postąpił niegrzecznie, zapraszając na spacer jesz-

cze dwie osoby. Najwyraźniej nie zależało mu na jej towarzystwie.

Sinclair szedł kilka kroków za dwiema przyjaciółkami, dzieląc uwagę między ich wesołą rozmowę a tłumy spacerowiczów wypełniające Hyde Park. Ta urocza młoda dama, która udawała, że go ignoruje, mogła wprowadzić go w najwyższe kręgi. Potrzebował jej. Niestety, w tej chwili nie chciała być z nim sam na sam.

Żałował, że Marguerite Porter nie zdecydowała się do nich dołączyć. Najwyraźniej bała się skandalu. Szkoda, bo jej wujem był wicehrabia Benston, który dobrze znał Thomasa. Na szczęście Sinclairowi nie brakowało cierpliwości. Nauczył się jej, pracując dla rządu. Wiedział, że jeszcze nieraz spotka przyjaciółkę swojej żony.

- Jest pan bardzo milczący - rzuciła Victoria przez ramię.

Parasolka zasłaniała jej twarz, więc Sinclair przesunął wzrok niżej.

- Rozkoszuję się widokami - odparł.

- Bardzo się zmieniło w Londynie od pańskiego ostatniego pobytu? - spytała Lucy.

- Niewiele, choć wydaje mi się, że przybyło mocnych zamków na drzwiach. - Korzystając z okazji, przyspieszył kroku i ujął ją pod rękę. - Proszę mi powiedzieć, ile serc złamała moja narzeczona?

- Och, setki.

- Lucy! Przestań plotkować!

Nachylił się za plecami panny Havers i zajrzał Victorii w oczy.

- Pani zna moją zszarganą reputację, a ja o pani nie wiem prawie nic.

Zmrużyła piękne fiołkowe oczy.

- Więc nie powinien pan być mnie całować.

- Chciałem. - Na widok jej rumieńca zaparło mu dech. - A po ślubie posuniemy się dużo dalej...

- Wybaczcie, ale czy na pewno rozmawiacie dopiero trzeci raz? - zapytała Lucy, czerwona jak piwonია.

Gdy ruszyła przodem, Sinclair wykorzystał jej ucieczkę i przysunął się do Victorii.

- Jestem zbyt poufały, milady?

- Tak. I jeśli mamy wymknąć się z pułapki, nie powinien pan mi się narzucać.

- Narzucać? - powtórzył, zastanawiając się, czy z nim flirtuje, czy nieświadomie przyciąga mężczyzn jak piękny kwiat pszczoły.

Wycelowała parasolkę w jego pierś.

- Tak.

Patrząc na jej usta, uświadomił sobie, że pragnie znowu ich posmakować. Trudno było się jej oprzeć. Nachylił się ku niej bezwiednie.

- Niech się pan nie waży - syknęła.

Błyskawicznym ruchem zabrał narzeczonej parasolkę.

- Dlaczego?

- Proszę mi ją oddać!

- Dlaczego nie mogę pani pocałować?

Tupnęła nogą.

- Bo próbujemy uniknąć małżeństwa.

Do ich ślubu, którego świadkiem miało być pół Londynu, zostało zaledwie kilka dni, więc postano-

wił poinformować narzeczoną, że nie zamierza się wycofać. Przynajmniej tyle był jej winien.

- To pani próbuje. Ja chętnie się z panią ożenię. Zbladła.

- Co takiego?

- Lepiej stąd chodźmy - odezwała się Lucy, zerkając ponad ramieniem przyjaciółki.

Sin powędrował za jej wzrokiem i zobaczył, że zbliża się ku nim duża grupa spacerowiczów i powozów.

- Zdaje się, że ściągnęliśmy na siebie uwagę - stwierdził z irytacją.

- Niech sobie patrzą - warknęła Victoria. - Dlaczego, u licha, chce mnie pan poślubić pod przymusem?

- A dlaczego nie? I tak zamierzałem poszukać sobie żony. Pani jest piękna i pochodzi z dobrej rodziny, a poza tym otrzymałem zgodę pani ojca. Czegóż chcieć więcej?

Nie wyglądała na ułagodzoną ani rozbawioną. Prawdę mówiąc, była wściekła.

- Na wieczorze u Frantonów przysięgam sobie, że będę rozmawiać tylko z miłymi mężczyznami. - Okręciła się na pięcie i pociągnęła Lucy za sobą. - Żegnam, lordzie Althorpe.

- A parasolka, milady?

- Proszę ją zatrzymać.

Uchylił cylindra.

- W takim razie zobaczymy się w następną sobotę. W kościele.

Idąc za nimi w pewnej odległości, upewnił się, że dotarli bezpiecznie do Fontaine House. Jeśli Thomas zginął z jego powodu, przyszła lady Althorpe też mogła stać się celem ataku.

Chwilę po tym, jak obie damy weszły do domu, faeton opuścił podjazd i ruszył Brook Street w jego stronę. Gdy Roman oddał mu wodze i przeniósł się na wąską ławkę w tyle pojazdu, Sinclair cmoknął na konie i popędził ulicą.

- No i co? - zapytał, kiedy skręcili za róg.

- Możliwe, że nie całkiem oszalałeś - burknął służący. - Nadal uważam, że głupio robisz, ale ona jest...

- Urocza - dokończył Sin z lekkim uśmiechem.

- Za dobra dla takiego drania, za jakiego uchodzisz. Właśnie to zamierzałem powiedzieć.

- A ty za dużo gadasz jak na lokaja czy za kogo tam się podajesz. Nie będę więcej z tobą dyskutować.

- Narażasz ją na niebezpieczeństwo.

- Wiem. Dlatego od przyszłej soboty staniesz się jej niewidzialnym aniołem stróżem.

- A kto będzie twoim aniołem stróżem, gdy ja będę jej pilnował?

- Nie potrzebuję opiekuna.

Roman prychnął.

- Powiedz to zabójcy.

- Mam nadzieję, że już wkrótce.

W sobotni rano Victoria zgodziłaby się wyjść za kogokolwiek, żeby tylko uciec z domu od milczących rodziców. Odwiedzała ją jedynie Lucy, ale nawet ona nie zjawiała się przez ostatnie dwa dni. Lady Stiveton twierdziła z uporem, że po ślubie wszystko się ułoży, jakby obrączka na palcu mogła poprawić jej opinię. Najgorsze, że było to bardzo prawdopodobne.

- To śmieszne - mruknęła do lustra.

- Tak, milady - zgodziła się Jenny, sznurując jej gorset.

- Mocniej - poleciła Victoria, chwytając się brzegu stołu. - Nie będę mogła oddychać, zemdleję i nie wyjdę za mąż.

- Świetny pomysł, ale najpierw musisz pochować wszystkie sole trzeźwiące - odezwał się od drzwi kobiecy głos.

- Lex!

Victoria podbiegła do Alexandry Balfour, hrabiny Kilcairn Abbey, i uściskała ją serdecznie.

- Więc to prawda - powiedziała Alexandra Balfour, wypuszczając ją z objęć. - Szkoda, że wcześniej nas nie zawiadomiłaś. Lucien omal nie zajeździł koni, żeby zdążyć do Londynu na czas.

- Gdyby to ode mnie zależało, nie byłoby żadnego ślubu - odparła panna młoda, siadając na łożku.

- Pani suknia, milady - zaprotestowała pokojówka.

- Zostawisz nas na chwilę, Jenny? - poprosiła hrabina.

Służąca dygnęła.

- Lady Victoria ma być w kościele o jedenastej.

- I będzie.

Po wyjściu Jenny lady Kilcairn usiadła obok przyjaciółki. Dostrzegłszy wyraz jej twarzy, Vixen się naburmuszyła.

- Nie potrzebuję wykładów, Lex. Mnie przynajmniej nikt nie zamykał w piwnicy, żeby zmusić do małżeństwa.

Alexandra się roześmiała.

- Punkt dla ciebie. Opowiedz, co właściwie się stało.

- Nic wielkiego. Na przyjęciu u Frantonów po-

całowała markiza Althorpe, wszyscy goście to zobaczyli i ojciec postanowił, że muszę wyjść za mąż.

- Dlaczego całowałaś się w publicznym miejscu?
Victoria opadła plecami na łóżko.

- Nie wiem! Jest przystojny i...

- Odkąd skończyłaś dwanaście lat, wielu przystojnych mężczyzn padało przed tobą na kolana, ale z żadnym nie całowałaś się na przyjęciach.

- On pierwszy mnie pocałował.

- Hm.

- No dobrze, jestem idiotką. - Uderzyła pięściami w materac. - Zawsze wpadam w kłopoty.

- Najpierw działasz, potem myślisz.

Victoria Spiorunowała przyjaciółkę wzrokiem.

- Uważasz, że sama sobie jestem winna? W ciągu ostatniego tygodnia słyszałam to wiele razy, dziękuję ci bardzo.

- Zamierzałam powiedzieć, że odkąd cię znam, zawsze robisz to, co chcesz, i do niczego nie można cię zmusić.

- Więc sądzisz, że chcę wyjść za lorda Althorpe? Otóż nie. Jego reputacja jest gorsza niż moja, a że ni się ze mną tylko dlatego, żeby oszczędzić sobie trudu szukania innej kandydatki.

- Oświadczył ci to wprost? - zapytała Alexandra z powątpiewaniem.

- Tak.

Przyjaciółka wstała.

- W takim razie nie zasługuje na ciebie, Vix. Niestety już za późno na odwołanie ślubu.

- Wiem, ale nie mogę uciec i zostać aktorką albo kimś takim.

- Masz rację. Pocieszę cię jednak, że po pierwszym spotkaniu nigdy nie wyszłabym za Luciena. Zakochałam się w nim, gdy go lepiej poznałam. Radzę, żebyś nie spieszyła się z oceną lorda Althorpe. Rozumu zapewne mu nie brakuje, skoro w niebezpiecznych czasach przeżył w Europie pięć lat.

- Przez sześć miesięcy mieszkał w burdelu. - Victoria westchnęła. - Wyjdę za niego, Lex, bo inaczej wszyscy uznają, że nie obchodzi mnie honor rodziny. Ale nie chcę mieć nic wspólnego z Sinem Graf-tonem. Chyba że okaże się innym człowiekiem.

Alexandra pocałowała ją w policzek.

- Nie trać nadziei. Może cię zaskoczy.

- Mam nadzieję.

- Oszalałeś? - warknął John Bates.

- Niewykluczone. - Sinclair spojrział w lustro. - Świetnie, Romanie. Przeszedłeś samego siebie.

- Jasne - mruknął lokaj. - Musisz dobrze wyglądać, idąc na ściecie.

- Sin, nie możesz się ożenić! Przecież miałeś unikać wszelkiego zaangażowania, dopóki...

- Potrzebuję jej.

- Potrzebujesz? A może pragniesz?

- To też, ale...

- Więc przerzuć ją przez ramię i...

- Uważaj, Bates! Mówisz o mojej przyszłej żonie.

- Zostało dwadzieścia minut - uprzedził Roman. - Gdzie Crispin? Tylko on potrafiłby przemówić Sino-wi do rozumu.

- Masz rację. Pójdę po niego. Nie wychodźcie, póki nie wrócę.

Sinclair łypnął na niego spode łba. Zamierzał poślubić Victorię Fontaine nie tylko dlatego, że ich związek mógł pomóc mu w schwytaniu mordercy.

- Thomas chyba znał zabójcę - powiedział, siląc się na spokój. - Według wszelkiego prawdopodobieństwa mordercą jest któryś z przyjaciół panny Fontaine.

- A jeśli coś się jej stanie?

- Nie dopuszczę do tego. Gdy już znajdziemy zabójcę, a ona zechce unieważnić małżeństwo, nie będę się sprzeciwiał.

W tym momencie uświadomił sobie, że wcale mu się nie podoba ta perspektywa. Pragnął Victorii i chciał, żeby ona też go pragnęła. Co gorsza, zależało mu również na tym, żeby go polubiła. Niestety musiałby jej najpierw wyznać, kim jest naprawdę.

- Jeśli nie odzyskałeś rozsądku, lepiej ruszajmy do kościoła - powiedział Roman.

Dzięki wieloletniej praktyce Sinclair skutecznie ukrył zdenerwowanie.

- Nadal uważam, że byłoby lepiej, gdybym zjawił się pijany. Co wy na to?

- Ja bym tak zrobił - mruknął Bates.

- A ja nie - oświadczył lokaj. - Przecież masz się wkupić w łaski wyższych sfer. Jeśli wprawisz ich przedstawicieli w zakłopotanie, staniesz się dla nich niepożądaną osobą, a wtedy cała gra pójdzie na marne.

Sinclair pokiwał głową.

- Słuszna uwaga.

- Poza tym musisz być trzeźwy, by zrozumieć, że popełniasz największy błąd w życiu - dodał Bates.

- Jeden z wielu. Ale gdyby wszystkie moje błędy wyglądały jak Vixen Fontaine, nie żałowałbym ich ani przez chwilę. - Sięgnął po rękawiczki z koźlecej skóry. - Romanie, lord Stiveton przyśle rzeczy córki. Zanieś je do sypialni przylegającej do mojej.

- Powiedz to również Milo, bo mnie nie będzie słuchał.

- Już to zrobiłem, ale chcę, żebyś ty czuwał nad wszystkim.

Lokaj westchnął.

- Dobrze. Wolałbym jednak, żebyś ufał nie tylko czterem ludziom na świecie.

Sin uśmiechnął się i klepnął go po plecach.

- Kto powiedział, że ci ufam?

Roman łypnął na niego spode łba i rzucił burkliwym tonem:

- Przygotuję ci walizkę na wypadek, gdybyś zmienił zdanie.

4

Jedyną, co Victoria zapamiętała ze swojego ślubu, to lśnienie. W świetle wpadającym przez ogromne kolorowe witraże oraz w migotliwym blasku setek świec iskrzyły się korale, perły, cenne kamienie. Nie zemdląca, choć wystarczyłby lekki podmuch wiatru, żeby osunęła się na marmurową posadzkę.

Zjawili się wszyscy, od księcia Jerzego po księcia Wellingtona i księcia Monmoutha. Uśmiechali się dobrotliwie, gdy bezmyślnie powtarzała słowa arcybiskupa. Cała uroczystość wydawała się jej wielkim oszustwem. Goście nie musieli być tacy weseli, nie musieli świętować katastrofy.

Kiedy arcybiskup ogłosił ich mężem i żoną, a Sinclair Grafton uniósł jej welon, w jego bursztynowych oczach dostrzegła rozbawienie. Spiornowała go wzrokiem.

- Nie chmurz się - szepnął. - Nie sprawię ci zawodu.

Nachylił się i musnął wargami jej usta.

Nad słowami, które rasowemu uwodzicielowi raczej nie przeszłyby przez gardło, zastanawiała się przez całe przyjęcie weselne w Fontaine House. Jeśli w ten sposób przeproszał, trochę się spóźnił.

- Piękna z ciebie panna młoda.

Odwróciła się na dźwięk niskiego głosu, przygo-

towana na kolejne głupie gratulacje i życzenia. Na widok wysokiego, szczupłego mężczyzny w czarnym fraku uśmiechnęła się miło.

- Lucien.

Hrabia Kilcairn Abbey ujął jej dłoń.

- Cokolwiek powiedziałaś Alexandrze, ja wiem, że nikt jeszcze nie przechytrzył Vixen. Co knujesz?

Westchnęła, spostrzegłszy, że w drugim końcu pokoju jej mąż rozmawia i śmieje się z jakimiś młodymi, wyraźnie podпитыi mężczyznami.

- Chyba jednak zostałam przechytrzona. Kiedyś to musiało się stać.

- Hm. Nie wyczerpałaś jeszcze wszystkich możliwości, milady.

- Co masz na myśli?

Kilcairn wzruszył ramionami.

- Jeśli go nie lubisz, zastrzel.

Parsknęła śmiechem.

- Dość niekonwencjonalne posunięcie, ale zapamiętam twoją radę.

- Jesteś moją przyjaciółką - dodał ściszym głosem. - Jeśli będziesz czegoś potrzebować, daj mi znać.

- Lex kazała ci to powiedzieć?

- Nie. Stwierdziła tylko, że nie cieszysz się z małżeństwa. Oferta pomocy wyszła ode mnie.

Hrabia nigdy nie składał pustych obietnic.

- Dziękuję, Lucienie, ale sama sobie poradzę.

- Chyba nie zostaliśmy sobie przedstawieni - rozległ się za nią męski głos.

Sinclair podszedł tak cicho, że nie usłyszała jego kroków. Ujął jej dłoń, ale patrzył na Balfoura. W jego oczach malowało się coś dziwnego. Czyżby zazdrość?

- Lordzie Althorpe, oto hrabia Kilcairn Abbey.
Lucienie, lord Althorpe.

Obaj wysocy i ciemnowłosi mogliby uchodzić za braci. Bursztynowe oczy mierzyły się z szarymi.
Lucien pierwszy skinął głową.

- Miałeś szczęście, Althorpe.

- Też tak uważam - odparł wicehrabia lodowatym tonem.

- Więc je doceń.

Grafton zmrużył oczy. Victoria zareagowała, nim rzucili się na siebie z pięściami.

- Dość potrząsania dzidami.

W szarych oczach błysnęło rozbawienie.

- Dobrze. Żadnego rozlewu krwi na twoim przyjęciu weselnym. Do widzenia, Althorpe.

Trzeba oddać Sinclairowi, że zaczekał, aż hrabia wyjdzie z sali balowej.

- Kto to był?

- Mówiłam, że lord Kilcairn, Lucien Balfour - odparła zaskoczona gwałtownością męża.

- Jeden z twoich podbojów?

- Jesteś zazdrosny.

- Chcę jedynie poznać przeciwników.

- Lucien do nich nie należy. - Odsunęła się o krok. - Dobrze jednak wiedzieć, że podejrzewa mnie pan o romans już w dniu ślubu, milordzie.

-Ja...

- Dziękuję - ciągnęła rozniewana. - Zapewne sądzi mnie pan według siebie.

- Skończyłaś?

- Tak.

- Uważam, że powinnaś mówić mi Sinclair albo Sin.

- Wolałabym, żeby nie zmieniał pan tematu, po tym jak pan mnie obraził, milordzie.

- Postaram się. Zatańczysz ze mną, żono?

Z jednej strony miała ochotę wymierzyć mu policzek i uciec, z drugiej pragnęła paść mu w ramiona i pozwolić, żeby spełnił swoje obietnice. Ujęła jego wyciągniętą rękę.

- Chyba powinnam.

W tym momencie orkiestra zagrała walca. Gdy ruszyli na parkiet, ogarnęło ją takie samo obezwładniająca uczucie jak w ten wieczór, kiedy się poznali.

- Jesteś zdenerwowana?

- Dlaczego? Walc nie jest trudny.

- Drżysz. Myślisz o nocy?

Podziwiała pewność siebie, ale nie znosiła arogancji.

- Nie będzie żadnej nocy poślubnej. Nasze małżeństwo pozostanie farsą.

Przez długą chwilę w milczeniu wirowali po sali.

- Tak bardzo mnie nie lubisz? Tydzień temu było inaczej.

- Co innego całować się z panem, a co innego rozmawiać.

- Rozmowa może zaczekać.

Poczerwieniała. Do licha, od wieków tak często się nie rumieniła.

- Kobiety zapewne lubią pańskie umizgi. Wiem, że odnosił pan sukcesy jako uwodziciel. Inaczej uznałabym pana za zwykłego głupca.

W bursztynowych oczach pojawił się błysk.

- Nie jestem głupcem, Victorio. Są nimi adoratorzy, którzy wypuścili cię z rąk. Ja dostanę główną nagrodę.

- Dużo za nią zapłaciłeś, Sinclairze, ale niepotrzebnie.

Jego uśmiech przyprawił ją o rozkoszny dreszcz. Niestety on też to zauważył.

- Chyba wiesz, że prędzej czy później ją dostanę. I myślę, że trochę się boisz.

- Na pewno nie pana, milordzie.

- Sinclairze.

- Sinclairze. Łatwo się rozmawia z mężczyznami - stwierdziła z nadzieją, że w jej głosie nie słychać desperacji. - Wystarczy im pochlebiać.

- Ja nie potrzebuję pochlebstw i dlatego budzę w tobie niepokój, a chcę jedynie lepiej cię poznać.

- O, tak!

- Wiesz mniej, niż ci się zdaje.

Muzyka umilkła i Victoria z ulgą odsunęła się od męża.

- To twoja opinia.

Sinclair nie zabrał ciepłej, silnej ręki z jej talii. Spojrzał na orkiestrę i lekko skinął głową. Zanim Victoria zdążyła go pouczyć, że nie gra się dwóch walców po kolei, rozbrzmiały znajome tony.

- Nie możesz cały czas ze mną zatańczyć.

- Nikt mnie nie powstrzyma. Niedawno się pobraliśmy, pamiętasz? Poza rym rzuciłaś mi wyzwanie.

- Wcale nie.

- Powiedziałaś, że chcę cię poznać tylko pod tymi względami, które mnie interesują.

- Nie...

- W pewnym sensie miałaś rację, bo poznanie cię jest jednym z moich pragnień. Bądź więc łaskawa i opowiedz mi coś o sobie.

- Nie lubię cię.

Jego cichy śmiech przeszył ją aż po palce stóp.

- Nie chodziło mi o moją osobę, kochanie.

Wręcz pożerał ją wzrokiem. Victoria zacisnęła szczęki.

- Więc sam wybierz temat.

- Dobrze. - Rozejrzał się po pokoju. - Twoi przyjaciele. Opowiedz mi o nich. - Dyskretnym skinieniem głowy wskazał na krępego mężczyznę o kwadratowej szczęce, który tańczył z Dianę Addington. - Co on robi na twoim weselu?

Poszła za jego spojrzeniem.

- Nie wiem. Jego też nie lubię.

- Dlaczego?

- Bo topi kociaki. To wicehrabia Perington.

- Świętym nie zostanie, ale trudno nazwać go zbrodniarzem.

- Prowadzi rachubę.

- W takim razie jak zdobył zaproszenie?

- Od moich rodziców. W zeszłym sezonie poprosił mnie o rękę i moja odmowa bardzo go uraziła.

Sinclair posępniał.

- Przypuszczam, że twoi rodzice chcieli naprawić z nim stosunki.

- Nie. Chcieli poprawić mu humor, pokazując, jak złęgo wyboru dokonałam. Mojemu ojcu zależy, żeby Perington eksportował ceramikę wyrabianą w fabrykach Stivetona. Mam mówić dalej?

Jego oczy jarzyły się tak samo jak wtedy, gdy tańczyli walca. Nie dostrzegła w nich śladu znudzenia.

- Tak. Kim jest ten strach na wróble stojący przy stole z przekąskami?

- Ramsey DuPont. Oświadczył mi się w zeszłym roku.

- W tym samym fraku.

- Możliwe. Cytrynowozielony to jego ulubiony kolor. Ramsey twierdzi, że podkreśla jego karnację.

- Odrzuciłaś go z powodu złego gustu?

- Odrzuciłam go, bo go nie lubię.

- A konkretnie?

Uśmiechnęła się lekko.

- Szukasz pułapek, żeby samemu ich uniknąć?

- Nie, po prostu jestem ciekawy.

- Irytowała mnie pewność Ramseya, że za niego wyjdę.

- Jak w takim razie przyjął twoją odmowę? - W głosie Sinclaira nie było cienia zazdrości.

- Źle. Jestem zaskoczona, że przyszedł na wesele. Może zamierza urządzić scenę.

- To byłoby interesujące. Podejrzewam jednak, że skończyłoby się na krzykach i wygrażaniu pięściami.

- Zapewne. A liczyłeś na *coś* więcej?

- Po prostu lubię być przygotowany.

Nadal nic o nim nie wiedziała, podczas gdy on dowiedział się o niej paru nieistotnych drobiazgów.

- Twoja babcia jest czarująca. A tamten to twój brat Christopher, tak?

Gdy walc się skończył, Sinclair zaprowadził ją do stołu z przekąskami.

- Tak. Dziwię się, że wcześniej ich nie poznałaś, skoro byliście z Thomasem przyjaciółmi.

Znowu usłyszała nutę zazdrości w jego głosie. Zlekceważył Perigntona i Ramseya, natomiast Luciena i Thomasa uznał za poważne zagrożenie. In-

teresujące. Zaczęła się zastanawiać, czy na inne kobiety też patrzy takim wzrokiem. Pewnie tak, sądząc po jego reputacji.

- Na pogrzebie złożyłam im kondolencje, ale oczywiście nie wdawałam się w rozmowę.

Zmierzył ją baczny spojrzeniem.

- Byłaś na pogrzebie?

- Jak prawie wszyscy. A ty dlaczego nie przyjechałaś?

Nim zdążył odpowiedzieć, podeszła Lucy Havers i ucałowała przyjaciółkę w oba policzki.

- Jesteś najpiękniejszą panną młodą, jaką w życiu widziałam. Dianę oznajmiła swojej mamie, że kiedy będzie wychodzić za męża, chce mieć taką samą suknię jak ty. Powiedziałam, że wtedy będzie już niemodna.

- Teraz rozumiem, dlaczego panna Addington pije tyle madery - rzucił Sinclair.

Victoria zdziwiła się, że zauważył taki szczegół i że w ogóle wiedział, o kim mowa.

- Dziękuję, Lucy.

- Nie powinna była zostawiać cię samej w zeszłym tygodniu. Wcale jej nie żałuję.

- Nie wszyscy mają rodziców tak wyrozumiałych jak twoi - stwierdziła Vixen, zerkając na swoich, którzy przez całe popołudnie z dumą przyjmowali dziesiątki gratulacji.

- Gdzie się wybieracie na miesiąc miodowy?

- Nigdzie - odparł Sinclair, biorąc szklankę ponczu od lokaja. - Dopiero co wróciłem do kraju i muszę najpierw zająć się pilnymi sprawami.

- A niech to! Powiedziałam Diane, że chyba jedziecie do Hiszpanii.

- Na pewno odwiedzimy Hiszpanię, jeśli wyruszymy w podróż poślubną - bąknęła niepewnie Victoria; była nie tyle zaskoczona, co rozczarowana.

W policzkach Lucy ukazały się dołeczki.

- Oczywiście.

Kiedy przyjaciółka ruszyła w stronę Diane Addington, Victoria zabrała dłoń z przedramienia męża.

- Mogłeś wcześniej mnie poinformować.

- O czym?

- O naszych planach. Albo raczej ich braku.

Na twarzy Sinclaira odmalowało się zmieszanie.

- Sama oświadczyłaś, że nie będziemy udawać, że nasze małżeństwo jest czymś więcej niż farsą.

Rzeczywiście.

- Tylko między sobą.

- A świat ma wierzyć, że zakochaliśmy się od pierwszego wejrzenia, tak?

- Coś w tym rodzaju.

- Więc daj mi rękę.

- Nie musisz przez cały czas mnie obejmować, żeby wszyscy myśleli, że się lubimy.

- Nie potrafisz słać maślanych spojrzeń przez pokój, milady.

Już miała odpowiedzieć w podobnym stylu, gdy zobaczyła, że zmierza ku nim lord William Landry.

- Jak długo musimy tu zostać? - zapytała pośpiesznie.

- Sądziłem, że lepiej się poznajemy.

- Wystarczy mi tego poznawania jak na jeden dzień.

- W takim razie jedźmy do domu.

Victorię raptem ogarnęły wątpliwości. Może jed-

nak powinna dłużej zostać na przyjęciu. To jednak niewiele zmieni, skoro jej rzeczy już wysłano do Grafton House.

- Dobrze.

Sinclair wziął ją za rękę i chyłkiem, bez pożegnania, wymknęli się z sali balowej.

- Timms, każ stajennemu sprowadzić mój powóz - polecił, gdy znaleźli się w holu.

Kamerdyner się zawahał.

- Oczywiście, milordzie, ale...

- Natychmiast.

Służący się ukłonił.

- Dobrze, milordzie.

Podczas gdy czekali przy frontowych drzwiach, z góry dobiegały dźwięki muzyki. Goście chyba jeszcze się nie zorientowali, że państwo młodzi zniknęli.

Victoria ukradkiem zerknęła na profil Sinclaira. Alexandra i Lucien twierdzili, że nie dopuściłaby do tego małżeństwa, gdyby rzeczywiście go nie chciała. Związek z niepoprawnym uwodzicielem i hulaką nie był dobrym lekiem na nudę.

Mimo wszystko paliła ją ciekawość. Coś w Sinie Graftonie wywabiło ją do ogrodu tamtej nocy i ta sama tajemnicza siła powstrzymała ją przed ucieczką z kościoła. Teraz jednak zastanawiała się, czy to coś - zapewne fizyczne pożądanie - może wynagrodzić jej marzenia o wolności i niezależności, które właśnie pierzchły.

Wicehrabia Perington, Ramsey DuPont i Lucien Balfour. Do pierwszych dwóch podejrzanych dołączył trzeciego. Vixen znała ich wszystkich, wiedzia-

ła o nich rzeczy, o których on nie miał pojęcia, i na razie nie powiedziała nic, co skłoniłoby go do skreślenia ich z listy. Wręcz przeciwnie. Zerknął na żonę siedzącą w kącie powozu.

Po raz pierwszy w życiu nie był pewien, co robić dalej. Nieraz zapędzał ludzi w pułapki, ale nigdy nie miał z tego powodu wyrzutów sumienia. Teraz nie potrafił przekonać samego siebie, że Victoria Fontaine - obecnie Grafton - zasłużyła na taki los.

- W czasie przyjęcia twój ojciec kazał wysłać resztę twoich rzeczy - odezwał się, zdeprymowany jej milczeniem i rezerwą.

- Wiem. Gdzie będę spać?

Przez jakiś czas łudził się, że jednak będzie noc poślubna. Do chwili kiedy publicznie oznajmił, że nie wybierają się na miesiąc miodowy.

Sposępniał, ale gdy na niego zerknęła, przybrał obojętną minę. Musiał zostać w Londynie. Nawet nie przyszło mu do głowy, żeby przynajmniej naradzić się z nią w sprawie podróży. Zachował się jak gbur i prostak.

- Chyba nie zdołam cię przekonać, żebyś dzieliła ze mną łóżko? - zaryzykował, bo pewnie tego się spodziewała.

Odwróciła głowę od okna.

- Nie, ale oczywiście mógłbyś mnie zmusić...

- Nie - przerwał jej stanowczo. - To wbrew moim zasadom. - Dostrzegł zdziwione spojrzenie Victorii. - O co chodzi?

- Sądząc po pośpiechu, z jakim przejąłeś obowiązki związane z tytułem, wydawało się, że chcesz założyć rodzinę. Sam stwierdziłeś, że nasze małżeństwo pasuje do twoich planów.

- Lubię wyzwania.
Uśmiechnęła się.
- Chętnie ci je zapewnię.
- Potrafię być bardzo przekonujący, Victorio.
Pragnę cię. Chcę jeszcze raz posmakować twoich ust.
Oblała się rumieńcem.
- Nie posmakujesz ich prędko, milordzie.
- Sin. Zaczekam. Ulokowałem cię w sypialni przylegającej do mojej. W obu drzwiach są zamki.
Dam ci klucz.
- A ty będziesz miał swój?
Potrzęsnał głową.
- I tak wkrótce mnie zaprosisz.
Powóz zakołysał się i stanął, ale minęło prawie pół minuty, zanim zasapany Orser otworzył drzwi i opuścił schodki.
- Nie spodziewaliśmy się pana tak wcześnie, milordzie.
- Domyśliłem się.
Gdy Sinclair wysiadł z karocy i podał żonie rękę, z zadowoleniem ujrzał, że zgodnie z jego poleceniem dwudziestu dwóch służących wybiega z domu i karnie ustawia się na podjeździe.
- Widzę, że spowodowałam zamieszanie - szepnęła Victoria.
Z uśmiechem poprowadził ją ku schodom.
- Uwielbiam zamieszanie.
- Jeszcze zobaczymy, milordzie - odparła, puszczając jego rękę.
Bez śladu zdenerwowania uprzejmie skinęła głową personelowi, który z ciekawością przyglądał się nowej pani.

- Victorio, to nasz kamerdyner Milo - powiedział gospodarz. - Milo, z przyjemnością przedstawię ci markizę Althorpe.

Mężczyzna ukłonił się nisko, po czym zaczął prezentować jego żonie pozostałych służących. Sinclair poznał ich w podobny sposób zaledwie przed paroma tygodniami. Dzisiaj jednak, mimo zaskoczenia, wydawali się mniej skrępowani. Nic dziwnego; lady Althorpe nie zajmowała miejsca ich ukochanego pana. Poczował ulgę. I tak czekało ją wiele nowych przeżyć.

Roman nie dołączył do reszty personelu, tylko z ukrycia obserwował scenę powitania. Albo zawierał znajomość z pokojówką Victorii, która również była nieobecna na podjeździe.

- Dziękuję, Milo.

- Czy państwo będą dzisiaj jeść kolację w domu?

Sinclair doszedł do wniosku, że byłoby przesadą, gdyby spędził wieczór ze swymi towarzyszami. Zresztą oni pewnie nadal skrzętnie zbierali informacje wśród weselnych gości.

- Tak. - Kiedy stanęli na szczycie schodów, zerknęła na żonę. - Mam cię przenieść przez próg, milady?

Na policzki Victorii wypłynął rumieniec.

- Nie. Raczej nie.

- Jak sobie życzysz.

Ukrył rozczarowanie i dwornym gestem wskazał na drzwi. Z ledwo dostrzegalnym wahaniem weszła do Graf ton House. Gdy objęła wzrokiem ciemną, wypolerowaną podłogę holu i ściany wyłożone mahoniem, uświadomił sobie, że jego brat miał dobry, ale bardzo konserwatywny gust.

- Po prawej stronie jest pokój dzienny - wyjaśnił. - Do niego przylega salon z zapasem doskonałej brandy Thomasa. Po lewej...

- Chciałabym pójść do swojego pokoju i odpocząć.

W tłumie służących rozbrzmiały szepty. Sinclair stłumił westchnienie i ruszył ku krętym schodom.

- Tędy, proszę. Przecież tylko my dwoje mieliśmy wiedzieć, że nasze małżeństwo jest fikcją.

- Powiedziałam, że jestem zmęczona, bo to prawda.

- Chyba nie chcesz się ukryć?

Zatrzymała się na podeście.

- Oczywiście, że nie. Przecież się ciebie nie boję.

Postąpił krok w jej stronę.

- To dobrze. Do kolacji zasiadamy o ósmej, chyba że wymyślisz dla nas jakieś ciekawsze zajęcie.

- Hm. Mam pustkę w głowie. Będziesz musiał sam znaleźć sobie rozrywkę.

Wyciągnęła rękę. Gdy tak stała przed nim w delikatnej sukni ślubnej z jedwabiu i koronek, zapragnął wyjąć spinki z jej ciemnych włosów i rozpuścić je na ramiona.

- Klucz - powiedziała krótko.

Sinclair zamrugał.

- Mówisz poważnie - stwierdził zaskoczony.

- A dałam ci powody, żebyś w to wątpił?

Potrząsnął głową. Wielki szpieg został przechytzony przez drobną kobietkę, która ledwo sięgała mu do ramienia.

- Nie. - Wyjął z kieszeni klucz i niechętnie położył go jej na dłoni. - Nie zrobię ci krzywdy, Victorio - zapewnił cicho. - Nie jestem taki straszny.

Przez długą chwilę patrzyła na niego w milczeniu.

- Mam nadzieję - powiedziała w końcu zduszonym głosem.

-Twoje pokoje są tutaj. Moja sypialnia to następne drzwi.

- Dziękuję, milordzie... Sinclairze.

- Proszę. Cały dom należy teraz do ciebie.

- Chyba nie myślisz, że ucieknę?

Uśmiechnął się.

- Na razie tego nie zrobiłaś.

Wyglądało na to, że Sinclair wcale nie ma ochoty się z nią rozstawać. Ona też mogłaby jeszcze długo tak stać na korytarzu i przekomarzać się z mężem, ale zwyciężył rozsądek i zmęczenie. Z półuśmiechem wśliznęła się do swojej sypialni i zamknęła za sobą drzwi. Gwałtownie wciągnęła powietrze, gdy coś otarło się jej o kostki.

- Lord Baggles! Ale mnie przeraziłeś! Co tu robisz?

- Nie chciał wejść do klatki - powiedziała Jenny, wychodząc z garderoby. - Pomyślałam, że może lady Kilcairn się nim zajmie podczas państwa nieobecności.

Victoria schyliła się i wzięła na ręce szaro-czarnego kota.

- Żeby jej nieznośny Szekspir szarpał go za śliczne małe uszka?

- Więc kto o niego zadba? Ten nadęty Milo? Albo panna Lucy? Zostawiłam dwa kufrы zapakowane, jak pani kazała, ale nie wiem, jaki strój podróżny przygotować.

- Żaden. Zostajemy w Londynie.

-Ale...

- Lord Althorpe dopiero wrócił do Anglii. Na razie ma dość włóczenia się po kontynencie.

- Posłać po resztę pani ulubieńców, milady?

- Tak. Moi rodzice z ulgą się ich pozbędą, a mnie przyda się towarzystwo przyjaciół.

Jenny odchrząknęła.

- Przynajmniej lord Althorpe był wspaniałomyślny, jeśli chodzi o pokoje. Nareszcie wystarczy miejsca na pani suknie.

- To równie dobry powód do zamążpójścia jak inne. Chodźmy się rozejrzeć.

Rzeczywiście Sinclair przydzielił jej nie tylko sypialnię i garderobę, ale również prywatny salon oraz małą oranżerię z dużymi oknami i tarasem. Delikatne rośliny wyglądały na zaniedbane po śmierci Thomasa Graftona. Victoria nie pasjonowała się ogrodnictwem, ale czytanie w tym ładnym, dobrze oświetlonym pomieszczeniu mogło okazać się całkiem miłe. Gospodarz zadbał o jej wygodę i prywatność. Z pewnością doceniłaby jego troskę, gdyby lubiła samotność. Niestety, jak często ubolewał jej ojciec, była najbardziej towarzyską istotą w Londynie.

Wracając do sypialni, zwróciła uwagę na drzwi do apartamentu pana domu. Kusiło ją, żeby chwycić za klamkę i sprawdzić, czy są zamknięte na klucz, ale stchórzyła. Nie czuła się gotowa do spotkania z mężem sam na sam. W jego obecności zbyt często traciła głowę.

Z wahaniem popatrzyła na klucz, który dostała od Sinclaira, po czym włożyła go w zamek i przekręciła. Trzask nie sprawił jej oczekiwanej satysfakcji.

- Niebieski muślin czy zielony jedwab, milady?

Drgnęła.

- Hm? Zielony jedwab. Nie wiem, jak należy się ubrać na pierwszą kolację z mężem, ale wolę być raczej przesadnie wystrojona niż rozebrana.

Pokojówka zmierzyła ją wzrokiem.

- Chyba ubrana zbyt skromnie, milady?

Victoria łypnęła na nią groźnie i opadła na łóżko.

- Oczywiście.

- Jest pani żoną bardzo przystojnego dżentelmena, więc na to drugie też przyjdzie pora - dodała służąca.

- Jenny!

Pokojówka się zaczerwieniła.

- Taka jest prawda, milady.

- Nasze małżeństwo to fikcja.

- Ciekawe, czy podobnie uważa markiz.

- Nie mam pojęcia. I nic mnie to nie obchodzi.

Wbrew temu zapewnieniu dużo czasu poświęciła na rozpamiętywanie pocałunków męża. Choć znała rozkład ogromnych londyńskich rezydencji, zgubiła się w drodze na kolację. Trafiła do biblioteki i do pokoju muzycznego.

W jadalni już na nią czekało w równym rzędzie sześciu lokajów. Sinclair jeszcze się nie zjawił.

- Dobry wieczór.

Kamerdyner pospiesznie odsunął jej krzesło.

- Dobry wieczór, milady.

- W ciągu ostatniego miesiąca dużo się tu wydarzyło - zagaiła przyjaznym tonem. - Najpierw nowy markiz, teraz jego żona. Od dawna jesteś zatrudniony w Grafton House, Milo?

- Tak, milady. Została więcej niż połowa personelu poprzedniego lorda Althorpe.

- Był dobrym człowiekiem.

- Bardzo dobrym - odparł mężczyzna z wielkim przekonaniem.

- Lord Althorpe pewnie jest zadowolony z takiej lojalności. Jak długo służyłeś u Thomasa?

- Pięć lat, milady. Drań, który go zabił, zasługuje na stryczek.

Lokaje energicznie pokiwali głowami, ale Victoria zaczęła się zastanawiać, czy bardziej boli ich utrata dawnego pracodawcy, czy pojawienie się nowego.

- Tu jesteś! - dobiegł głos od drzwi.

Po plecach Victorii przebiegł znajomy dreszczyk.

- Dobry wieczór, Sinclairze.

- Wyglądasz oszałamiająco - powiedział, zajmując miejsce po drugiej stronie długiego stołu.

- Dziękuję.

Skłonił głowę.

- Zaszedłem po ciebie, ale widzę, że sama sobie poradziłaś.

- Londyńskie rezydencje są do siebie podobne.

Mówiła banały, ale w obecności męża często brakowało jej słów, więc była zadowolona, gdy udawało się jej sklecić sensowne zdanie.

- Pewnie tak. Niewiele ich odwiedziłem od powrotu do kraju. Powinienem się tym zająć.

- Nie ma potrzeby. Służba wszędzie zaprowadzi rzadkiego gościa, a bywalcy wiedzą, gdzie iść.

Przez moment twarz Sinclaira jakby spochmurniała, ale szybko pojawił się na niej słynny uśmiech uwodziciela.

- Zdaje się, że należę do rzadkich gości.

Widać zapomniał, że ona jest pierwszy raz w Grafton House.

- Sama tak się czuję - powiedziała, by mu uświadomić, że to on powinien dodawać jej otuchy, a nie na odwrót.

- Będziemy musieli temu zaradzić. Chętnie oprowadzę cię po domu, kiedy tylko zechcesz. Może jutro.

- Jutro idę na obiad dobroczynny.

Uniósł brew.

- O ile wiem, sądziłaś, że jutro już nas nie będzie w mieście.

Do diabła!

- Tak, ale zgodziłam się wziąć udział w tym obiedzie, jeszcze zanim cię poznałam. Muszę na niego pójść, skoro będę w Londynie. Sam mówiłeś, że nie powinnam zmieniać swojego rozkładu zajęć. - Miło nałożył jej na talerz pachnący kawałek pieczonego indyka. - Możesz mi towarzyszyć, jeśli chcesz.

Sinclair prychnął.

- Ja i obiad dobroczynny? Jeszcze nie oszalałem i nie rozumiem, dlaczego pozwoliłaś się w coś takiego wciągnąć.

- W nic nie pozwoliłam się wciągnąć, milordzie. Sama się zgłosiłam. Na tym polega dobroczynność. Na dawaniu czegoś od siebie.

- Jeśli tak brzmi definicja, w takim razie ten ptak również spełnił dobry uczynek, dając nam siebie.

- Skoro nie pojmujesz podstawowych rzeczy, już wiem, dlaczego w Europie zapomniałeś o lojalności wobec własnego kraju.

Sinclair zamarł, a następnie wolno odłożył sztucę i utkwiał w niej wzrok.

- Lojalności?

- Tak. Po co rozbijałeś się po Francji, kiedy Anglia toczyła z nią wojnę?

Przez chwilę nic nie mówił.

- Zawsze byłem lojalny wobec siebie - oznajmił w końcu i wrócił do jedzenia.

- To jeszcze gorzej, niż gdybyś opowiedział się po niewłaściwej stronie.

Zła i rozczarowana, wstała od stołu.

- Wybacz, ale chyba wcześniej się dzisiaj położę.

Nawet na nią nie spojrział.

- Dobranoc, Victorio.

- Dobranoc.

5

Chodząc po sypialni, Sinclair co rusz zatrzymywał się przy drzwiach garderoby, po czym znowu podejmował spacer. Niech to diabli! Nie wejdzie do jej pokoju! Chyba że sama zacznie go błagać.

Zakwestionowała jego lojalność. Vixen Fontaine, zepsuta, frywolna londyńska piękność! A przecież osiągnął cel: zrobił na wszystkich wrażenie, zwłaszcza na Bonapartem, że jest zbyt zajęty sobą i używaniem życia, by interesować się polityką. W Londynie z kolei ta opinia miała mu ułatwić schwytanie zabójcy Thomasa.

Ale gdy Victoria uznała, że jest nic nie wart, wcale mu się to nie spodobało.

- Idiota! - mruknął pod nosem. - Osioł.

Zegar na dole wybił drugą. Sinclair zaklął, chwycił płaszcz i wymknął się na ciemny korytarz. Bezszelestnie zszedł po schodach, omijając skrzypiące stopnie, i wśliznął się do gabinetu. Cicho otworzył okno balkonowe; przezornie naoliwił zawiasy od razu po powrocie do Londynu. Trzymając się cienia domu, pospieszył do stajni.

- Bates! - zawołał szeptem.

- Nareszcie - rozległ się za nim niski, gardłowy głos.

Sinclair odwrócił się, błyskawicznym ruchem sięgając po pistolet.

- Jezu!

Przycisnął lufę do skroni intruza.

- Nie ruszaj się.

- Nie zamierzam. Na litość boską, Sin, to był żart.

. Powoli opuścił broń i schował ją do kieszeni.

- Mało zabawny, Wally.

- Mówiłem mu, że nie będziesz zachwycony - odezwał się Bates, wychodząc zza rogu budynku w towarzystwie wysokiego, muskularnego mężczyzny.

Wally przeczesał ręką rzednące blond włosy.

- Gdybyś się nie spóźnił, nie zdążyłbym wpaść na ten pomysł.

Sinclair pokiwał głową.

- Straciłem rachubę czasu.

- Jasne. - Zęby Batesa zaśniły w blasku księżyca. - Przecież to twoja noc poślubna.

- Dziwię się, że w ogóle opuściłeś ciepłe łóżko - dodał Wally.

Grafton nie zamierzał tłumaczyć kolegom, że on i jego żona spędzili pierwszą noc małżeństwa w osobnych sypialniach. Wzruszył ramionami.

- Mówcie.

Płowowłosy gigant wysunął się przed Batesa.

- Ten domniemany świadek, którego tropiliśmy, okazał się starym pijakiem bez krzty rozumu - powiedział z miękkim szkockim akcentem.

- Niczego się nie dowiedzieliście?

- Niczego. Usłyszał, że dajemy pieniądze za informacje, ale nie sądzę, żeby odróżnił twojego brata od księcia Jerzego.

- Spodziewałem się, że oferowanie nagrody nic nie da, ale należało spróbować.

Szkot potrząsnął głową.

- Gdyby chodziło o pieniądze, ktoś złapałby drania już dwa lata temu.

- Wiem, ale nie możemy wyeliminować żadnego z podejrzanych bez zdobycia absolutnej pewności, że jest niewinny.

- To może długo potrwać, Sin.

Sinclair przeniósł wzrok na Batesa.

- Nie musisz mi pomagać.

Przyjaciel łypnął na niego spode łba.

- Daj spokój.

- Od czego chcesz zacząć? - zapytał Crispin Harding.

- Większość służących miała tamtej nocy wolne, a pozostali niczego nie widzieli ani nie słyszeli. Tak więc jakiś obcy zakradł się do wielkiego domu, odnalazł i zabił Thomasa, na nikogo się po drodze nie natykając. Albo zbrodnię popełnił ktoś, kto na tyle dobrze znał Grafton House i jego mieszkańców, żeby zrobić swoje i uciec niezauważony.

- Nie wiem, jak to możliwe, skoro nie było burzy z piorunami - stwierdził Bates w zamyśleniu.

- Już o tym rozmawialiśmy - burknął Wally, kułac się dla ochrony przed zimnym nocnym wiatrem.

Sinclair przeszył go wzrokiem.

- I będziemy rozmawiać, póki nie znajdziemy mordercy. Zmierzyłem, że biurko stoi trzy i pół metra od drzwi gabinetu. Do okna jest bliżej, ale jego jedno skrzydło do niedawna było sklezione farbą, a drugie skrzypiało tak głośno, że zbudziłoby umarłego.

- Trudno byłoby zaskoczyć twojego brata - za-

uważył Crispin. - A on nawet nie sięgnął po broń ani nie wstał z fotela.

- Otóż to. Założę się, że Thomas dobrze znał mordercę, i od tego właśnie zaczniemy.

- Żadnych zmian na liście?

- Na razie żadnych. Muszę uzyskać mocne alibi od świadków, zanim kogoś skreślę. Wally, ty zajmiesz się panem Ramseyem DuPontem. Wątpię, czy to człowiek, którego szukamy, ale ma pewną brzydką cechę. Bates, ty weźmiesz pod obserwację lorda Peringtona, który lubi topić kociaki i prowadzi firmę eksportową. Crispin przyjrzy się hrabiemu Kilcairn Abbey.

- Szczęściarz ze mnie - mruknął Szkot. - Sam Lucyfer Balfour. Wcześniej go nie podejrzewałeś.

- A teraz tak.

Nie mógł zapomnieć radości Victorii na widok Kilcairna. Byłby bardzo zadowolony, gdyby dowiedział się o nim czegoś brzydkiego.

- Będziemy się komunikować przez lady Stanton - dodał. - Jeśli przed czwartkiem nie dostanę od was wieści, spotkamy się o północy w Haremie Jezabel.

Bates zmrużył oko.

- Jesteś pewien?

- Tak. A o co chodzi?

- Wizyta żonatego dżentelmena u Jezabel może wywołać pewne zdziwienie.

Sinclair zaklął.

- Do diabła! Masz rację. W takim razie u Boodlesa. I bądźcie ostrożni.

- Ty też, Sin - powiedział Crispin. - Zrobiłem w życiu parę szalonych rzeczy, ale ożenić się dla dobra

śledztwa to zupełny idiotyzm, nawet jak na ciebie.

- Albo najlepsza strategia.

- Jasne. A może miałeś całkiem inny powód?

Graf ton się najeżył.

-Jaki?

- Dobranoc, Sin - rzucił Harding z szerokim uśmiechem.

Chwilę później trzech mężczyźni zniknęli w ciemności. Sinclair stał przez chwilę pod stajnią, po czym wrócił do domu przez taras.

Victoria puściła zasłonę i odsunęła się od okna. Nie widziała ich dobrze, ale była pewna, że trzech mężczyźni to ci sami, z którymi jej mąż rozmawiał na przyjęciu weselnym. Zabawne, że po południu sprawiali wrażenie kompletnie pijanych, a teraz wyglądali na zupełnie trzeźwych.

Usiadła na brzegu łóżka i z roztargnieniem pogłaskała Lorda Bagglesa. Nie znała uwodzicieli, którzy po nocy zakradaliby się do własnej stajni, w dodatku uzbrojeni. To nie wszystko. Zaintrygowała ją czujna postawa Sinclaira, jego sposób zachowania, gesty i wprawa w obchodzeniu się z bronią.

Westchnęła, bardzo zmęczona. Nie chciała szpiegować męża, tylko popatrzeć na księżyc.

Zapewne istniało logiczne wyjaśnienie powodów tego dziwnego spotkania. Nie mogła jednak wprost spytać o nie Sina, bo musiałyby się przyznać, że go obserwowała. Nie była jeszcze gotowa do otwartych rozmów.

Kiedy zeszła rano na śniadanie, poinformowano ją, że markiz wybrał się na przejażdżkę. W Fontaine House zwykle już na nią czekało w salonie paru młodych dżentelmenów z zaproszeniami na piknik albo wycieczkę powozem.

W Grafton House zabrakło nie tylko wielbicieli, ale również świeżo poślubionego męża. Poczowała lekką irytację, że jest lekceważona, i jednocześnie ulgę. Nie musiała silić się na uprzejmą konwersację przy stole.

- Milo, spodziewam się dzisiaj kilku przesyłek - oznajmiła, smarując tost masłem. - Jaki stosunek do zwierząt ma lord Althorpe?

- Do zwierząt, milady?

Uśmiechnęła się na "widok zdziwionej miny kamerdynera.

- Tak.

- Nie wiem, milady. Od swojego przyjazdu kupił parę koni.

Victoria zamarła z tostem uniesionym do ust.

- Powiedziałaś „przyjazdu”. Nie od powrotu? Nie znałaś lorda Althorpe, zanim przyjął tytuł?

Milo wziął imbryk od lokaja, dał mu znak, żeby wyszedł z jadalni, i sam napełnił jej filiżankę.

- Widziałem go wcześniej tylko raz, milady, tuż po tym, jak się tu zatrudniłem. Jego wizyta jednak była dość... krótka i dawny lord Althorpe nawet nie zdążył nas przedstawić.

Hm. Interesujące. Choć kamerdyner nie powiedział wiele, odniosła niejasne wrażenie, że nie lubi swojego nowego pracodawcy. Musiała jednak dowiedzieć się czegoś o mężu, skoro on sam nie kwapił się do zwierzeń.

- Szkoda. Czy nieżyjący markiz lubił brata?

- Tego oczywiście nie wiem, ale słyszałem kiedyś, jak się kłócili, a potem lord Althorpe rzadko mówił o bracie, chyba że przy czytaniu porannej gazety.

- Gazety?

- Tak. Kilka razy przy śniadaniu wykrzykiwał, że Sinclair głupio ryzykuje. To były jego słowa. Ja nigdy nie ośmieliłbym się wypowiadać sądów o żadnym z lordów Althorpe.

- Naturalnie. Szkoda, że bracia nie umieli się porozumieć. Ja zawsze żałowałam, że nie mam siostry, z którą mogłabym pogawędzić.

- Jest jeszcze młody Christopher. Mój pan świata poza nim nie widział.

- Zdaje się, że ty też go lubisz.

- To wspaniały młody człowiek.

- Poznałam go wczoraj. Też wydał mi się czarujący. Zdziwiłam się, że mój mąż wcześniej o nim nie wspomniał. - Słowo „mąż” dziwnie zabrzmiało jej w uszach, ale nie mogła wciąż mówić o Sinclairze „markiz” albo „lord Althorpe”.

- Lady Drewsbury nie pochwałała tego, że nowy markiz tak długo zwleka z przyjęciem tytułu. Oczywiście to tylko mój domysł.

Victoria zaśmiała się i położyła dłoń na ramieniu Milo.

- Doceniam twoją pomoc.

W tym momencie kątem oka dostrzegła jakiś ruch w holu, ale gdy się obejrzała, nikogo nie zobaczyła. Chwilę później trzasnęły frontowe drzwi.

- Proszę wybaczyć, milady.

Kamerdyner pospiesznie wyszedł z jadalni... i omal nie wpadł na pracodawcę.

- Tu jesteś, Milo! - wykrzyknął markiz, podając mu kapelusz. - Przypilnuj, żeby zajęto się Diabile, dobrze?

- Tak, milordzie.

- Dzień dobry, Victorio.

- Dzień dobry.

Sinclair nie zajął miejsca u szczytu stołu, tylko usiadł obok niej. Lokaje czym prędzej przenieśli zastawę.

Victorię przeszył dreszcz, gdy mąż oparł brodę na rękę i wpił w nią pałający wzrok.

- Diabile? - spytała, głównie po to, żeby odwrócić od siebie jego uwagę.

- To stosowne imię dla tej bestii. Prawdziwe brzmi Frederick Niezawodny i nie budzi należnego szacunku.

Roześmiała się, między innymi z poczucia ulgi, że najwyraźniej zapomniał o ich niezbyt miłym rozstaniu.

- Muszę się z tobą zgodzić.

Jego uśmiech sprawił, że szybciej zabiło jej serce.

- Dobrze spałaś? - zapytał cicho, podczas gdy lokaj nalewał mu kawy.

Nie próbował stwarzać pozorów w obecności służby. Z drugiej strony, domownicy zapewne już znali prawdę. Sama Victoria nie zachowała się taktownie poprzedniego wieczoru.

- Tak. Moje pokoje są bardzo ładne. Powinam wcześniej ci podziękować.

- Cieszę się, że przypadły ci do gustu, ale nie musisz dziękować.

- Mimo wszystko jestem ci wdzięczna.

- Przypuszczam, że kobieta lubi mieć kącik, w którym może się schronić przed domowym gwarem.

Znowu przypisywał jej pewne cechy, choć nic o niej nie wiedział. Gdyby nie zniewalające spojrzenie, wcale by go nie lubiła.

- Skoro mężczyzna ma swój zamek, kobieta potrzebuje chociaż jednego pokoju - powiedziała, obserwując Sina ponad brzegiem filiżanki.

Uniósł brew.

- Odnoszę wrażenie, że się ze mną spierasz, ale nie wiem, o co.

- Mylisz się. Nie znam cię na tyle, żeby się z tobą sprzeczać.

- Znowu zaczynasz? Jesteś uparta.

- To jedna z moich największych zalet.

- O której jest ten obiad?

Victoria wytrzeszczyła oczy, zaskoczona nagłą zmianą tematu. Najwyraźniej nie chciał się z nią kłócić. Nie wiedziała, co o tym sądzić.

- Muszę być u lady Nofton najdalej o pierwszej. Obiad zaczyna się o wpół do drugiej.

- Domyślam się, że zaproszone są same kobiety?

- Będzie również kilku dżentelmenów. Głównie liberałowie i społecznicy, ale trafiają się też duchowni.

- Przychodzą ładne dziewczyny, takie jak ty, czy bezzębne stare panny?

- Nie zwracam uwagi na wygląd moich przyjaciół - oświadczyła sucho. - Jeśli zamierzasz nawiązywać romanse, nie spodziewaj się, że będę przedstawiać ci kandydatki.

Jego lekki uśmiech powstrzymał ją przed następ-

ną obraźliwą uwagą. Sinclair zapewne zdawał sobie sprawę, jak bardzo na nią działa, i świadomie wykorzystywał swój urok.

Wziął z talerza truskawkę.

- Przepraszam, ale po prostu byłem ciekawy, co odpowiesz. Chyba nabrałem złych manier.

- Moja dawna nauczycielka, panna Grenville, mawiała, że najlepiej nie dawać powodu do przeprosin.

- Zapamiętam, ale naprawdę nie chciałem cię obrazić.

- Przyjmuję przeprosiny, mil... Sinclairze.

- Więc mężczyźni też są dopuszczani do waszego grona?

- Tak, chętnie ich widzimy. Dlaczego pytasz?

- Pomyślałem sobie, że mógłbym ci towarzyszyć. Spojrzała na niego zdumiona.

- Po co?

Nachylił się ku niej.

- Próbuję lepiej cię poznać. Odmówiłaś mi przyjemniejszego sposobu, więc jestem zmuszony chodzić na obiady charytatywne z klechami i torysami.

Victoria się zarumieniła.

- Twoje subtelne aluzje nie zachwieją moim postanowieniem.

- W takim razie muszę spróbować innych metod. - Nim zdążyła zareagować, nakrył dłonią jej rękę. - Mogę ci towarzyszyć?

- Zanudzisz się na śmierć, ale nowe doświadczenie może wyjdzie ci na dobre.

Sinclair wstał od stołu.

- Doskonale. Mam teraz pewną sprawę do załatwienia, ale niedługo wrócę.

Skinęła głową i pograżyła się w dociekaniach, dłaczego, u licha, jej mąż chce iść na obiad charytatywny.

- Popołudnie zapowiada się interesująco - mruknęła do filizanki.

Kamerdyner chrząknął ze współczuciem albo tak się jej wydawało.

Milo nikogo nie zabił.

Sinclair stał oparty o kontuar w sklepie Hobby'ego i z roztargnieniem obserwował sprzedawcę, który przeglądał stos pożółkłych rachunków. W jeden poranek, przy śniadaniu, Victoria dowiedziała się więcej od tego cholernego kamerdynera, niż jemu udało się wydusić przez prawie miesiąc.

To prawda, że Milo miał powody, by go nie lubić, ale chodziło o coś więcej. Pod wpływem Victorii sztywny mruk rozgadał się jak handlarka z targu rybnego. Poza tym szczerze lubił Thomasa.

Dzięki Bogu, że postanowił wśliznąć się do domu i sprawdzić, w jakim nastroju jest Victoria. Zrobił to w samą porę, by podsłuchać rozmowę w jadalni. Roman będzie rozczarowany, gdy się dowie o niewinności kamerdynera, ale Sin odczuwał ulgę.

- Jest. Thomas Grafton, lord Althorpe. Tego pana szukał, milordzie?

Sięgając po rachunek, Sinclair trącił łokciem sterłą papierów. Świszki zasłały podłogę.

- Do diaska! Przepraszam.

Sprzedawca ukucnął z cichym westchnieniem i zaczął zbierać faktury.

- Nic nie szkodzi, milordzie.

Gdy tylko mężczyzna odwrócił wzrok, Sin szybko przejrzał rachunki leżące na kontuarze. Tego dnia, kiedy Thomas przyszedł po nowe buty - a był to ostatni dzień jego życia - Hoby miał pięciu klientów spośród arystokracji.

Sinclair rozpoznał dwa nazwiska, zapamiętał pozostałe i cofnął rękę, zanim ekspedient się wyprostował.

- Ale bałagan - powiedział ze współczuciem.

- Wszystko w porządku. - Sprzedawca położył zebrane kartki na ladę i wyciągnął ze stosu jedną fakturę. - Jego lordowska mość zapłacił przy odbiorze, tak jak myślałem. Nic nie jest winien.

- To dobra wiadomość. Im mniej długów, tym lepiej.

- Tak, milordzie.

Załatwiwszy sprawę, Sinclair wrócił do faetonu i ruszył ku Berkeley Square. Przynajmniej raz mu się poszczęściło. Nie wiedział, że Astin Hovarth był tamtego tygodnia w Londynie. Chętnie by porozmawiał z dobrym przyjacielem Thomasa, który znał inne osoby z otoczenia brata i jego zwyczaje. Przed tym cholernym obiadem charytatywnym powinien zdążyć napisać list do hrabiego Kingsfeld. Potrzebował jakiejś wskazówki, zanim rozpocznie polowanie.

Na twarzy Milo, który otworzył mu drzwi, gościł dziwny wyraz. Sinclair zatrzymał się w progu.

- O co chodzi?

- O nic, milordzie.

- Wyglądasz, jakbyś połknął żabę.

Kamerdyner odchrząknął.

- Lady Althorpe właśnie otrzymała dodatkową... przesyłkę z Fontaine House.

- Naprawdę?

Dobrze, że nie uciekła z kraju.

- Chyba jest w oranżerii, milordzie.

Wszedł po krętych schodach na piętro. Gdy zbliżał się do pokoiów żony, minął dwóch lokajów niosących coś, co wyglądało na resztki egzotycznych roślin i kwiatów.

Zapukał.

- Chwileczkę!

Minęło sporo czasu, zanim drzwi wreszcie się otworzyły. Pokojówka spojrzała na niego z przestraszeniem, po czym odwróciła się i zawołała:

- To lord Althorpe, milady.

- Niech wejdzie. Jenny, zatrzymaj Henriette!

W tym momencie obok jego nóg śmignęło coś białego. Sinclair bez namysłu się schylił i złapał uciekiniera.

- Co, do dia...

W tym momencie Victoria wpadła na niego z impetem, zachwiała się i usiadła na podłodze.

- Och!

- Nic ci się nie stało? - zapytał z troską, nie wiedząc, czy wybuchnąć śmiechem, czy ją ratować.

- Nic.

Ukucnął obok żony i podał jej zbiega.

- Chyba jego goniłaś?

- Dzięki Bogu. Chodź, moje słodkości - powiedziała pieszczotliwym tonem, tuląc zwierzątko do piersi.

- Co to jest?

- Pudelek.

- Niemożliwe.

- Owszem! Prawie. Jesteśmy tego niemal pewne, prawda, Henrietto, moje kochanie?

- To miotła z nogami.

Zaśmiała się i spojrzała na niego roziskrzonym wzrokiem.

- Nie mów tak. Jest bardzo nieśmiała.

Do diabła, miał ochotę pocałować żonę.

- Może gdyby ostrzyć ją tak, żeby wyglądała na psa, byłaby bardziej pewna siebie.

Z fiołkowych oczu zniknęła wesołość.

- Nie ostrzyżemy Henrietty.

Nogi mu ścierpły, więc usiadł na podłodze.

- Dlaczego?

- Znalazłam ją w Covent Garden. Drżała z zimna w rynsztoku. Ktoś podpalił jej sierść. - Po gładkim policzku spłynęła łza. - Na szczęście padał wtedy deszcz.

Otarł jej łzę kciukiem.

- Może jednak wcale nie wygląda tak głupio.

- Uważam, że jest rozkoszna.

Uśmiechnęła się, a jemu serce skoczyło w piersi.

- Wyjątkowo - mruknął.

Gdy ich oczy się spotkały, Victoria zarumieniła się i opuściła wzrok na Henriettę. Sin doszedł do wniosku, że nagła nieśmiałość żony jest czarująca.

- Boi się nowych miejsc. Dlatego uciekała.

- Na pewno jej się tutaj spodoba.

Wstał i podał Victorii rękę. Przez długą chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Gdy nachylił się ku jej ustom, z oranżerii dobiegło przeraźliwe miauczenie.

- Dobry Boże! A to co znowu?

- Sheba!

Victoria wcisnęła mu Henriettę w ramiona i wbiegła do pokoju. Sin ruszył za nią zaskoczony, ale wcale nie rozgniewany. Na środku pomieszczenia stał rząd klitek z najdziwniejszą menażerią, jaką w życiu widział.

Jego żona delikatnie wyjęła z jednej rudego kota. Zaczęła uspokajać go takimi samymi łagodnymi słowami i pomrukami jak wcześniej Henriettę. Sinclairowi przyszło do głowy, że chętnie zamieniłby się miejscem z którymś z jej ulubieńców.

- Więc to jest Sheba.

Victoria drgnęła, jakby całkiem zapomniała o jego obecności.

- Tak. Chyba jest głodna. Mam nadzieję, że moje zwierzęta nie będą ci przeszkadzać. Rodzice nie chcieli się nimi zajmować, a sam powiedziałaś, że Grafton House to również mój dom. Nie mogłam oddać ich do...

- Nie będą mi przeszkadzać.

- To dobrze, bo zostają.

- Domyśliłem się.

Do jego głosu wkradła się nuta ironii, ale w rzeczywistości był rozbawiony i zaintrygowany.

- Naprawdę? - rzuciła zaczepnym tonem. - Nie będziesz musiał się o nie troszczyć ani płacić za ich utrzymanie. To mój obowiązek i nawet...

- Zaskoczyłaś mnie - przerwał jej. - Jakoś nie obrażałem sobie Vixen matkującej stadu przybłądów.

Wytrzymała jego wzrok.

- Jeśli nie ja, to kto?

Nie zamierzał wdawać się w sprzeczkę przed obiadem, zwłaszcza że poruszyła go jej wrażliwość.

- Teraz rozumiem, dlaczego nie lubisz lorda Peringtona. Którego kota przed nim uratowałaś?

- Lorda Bagglesa. Drzemie w sypialni.

- Nie wiedziałem, że w Londynie mieszka tylu sadystów.

Victoria wzruszyła ramionami i pogłaskała Shebę.

- Słabi ludzie demonstrują siłę, wyżywając się na bezbronnych istotach.

Zaledwie po jednym dniu małżeństwa kobieta, którą poślubił, okazała się zupełnie inna, niż sądził. Do tej pory nie zdawał sobie sprawy, że uroda wcale nie jest jej największą zaletą.

Victoria powstrzymywała się od zerkania na męża, kiedy wysiadali z powozu i szli do rozległego ogrodu lady Nofton. Nawet nie skrzywił się na jej menażerię, a wręcz okazał zrozumienie. Nie spodziewała się po nim takiej postawy.

- Ktoś do ciebie macha - powiedział cicho.

Ocknęła się z zamyślenia i ujrzała postawną kobietę zmierzającą ku nim przez trawnik.

- To lady Nofton. Bądź miły.

Ścisnął jej dłoń.

- Nie jestem jednym z twoich zwierzątek. I nie mam dwunastu lat.

- Niczego takiego nie sugerowałam. Po prostu nie chcę dzisiaj żadnych niespodzianek.

- A, rozumiem. Jestem gorszy od dwunastolatka.

- Zasłużyłeś na swoją reputację.

- Podobnie jak ty.

Pokazałaby mu język, ale przyszło jej do głowy, że mimo wszystko nie sprzeciwił się jej udziałowi w jed-

nym z charytatywnych przedsięwzięć, a nawet sam postanowił jej towarzyszyć. Zaskoczył ją po raz kolejny.

- Tak się cieszę, że przyszłaś - zawołała gospodyni, ujmując Victorię za ręce. - Mam straszny kłopot z rozmieszczeniem gości.

- Pokaż mi listę. Sinclairze, przedstawiam ci lady Nofton. Estelle, to mój mąż, lord Althorpe.

- Bardzo mi miło, że zaszczyił pan swoją obecnością nasze skromne spotkanie, milordzie.

Markiz uśmiechnął się czarująco.

- Zawsze chętnie wspieram szczytne cele. A tak przy okazji, jakiej sprawie tym razem służymy?

Victoria odchrząknęła. Mógł zapytać ją wcześniej, na litość boską!

- Popieramy skrócenie czasu pracy dzieci, a zwiększenie godzin nauki - wyjaśniła.

- Wspaniale. Gdzie znajdę porto, żeby wznieść toast za powodzenie waszych starań? Z przyjemnością wam pomogę, ale pod warunkiem, że dostanę do picia coś mocniejszego niż poncz.

Na twarzy gospodyni odmalowała się konsternacja.

- Hollins, kamerdyner, pana obsłuży. Mój mąż jest dzisiaj nieobecny, ale ma w gabinecie spory zapas alkoholu.

- W takim razie pozwolą panie, że się oddalę. Lady Nofton, Victorio.

- Więc naprawdę za niego wyszłaś - stwierdziła Estelle, kiedy lord Althorpe zniknął za rogiem domu. - Słyszałam nowinę, ale uznałam, że coś mi się pomyliło.

Młoda żona westchnęła.

- Nic ci się nie pomyliło.

- Sin Grafton we własnej osobie. - Lady Nofton zatrzęsa się od śmiechu. - To dopiero! Jest bardzo przystojny, prawda?

- Tak. Ale lepiej chodźmy zobaczyć, co z miejscami, nim zjawią się goście.

Kiedy już ustaliły, że lady Dash będzie siedzieć obok lady Hargrove, a nie obok szwagierki lady Magston, zaczęły nadjeżdżać powozy. Victoria właśnie się zastanawiała, gdzie zniknął jej mąż, gdy nagle wyrósł obok niej jak spod ziemi.

- Nie miałem pojęcia, że znasz tyłu nudziarzy - powiedział, zerkając na hrabiostwo Magston, którzy tak się za nimi oglądali, że omal nie wpadli na płot.

- Cii.

Gdy wybuchnął śmiechem, żona z podejrzliwą miną pociągnęła nosem.

- Jesteś pijany? To niemożliwe. Nie było cię za ledwie dwadzieścia minut.

- Nie traciłem czasu. Ale nie martw się, udowodnię wszystkim, że w pełni popieram waszą sprawę. Czy to lord Dash? Strzelec wyborowy?

Chwyciła go za ramię.

- Lepiej nie poruszaj tego tematu - szepnęła. - Wielu z obecnych naprawdę wierzy, że prawo trzeba zmienić.

- A niektórzy są tutaj dla pieczonych kurczaków. Ilu z nich sięgnie do sakiewek?

- Tyłu, że zbierzemy dość pieniędzy - warknęła. - Nie wszyscy myślą tylko o sobie.

Bursztynowe oczy Sina zabłyśły.

- Co dzień uczę się czegoś nowego - stwierdził przeciągle.

Stanąła na palcach i już chciała syknąć mu do ucha, żeby wyszedł, zanim obrazi gospodarzy, ale nagle zauważyła, że wprawdzie jego ubranie cuchnie whisky, lecz oddech pachnie miętowym cukierkiem, który porwał z tacy, gdy wychodzili z Grafton House.

Jednocześnie przypomniała sobie trzech dżentelmenów, którzy na przyjęciu weselnym sprawiali wrażenie pijanych, a o północy całkiem trzeźwi spotkali się z jej mężem przy stajni.

- Ja też codziennie dowiaduję się nowych rzeczy.
Przekrzywił głowę.

- Jakich?

- Na przykład takich, że wcale nie jesteś pijany.

W tym momencie spostrzegła, że Estelle wzywa ją do stołu, więc zostawiła Sinclaira, żeby zastanowił się nad jej słowami.

6

- Kim był ten paskudny osobnik z wielkim nosem? Ten, który zjadł wszystkie orzechy brazylijskie.

- Ty też zjadłeś ich sporo - stwierdziła Victoria, obserwując ludzi z okna powozu.

Sinclair założył nogę na nogę.

- Tak, ale ja nie porwałem tacy z sąsiedniego stolika, kiedy nikt nie patrzył.

- Patrzyła co najmniej jedna osoba.

- Dlatego zauważyłem, jak się opychał. Kim był ten tłusty wieprz?

W końcu na niego spojrziała.

- Dlaczego udawałeś pijanego? Zapomniałeś, o co cię prosiłam? Chciałeś wprawić mnie w zakłopotanie?

- Nie przywykłem do tego, by mi mówiono, co mam robić - odparł wymijająco. - Zwłaszcza takie chuchro, w dodatku osiem lat młodsze ode mnie.

Victoria skrzyżowała ramiona na piersi. Jej twarz przybrała lodowaty wyraz.

- Świetnie. Nie będę ci mówić, co masz robić, ale tego samego oczekuję od ciebie.

- Nie jestem twoim ojcem i do tej pory nie wydawałem ci żadnych poleceń. A ty nie rób mi wymówek. Poszedłem na twój bezsensowny obiad charytatywny i jakiś tłusćcioch wyjadł mi orzechy.

Ku swojemu zaskoczeniu ujrzał w jej oczach łzy.

- Obiad wcale nie był bezsensowny, a ten głupi tłuścioch to pastor z Cheapside. Jeśli orzechami brazylijskimi można zachęcić go do tego, żeby namówił parafian do zbudowania jeszcze jednej szkoły, chętnie dam mu ich tysiąc.

- Punkt dla ciebie - mruknął pod nosem.

- Słucham?

- Przyznałem ci rację - powtórzył głośniej. - Ty robiłaś coś pożytecznego, a ja... cóż, byłem sobą.

Czyli cynikiem, którym się stał w ciągu ostatnich kilku lat. Nieraz widział, jak pastory sprzedają lojalnych parafian za butelkę whisky; sam im ją dostarczał.

- Nie sądzę, żebyś był sobą.

Do diabła!

- Na litość boską, Victorio, po prostu starałem się trochę rozerwać. Niestety bez powodzenia.

Dźgnęła go palcem w kolano.

- Więc jesteś prostakiem?

- Najwyraźniej. Już raz cię skompromitowałem. W ogrodzie lady Franton.

- A potem zaproponowałeś małżeństwo, ratując moją reputację.

- I swoją własną.

Chciała go dźgnąć drugi raz, ale złapał jej rękę.

- Używaj raczej słownych argumentów, jeśli łaska.

- Aha!

Nie cofnęła dłoni. Miała tak gładką skórę, że niemal zapomniał, o czym rozmawiają.

- Co „aha”?

- To był mój argument.

Objął ją w tali i przyciągnął do siebie.

- Chyba się pogubiłem. Jaki argument?

- Dlaczego udajesz prostaka?

Zamknął jej usta pocałunkiem, żeby uniknąć dalszych kłopotliwych pytań. Przeszył go dreszcz, gdy zarzuciła mu ręce na szyję i rozchyliła miękkie wargi. Postanowił dać znak Romanowi, żeby zrobił jeszcze jedno okrażenie po Hyde Parku. Albo dwa. Sięgnął po laskę.

- Sinclairze.

- Hm?

- Odpowiedz na pytanie.

Usiadł prosto. Victoria nadal obejmowała go za szyję, policzki miała zaróżowione.

- Taki już jestem. Nie prowadzę żadnej gry ani niczego nie ukrywam.

Przyjrzała mu się bacznie, ale spokojnie odwzajemnił spojrzenie i tylko czekał, aż trafi go grom z jasnego nieba. Nieraz w życiu kłamał w żywe oczy, lecz nigdy osobie, której najchętniej wyznałby prawdę.

- W porządku - powiedziała cicho, opuszczając ręce. - Ale skoro mi nie ufasz, nie oczekuj, że ja zaufam tobie.

- O nic takiego cię nie prosiłem.

- Istotnie.

Odwróciła się do okna zraniona i rozczarowana.

Wolał jednak, żeby czuła się zawiedziona, niż była martwa. Dlatego milczał, zamiast ją przeprosić i obiecać, że jeśli okaże cierpliwość, wkrótce wszystko się ułoży.

Gdy powóz się zatrzymał, Victoria spojrzała na niego i oznajmiła:

- Dziś wieczorem jestem umówiona na kolację.

- Z kimś, kogo znam?

- Nie wiem.

Niedobrze. Gdyby postanowiła go ignorować, bardzo utrudniłaby mu sprawę. Miał dwa wyjścia: wypowiedzieć kolejne kłamstwo, które nastawiło ją do niego łaskawiej, albo wyznać prawdę. Niecałą, jedynie tyle, żeby zapewnić sobie pomoc żony, a nie narazić jej na niebezpieczeństwo.

- Dzień dobry, lordzie i lady Althorpe - powitał ich Milo. - Jak obiad?

W ciągu ostatnich czterech tygodni kamerdyner ani razu nie spytał go, jak minął dzień. Najwyraźniej pytanie było skierowane nie do niego.

- Całkiem miło - odparł, podczas gdy Victoria ruszyła przez hol ku schodom. - Był bardzo pocuczający.

- Ha! - rzuciła markiza przez ramię.

- Mogę zamienić z tobą słowo, Victorio? - zawołał.

- Już zamieniłeś kilka.

Dogonił ją i porwał na ręce.

- Domagam się jeszcze kilku.

- Postaw mnie! Natychmiast!

- Nie.

Jego pokoje znajdowały się w jednym końcu korytarza, jej w drugim. Po krótkim namyśle zdecydował się na neutralne terytorium i wszedł do biblioteki mieszczącej się naprzeciwko jego sypialni. Zamknął drzwi nogą i posadził żonę na sofie stojącej pod oknem.

- Straszny z ciebie prostak! - krzyknęła, zrywając się na równe nogi. - Jeszcze nikt nie potraktował mnie z takim brakiem szacunku. Nie będę tego tolerować!

- Siadaj - rzucił krótko.

Skrzyżowała ramiona na piersi.

- Nie.

Zrobił krok w jej stronę.

- Jeśli nie usiądziesz, z przyjemnością cię nakłonię, żebyś jednak to zrobiła, Vixen.

Zmroziła go wzrokiem, ale posłusznie opadła na kanapę.

- Jak sobie pan życzy, milordzie.

- Dziękuję.

Nie wiedział, od czego zacząć. Tak długo polegał tylko na sobie, że nie umiał dzielić się sekretami z drugą osobą. Poza tym nie miał pojęcia, ile może powiedzieć, żeby nie narażać żony. Spostrzegłszy jednak wyraz jej twarzy, doszedł do wniosku, że powinien jak najszybciej coś wymyślić.

- Nie byłem z tobą całkiem szczery - zaczął wolno.

- Nie zamierzam udawać zdziwienia. - Sięgnęła po pierwszą lepszą książkę. - Prawdę mówiąc, już mnie nie obchodzą twoje tajemnice.

Sinclair zaczął spacerować od okna do drzwi i z powrotem.

- Wróciłem do Londynu w innym celu niż przejęcie tytułu.

- Tak. Napomknąłeś coś o szukaniu żony. - Ostentacyjnie kartkowała gruby tom. - Sama słyszałam.

- Szukam człowieka, który zamordował mojego brata.

Z trzaskiem zamknęła książkę.

- Wiedziałam!

- Tak, ale nie wyciągaj pochopnych wniosków.

W jej fiołkowych oczach nadal malowała się podejrzliwość.

- Dlaczego tak długo zwlekałeś z powrotem do Londynu, skoro chciałeś, żeby stało się zadość sprawiedliwości?

- Nie mogłem wrócić. A ten, kto zabił Thomasa, chyba sądzi, że mu się udało uniknąć odpowiedzialności za tę zbrodnię. Nie chcę na razie wyprowadzać go z błędu.

- Dlaczego udawałeś pijanego? I kim są trzej mężczyźni, którzy czaili się pod naszą stajnią?

Zamarł.

- Jacy mężczyźni?

Victoria westchnęła.

- Ci, z którymi rozmawiałeś zeszłej nocy. Ci sami, którzy na naszym przyjęciu weselnym zachowywali się jak pijani. Podejrzewam, że też udawali.

Dobry Boże! On i jego koledzy nie byli nieostrożni. Inaczej już dawno by zginęli. Ale Victoria zwróciła na nich uwagę i przejrzała częściowo ich grę. Nic dziwnego, że natychmiast stała się wobec niego podejrzliwa. Nie wiedział, że jest taka spozstrzegawcza.

- Znam tych dżentelmenów z moich podróży po Europie. Oferowali mi pomoc.

- Po co udają pijanych?

- Ludzie chętniej się otwierają, gdy widzą, że człowiek jest wstawiony.

W tym samym momencie uświadomił sobie, że za dużo powiedział. Na szczęście jego żona chyba się nie zorientowała, że popełnił błąd. Przez długą chwilę siedziała w milczeniu, patrząc na swoje ręce.

- Mogę zadać ci jedno pytanie?

- Tak.

- Ile z tych historii o twoich eskapadach po Europie jest prawdziwych?

Odetchnął w duchu.

- Większość.

Victoria wstała powoli.

- Dałeś mi dużo do myślenia, Sinclairze.

-A czy ja mogę zadać ci to samo pytanie? Ile z twoich londyńskich wyczynów jest prawdą?

Podeszła do drzwi.

- Większość - rzuciła lekkim tonem i wyszła z biblioteki.

Sinclair podjął spacer. Najważniejsze, że nie zrobił sobie z Victorii wroga. Już sam ten fakt był zwycięstwem... a przynajmniej krokiem ku rozejmowi.

- Szyling za twoje myśli, kochanie.

Victoria drgnęła. Przez ostatnie pięć minut z roz-targnieniem przesuwała ziemniaki po talerzu.

- Będą cię kosztować co najmniej funta, Lex.

Alexandra się uśmiechnęła.

- Zgoda.

- Zapłata na końcu - uprzedził Lucien Balfour. -
Imam nadzieję, że nie pożałujemy wydatku.

Żona spiorunowała go wzrokiem.

- Nie widzisz, że Victoria przyszła porozma-
wiać?

- Przyszłam, bo powiedziałam Sinclairowi, że za-
proszono mnie na kolację. Chciałam uporządko-
wać myśli, ale teraz dochodzę do wniosku, że wy-
brałam niewłaściwe miejsce.

- Nonsens! Nie mów nic, jeśli nie chcesz. Cieszę się, że cię widzę.

Przyjaciółka znacząco zerknęła na męża. Lucien wstał.

- Idę do White'a.

- O, nie - zaprotestowała Victoria. - Nie wychodź z mojego powodu.

Balfour wskazał ruchem głowy na żonę.

- Idę z jej powodu.

- Boi się mnie - wyjaśniła Lex.

- Tylko wtedy, gdy ma w ręce ostre narzędzie.

Lord Kilcairn pocałował żonę w usta.

Więc tak powinno wyglądać małżeństwo, pomyślała Victoria. Sinclairowi przydałoby się kilka lekcji. Jej również, skoro dzień po ślubie wybrała się na kolację bez męża.

- No dobrze, Vix - powiedziała Alexandra po wyjściu Luciena. - Co cię dręczy?

- Naprawdę nie przyszłam, żeby się skarżyć. Sinclair mnie rozzłościł, więc mu skłamałam, że jestem umówiona na kolację.

- Co cię tak rozgniewało?

- Już nie jesteś moją guwernantką, Lex.

- Ale jestem przyjaciółką.

- Sama kiedyś stwierdziłaś, że jeśli nie nauczę się dobrze zachowywać, skończę jako żona niepoprawnego drania.

- Nie, to panna Grenville tak mówiła. Ja ostrzegałam, że zepsujesz sobie reputację.

Victoria odsunęła talerz.

- Obie miałyście rację.

- Lord Althorpe rzeczywiście jest niepoprawny?

- Och, nie wiem. - Vixen wstała i zaczęła chodzić wokół stołu. - Nie możemy przebywać w jednym pokoju, bo zaraz się kłócimy.

A ona wtedy myśli o jego cudownych pocałunkach i ciepłym dotyku, przez co jego grubiaństwo tym bardziej ją razi.

- Jak mąż zareagował na twoją menażerię?

- Nie protestował. Chyba go rozbawiła.

- To już coś, nie uważasz? Mężczyzna, który potrafi zaakceptować Henriettę i Mungo Parka, nie może być taki zły.

- Właściwie jeszcze nie przedstawiłam mu Mungo.

- Więc to będzie decydujący sprawdzian.

- Masz rację. Tylko nie rozumiem, dlaczego Sinclair jest taki denerwujący.

- Cóż...

- I nie mów, że powinnam sama zadać sobie to pytanie.

Przyjaciółka się roześmiała.

- Powiem ci tylko to, że nie jesteś tchórzem.

- I powinnam wytrwać dłużej niż jeden dzień, nim machnę ręką na nasze małżeństwo?

- Właśnie.

- Dam ci znać.

Kiedy wróciła do Grafton House, Sinclaira nie było, poszła więc do oranżerii nakarmić swoich ulubieńców. Koty upodobały sobie największe rośliny, podczas gdy Henrietta i wyżeł Grosvenor zajęli starą sofę, którą kupiła specjalnie dla nich. Mungo Park udawał, że jest częścią ozdobnego gzysmu biegnącego nad oknem, ale stos orzechów, które

mu zostawiła na półce nad kominkiem, zmniejszyła się o połowę.

Chętnie pozwoliłaby zwierzętom biegać po całym domu, skoro już przyzwyczyły się do nowego miejsca, ale nie była pewna reakcji męża. W Fontaine House rodzice kazali trzymać je w pokoju przylegającym do jej sypialni. Córkę też najchętniej zamknęliby w klatce.

Do późna wyglądała przez okno, ale tej nocy nie zobaczyła żadnych tajemniczych postaci. Sinclair zapewne wybrał inne miejsce na tajne spotkania.

Wyjaśnił, że udawał pijanego, żeby rozmówcy czuli się swobodniej. Oznaczało to, że już wcześniej stosował tę taktykę. I jego przyjaciele również. Pytanie brzmiało: po co? Powiedział, że wrócił do Anglii, by znaleźć mordercę brata. Widocznie w Europie robił coś innego.

Czy inne jego zwyczaje też były tylko grą? Pomyślała o tamtym drugim Sinclairze: czujnym, skoncentrowanym i bardzo zmysłowym, który od czasu do czasu się objawiał, żeby zawrócić jej w głowie.

Uśmiechnęła się, wskakując pod ciepłą kołdrę. Byli małżeństwem zaledwie dzień, a ona już odkryła jeden sekret. Prędzej czy później pozna inne.

- Powiedziałaś jej?

Bates wytrzeszczył oczy, Wally zakrztusił się piwem, Crispin Harding zrobił minę, jakby oczekiwał takiego obrotu sprawy.

- Nie miałem wyboru. Widziała was w nocy przy stajni.

- I dlatego wygadałeś jej całą prawdę? - warknął Bates. - Ty? Mistrz kamuflażu?

- Nie całą, do licha! Tylko tyle, żeby powstrzymać ją od zadawania kłopotliwych pytań.

Miał nadzieję, że się nie przeliczył. Jego żona była stanowczo zbyt spostrzegawcza.

Unikała go przez ostatnie trzy dni. Wychodziła do przyjaciół albo siedziała w swoim apartamencie razem z menażerią. Kilka razy ją odwiedził, żeby się zorientować, czy da mu szansę. Poza tym bardzo chciał ją zobaczyć. Na resztę mógł poczekać. Nie brakowało mu cierpliwości.

- Robisz się miękki - stwierdził Wally. - Wystarczy para ładnych niebieskich oczu i od razu zdradzasz wszystkie sekrety.

- Fiołkowych - sprostował Sin. - Rzeczywiście są ładne. Ale powiedziałem jej jedynie, że chcę znaleźć zabójcę Thomasa.

- A o nas?

- Że mi pomagacie. I ścisz głos. - Dostrzegłszy spojrzenie Crispina, westchnął z rezygnacją. - Mów, wielkoludzie.

- Zastanawiałem się właśnie, kiedy nas spytasz, czy odkryliśmy coś ciekawego.

Sinowi nie podobało się to, co sugerował Szkot: że zajęty młodą żoną całkiem zapomniał o śledztwie.

- Czekałem, aż sami mi powiecie.

- Ja niczego ciekawego nie odkryłem - oznajmił Wally. - Zabójca kotów również kopie psy i warczy na małe dzieci. Eksportuje to, za co dostaje dobrą cenę. Nie trafiłem na ślad żadnych nielegalnych transakcji, które sprowokowałyby go do morderstwa.

Wczoraj był w parlamencie, ale o tym sam wiesz.

Sinclair pokiwał głową.

- Widziałem go. I Kilcainna, który, zdaje się, nie-
nawidzi Bonapartego.

- Tak - potwierdził Crispin. - Jego kuzyn zginął
w Belgii. Myślę, że to nie jest człowiek, o którego
nam chodzi. Przykro mi, Sin.

Choć Sinclair nie lubił earla, sam doszedł do ta-
kiego wniosku.

- Dlaczego się nie cieszę, że wyeliminowaliśmy
jednego podejrzanego?

- Bo już na przyjęciu weselnym ci się nie spodo-
bał. Najchętniej widziałbyś go jako pokarm dla ro-
baków.

- Racja.

- Niech zastępy aniołów śpiewem ukołyszają go
do snu wiecznego.

- Crisp...

- Niech przeszłość oświetli mu drogę do króle-
stwa śmierci.

- Przestań cytować poezje - burknął Sinclair. -
Jeszcze ktoś mylnie weźmie cię za dżentelmena.

Harding uśmiechnął się szeroko.

- Jestem tylko siostrzeńcem dżentelmena, chłopcze.

- Tak, siostrzeńcem cholernego diuka Argyle -
wtracił Wally.

- Ulubionym, Wallace. I ciesz się z tego, bo bez
moich arystokratycznych koneksji nigdy nie
wszedłbyś do tego klubu.

- Nie zapominaj, że ja jestem wnukiem księżnej,
Szkocie.

- Już skończyliście rozmawiać o waszej błękitnej

krwi? - odezwał się Bates. - Ja również nie mam żadnych nowin. Ten pijak Ramsey DuPont nie potrafiłby popełnić morderstwa, nawet gdyby ktoś załadował mu pistolet i wycelował.

- Zatem można skreślić wszystkich trzech dżentelmenów z naszej listy?

Crispin pokiwał głową.

- Tak. Gdyby Kilcainn chciał zabić twojego brata, zrobiłby to w uczciwej walce. Nie mordowałby go skrycie.

Sinclair zmrużył oczy.

- Wcale go bardziej nie lubię.

Harding skwitował jego uwagę bezczelnym uśmiechem.

- Wiem.

- DuPont też jest czysty. Nawet gdyby kogoś zamordował, nie umiałby potem zatrzeć śladów.

- Wally?

- Daj mi jeszcze parę dni na zabójcę kotów. Wprawdzie nie znalazłem żadnego motywu, ale jeszcze nie skreślałbym drania.

- Cóż, możemy chyba brać się za trzech następnych...

- Przepraszam, Althorpe - Sinclair usłyszał za sobą znajomy głos i odwrócił się na krześle.

- Lord William.

Landry był pijany, a na jego urodziwej twarzy malowała się wrogość. Sin przypomniał sobie, że syn diuka Fenshire krążył wokół Victorii tamtej nocy, kiedy zaciągnął ją do ogrodu. Tylko tego potrzebował: rozżalonego adoratora, który prawdopodobnie znalazł jego żonę lepiej niż on.

- Powinien pan wiedzieć, że nie jest tu mile widziany - oświadczył lord William.

- Nie obchodzi mnie to ani trochę. Jeszcze coś?

Landry obejrzał się przez ramię na swoich równie pijanych towarzyszy.

- Ja... to znaczy my zastanawialiśmy się, czy Vixen jest w łóżku równie dzika jak na salonach.

Sinclair zerwał się i dzielił impertynenta pięścią w twarz. Usłyszał przekleństwa kolegów i szuranie krzesłami. Doskoczył do zataczającego się Landry'ego i powalił go ciosem w szczękę. Gdy znowu się na niego rzucił, silne ramiona chwyciły go w pasie i odciągnęły od ofiary.

- Puść mnie, do diabła, Crispin!

- Chcesz go wykończyć?

Spojrzał na nieszczęśnika, który leżał skulony na podłodze.

- Nie.

Gdy wielki Szkot puścił Sinclaira, ten potoczył wzrokiem po sali, po czym nachylił się do ucha lorda Williama.

- Nigdy więcej nie waż się obrazić mojej żony - syknął przez zęby. - Bo dokończę to, co zacząłem.

Landry tylko jęknął w odpowiedzi, ale było mało prawdopodobne, żeby zapomniał nauczkę. Sinclair Grafton wyprostował się i bez pośpiechu ruszył do drzwi.

- Raczej nie musisz się martwić, że ktoś pomyśli, że sporządniałeś - zauważył Bates, gdy znaleźli się na ulicy.

- Bez wątplenia. - Sin rozmasował kostki. Nie zastanawiał się nad tym, czy postąpił mądrze. Był

zadowolony, że sprzął drania. Nie bił się, odkąd opuścił Europę. - Znalazłem trzech kolejnych podejrzanych, którzy mogli widzieć Thomasa w dniu, kiedy został zamordowany.

Wyjął z kieszeni listę i podał ją Batesowi.

- Masz coś na Marleya?

- Na razie nic - odparł Sinclair. Wicehrabia rzadko się pokazywał publicznie po wieczorze u Frantónów. - Zostaw go mnie.

- Nie zamierzam wchodzić między was dwóch.

- Coś jeszcze? - spytał Wally, zerkając na listę ponad ramieniem Batesa.

- Próbuję zdobyć zapis głosowania w Izbie Lordów. Wiedzielibyśmy, kto wtedy przebywał w Londynie.

- To by nam ułatwiło sprawę - przyznał Crispin.

- Jeśli markiza zabił któryś z parów - stwierdził Bates, podając listę Szkotowi.

Była to jedna z licznych wątpliwości, które im się nasunęły po powrocie do Londynu. Z perspektywy Paryża sprawa nie wydawała się trudna. Mieli za sobą wiele delikatnych i niebezpiecznych misji. Nigdy jednak nie musieli iść dawno wystygłym tropem ani śledzić tyłu szanowanych obywateli.

Sinclair obejrzał się na drzwi Boodle'a.

- Ze względu na plotki, które teraz powstaną, przez kilka następnych dni będziemy się kontaktować wyłącznie za pośrednictwem lady Stanton.

Wally i Bates przyznali mu rację, pożegnali się i ruszyli w stronę Covent Garden. Crispin został z Graftonem.

- Co teraz? - zapytał Sin z rezygnacją.

- Idź do domu. Kiedyś wszystko się skończy,

a ona nadal będzie twoją żoną. Jakoś musisz się z nią dogadać.

- Hm. Mądre słowa z ust starego kawalera.

- Też nim byłeś, zanim poznałeś Vixen Fontaine.

- Nie jestem zakochanym półgłówkiem, wierz mi, Harding.

- Powiedz to Landry'emu.

Sinclair całą siłą woli opanował gniew.

- Codziennie myślę o Thomasie i o tym, co by było, gdyby żył. Nie zapomniałem, po co wróciłem do kraju. Znajdę jego mordercę, nie zważając na nic.

- I nieważne, kogo przy okazji zranisz.

- Vixen Fontaine jest naszym najcenniejszym źródłem informacji i nie pierwszą kobietą, którą wykorzystam.

- Ale pierwszą, którą poślubięś.

- Zamknij się.

- W końcu będziesz musiał spojrzeć prawdzie w oczy.

- Dobranoc, Crispinie.

Gdy wrócił do Grafton House, domownicy już spali, więc ruszył przez ciemny hol do dawnego gabinetu Thomasa. Powoli opadł na fotel stojący za mahoniowym biurkiem. Gdy wczesnym wieczorem, przy zapalonych wszystkich lampach, morderca wszedł do pokoju, brat musiał zobaczyć go i rozpoznać, lecz nawet nie próbował się bronić.

Niewątpliwie zastrzelił Thomasa z zimną krwią któryś z jego dobrych znajomych, ludzi cieszących się ogólnym szacunkiem. Sinclair nie ufał żadnemu, po tym jak w Europie poznał ukryte słabostki im podobnych. Najbardziej zaś dręczyła go myśl, że

Thomas zginął przez niego. Ktoś pewnie uznał, że markiz Althorpe za dużo wie.

- Dobrze się czujesz?

Błyskawicznie sięgnął po pistolet, nim jego umysł zarejestrował, że w progu stoi Victoria, jaśniejszy cień na tle czerni korytarza. Odetchnął z ulgą i opadł na fotel.

- Tak. Dlaczego nie śpisz?

- Usłyszałam, jak wchodzisz. - Z wahaniem przestąpiła próg pokoju oblanego blaskiem księżyca. - Tutaj zabito Thomasa, prawda?

- Tak.

Jej czarne włosy były rozpuszczone. Nagle zapragnął ich dotknąć.

- Siedział przy biurku, kiedy... to się stało?

- Tak.

- Przykro mi, że źle cię oceniłam, Sinclairze.

- Chyba jednak nie.

Podeszła do niego i wyciągnęła rękę.

- Nie siedź tutaj. Ciarki mnie przechodzą.

Ujął jej dłoń i wstał.

- Jak dobrze go znałaś?

- Był trochę od ciebie starszy, prawda?

Victoria nie spieszyła się z odejściem ani nie puściła jego ręki. Przyciągnął ją do siebie i nachylił się powoli, żeby dać jej czas na ucieczkę. Nie ruszyła się z miejsca, więc pocałował delikatnie jej ciepłe wargi.

- Tak. Ponad dziesięć lat. Miał prawie czterdzieści. On i babcia praktycznie wychowali Kita i mnie.

- Przesunął dłonią po jej podbródku. - Nie odpowiedziałas na moje pytanie. Dobrze się znaliście?

- Nie. Grono moich znajomych chyba było dla niego zbyt hałaśliwe.

- Każde twoje spostrzeżenie może okazać się pomocne.

- Cóż, był miły i spokojny. O ile pamiętam, lubił obrazy Thomasa Gainsborough. Wspomniał nawet, że sam rysuje.

- Naprawdę? Nie wiedziałem.

- Twierdził, że nie jest w tym najlepszy, ale moim zdaniem nie miał racji. Znalazłeś jego prace?

- Zdążyłem przejrzeć tylko listy. Może rysunki są u babci.

- Powinieneś ją zapytać.

- Może tak. - Spojrzał Victorii w oczy. - Dlaczego jesteś dzisiaj dla mnie taka łaskawa?

- Sama nie wiem. Pomyślałam sobie, że to straszne stracić kogoś z rodziny, a potem zobaczyłam cię w tym fotelu, z dziwnym wyrazem twarzy i...

- Jakim wyrazem?

- Pełnym napięcia. Widząc cię takim, zastanawiam się, dlaczego wróciłeś dopiero dwa lata po śmierci brata.

Wydawało mu się zawsze, że panuje nad wyrazem twarzy. Był to niezbędny warunek jego bezpieczeństwa. Do tej pory niczym się nie zdradził. Albo wcześniej po prostu nie trafił na osobę równie spostrzegawczą jak Victoria.

- Gdybym wiedział, że nie śpisz, wróciłbym wcześniej - powiedział.

Nagle go odepchnęła.

- Nie wykorzystuj mojego nastroju, żeby mnie uwieść.

Cofnął się o krok.

- To ty do mnie przysłaś. I nie broniłaś się przed pocałunkiem. Dlaczego budzę w tobie niepokój?

Nie zamierzał się przyznać, że sam jest zdenerwowany.

- Wcale nie. Już ci mówiłam, że nie ty pierwszy mnie całujesz i szepczesz miłe słówka, żeby wykupić się w moje łaski.

Przypomniał mu się jej szalony taniec z Marleyem.

- Ale nie wyszłaś za żadnego ze swoich wielbicieli.

- Żaden nie był na tyle nieostrożny, żeby mnie uwodzić w obecności ojca i połowy Londynu. - Okręciła się na pięcie. - Dobranoc, milordzie.

Sam dobrze wiedział, że tamtej nocy zachował się nieroztropnie, ale tylko dlatego, że Victoria Fontaine całkiem zamąciła mu w głowie. Po kilku dniach małżeństwa nadal nie znał swojej żony, choć zwykle potrafił ocenić czyjś charakter już po kilku minutach. I to nie jej wina, że najpierw robiła krok w jego stronę, a potem się wycofywała. To on wciąż zmieniał reguły gry.

- Kto twoim zdaniem zabił Thomasa? - spytał cicho.

Zatrzymała się w połowie drogi do drzwi i odwróciła.

- Nie wiem. A ty jak sądzisz?

Wypuścił powietrze z płuc; nie zdawał sobie sprawy, że wstrzymuje oddech. Victoria w jednym miała rację: przy każdej nadarzającej się okazji wykorzystywał jej współczucie.

- Każdy mógł to zrobić.

- Każdy?

Wzruszył ramionami.

- Nikogo z góry nie wykluczam. Potrzebuję tylko motywu.

- Jakiego?

Sinclair oparł się o brzeg biurka.

- To najtrudniejsze. Nie wiem, z kim Thomas się przyjaźnił ani czym zajmował. Jego listy nie zawsze do mnie docierały, a poza tym i tak niewiele o sobie pisał.

Markiz Althorpe był zbyt ostrożny, by nieopatrznie wyjawić, że jego młodszy brat jest kimś więcej niż rozpustnikiem i hulaką. Listowne odpowiedzi Sinclaira też nie zawierały żadnych tajemnic.

- Dlaczego przebywałeś w Europie, a zwłaszcza w Paryżu, w tak niebezpiecznych czasach? Co cię tam trzymało, Sinclairze?

Przejawiała tak szczere zainteresowanie, że podobnie jak wcześniej Milo miał ochotę wszystko jej opowiedzieć. Lecz strach o jej życie okazał się silniejszy.

- Dobrze się bawiłem. Zakłady, gra w karty, picie, kobiety. Dniami i nocami. Francuska arystokracja i większość oficerów nic sobie nie robiła z nowych porządków zaprowadzonych przez Bonapartego.

- Ktoś mi mówił, że przez pół roku mieszkałeś w domu publicznym. Czy to prawda?

- U madame Hebiere. Najładniejsze dziewczyny w Paryżu. - Odwiedzane przez większość wpływowych członków rządu Bonapartego. - Daj spokój, Vixen, przecież ty też masz swoje rozrywki.

- Jakoś muszę wypełnić czas.

Przez długą chwilę mierzyła go badawczym spojrzeniem. Był ciekaw, co tym razem wyczytała z jego twarzy.

- W zeszłym miesiącu lord Liverpool oznajmił, że aresztowano ostatnich szpiegów Bonapartego - powiedziała w końcu.

- Naprawdę?

- Tak. Jak tobie udało się uniknąć więzienia, skoro przyjaźniłeś się z francuskimi oficerami?

- Uważaj na słowa, Victorio. Sugerujesz, że jestem zdrajcą?

- Wprost przeciwnie. Dobranoc, Sinclairze.

Przez długą chwilę stał jak wrośnięty, pełen podziwu i jednocześnie konsternacji. Zastanawiał się poważnie, czy nie wyznać żonie całej prawdy, nim sama ją odkryje.

7

Choć uważała się za odważną, w żołądku ją ścisnęło, gdy wysiadała z powozu. Dobrze wiedziała, co jest przyczyną jej zdenerwowania. Wziawszy głęboki oddech, wspięła się po szerokich schodach i zastukała mosiężną kołatką w białe drzwi.

Starszy, dobrotliwy mężczyzna w liberii popatrzył na nią z ciekawością.

- Czym mogę służyć, panienko?

- Czy lady Drewsbury jest w domu?

- Sprawdź. Kogo mam zapowiedzieć?

Jeszcze nie zamówiła wizytówek z nowym nazwiskiem. Uznała, że to... przedwczesne.

- Lady Althorpe. - Słowa dziwnie zabrzmiały w jej uszach.

Kamerdyner natychmiast odsunął się na bok.

- Proszę wybaczyć, że pani nie poznałem, milady. Zaprowadzę panią do bawialni.

- Dziękuję.

Przytulny, jasny pokój z oknami wychodzącymi na wschód, pełen miękkich, haftowanych poduszek najwyraźniej należał do kobiety.

Victoria usiadła na krześle, z którego miała widok na nieduży ogród przylegający do domu. Zaczęła się zastanawiać, co zrobi, jeśli lady Drewsbury jej nie polubi i nie będzie chciała z nią rozmawiać. Bar-

dzo zależało jej na odpowiedziach na pewne pytania.

- Lady Althorpe.

Zerwała się z krzesła i dygnęła. Formalnie przeżyła pozycją wdowę po baronie Drewsbury, ale nie zamierzała tego podkreślać.

- Lady Drewsbury.

- Proszę się rozgościć i mówić mi Augusta.

- Dziękuję, Augusto. Jestem Victoria albo Vixen, jeśli wolisz.

Gospodyni usiadła naprzeciwko niej i poleciła kamerdynerowi, żeby przyniósł herbatę.

- Zaproponowałabym, byś nazywała mnie „babcią”, ale chyba obie potrzebujemy czasu, żeby przyzwyczać się do tej formy.

Victoria się uśmiechnęła. Na razie szło jej dobrze.

- Pewnie się zastanawiasz, co mnie tu sprowadza.

- Domyślam się. Sinclair.

Serce zabiło jej szybciej.

- Masz rację.

- Babciu, przecież wyraźnie prosiłem, żeby bezwzględnie zawiadamiano mnie o pojawieniu się w okolicy atrakcyjnych dam. - Christopher Grafton wszedł do bawialni z pękiem świeżo zerwanych stokrotek. - Nawet jeśli tylko przechodzą obok naszego domu.

- Przepraszam, Christopherze. Sądziłam, że masz na myśli niezamężne kobiety.

- Tak, ale ostatnio jestem zdesperowany. - Z czarującym uśmiechem i dwornym ukłonem wręczył bukiet gościowi. - Proszę, milady.

- Vixen - poprawiła go ze śmiechem. - Dziękuję.

- Czy mój brat też przyszedł? Oczywiście, że nie. Dziś środa, więc pewnie udał się do parlamentu, prawda?

- Skoro tak dobrze ci się rozmawia z samym sobą, prowadź ten monolog gdzie indziej, drogi chłopcze - przerwała mu lady Drewsbury.

- Dobrze, babciu - odrzekł Kit bez cienia urazy. - Do widzenia, Vixen.

- Sama nie wiem, czy dzięki niemu jestem młoda, czy stara - powiedziała Augusta z uśmiechem, gdy zostały same. - Taft, wstaw kwiaty lady Althorpe do wody.

Kamerdyner wziął stokrotki od Victorii, a gospodyni naląła herbaty do filiżanek.

- O czym to mówiłyśmy? A, o osobniku, który zdecydowanie mnie postarza.

- Mam kilka pytań, na które Sinclair nie może albo nie chce odpowiedzieć. Pomyślałam więc o tobie.

- Musiałabym najpierw je usłyszeć. Obawiam się, że nie znam mojego wnuka tak jak kiedyś. - W głosie baronowej zabrzmiał żal.

- Obiecuj mi, proszę, że nasza rozmowa nie wyjdzie poza ten pokój.

Augusta przeszła ją wzrokiem.

- Czy Sinclair jest w tarapatkach? A może raczej powinnam zapytać, czy wpadł w większe kłopoty niż zwykle?

- Nie. Przynajmniej nie takie, o jakich myślisz.

Obie popatrzyły po sobie. Victoria była ciekawa, co wyczytała z jej twarzy lady Drewsbury.

- Masz moje słowo - powiedziała w końcu baronowa.

- Dziękuję. Czy przed wyjazdem do Europy Sinclair pokłócił się z Thomasem?

- Wciąż się sprzeczali. Nic dziwnego, zważywszy na to, że mój najstarszy wnuk był wyjątkowo konserwatywny, a Sinclair jeszcze bardziej nieokiełznany niż teraz Christopher. Właśnie sobie uświadomiłam, że Kit jest w wieku brata, kiedy ten ruszył po przygody. Dzięki Bogu, że nie ciągnie go w świat. Nie zniósłabym utraty wszystkich trzech.

- Straciłaś Sinclaira?

- Na to pytanie, moja droga, nie zamierzam odpowiedzieć.

- Przepraszam. Nie chciałam się wtrącać w rodzinne sprawy.

- Oczywiście, że chciałaś. Ale postaram się zaspokoić twoją ciekawość. Sama się zastanawiam, dlaczego wybrał ciebie, a ty jego.

- Nie jestem pewna, czy to był wybór, czy raczej pomyłka. - Victoria oblała się rumieńcem. - Nie chciałam nikogo obrazić. Po prostu jestem zmieszana.

Ku jej uldze lady Drewsbury się uśmiechnęła.

- Zadaj następne pytanie.

- Dobrze. Czy Sinclair był kiedyś w wojsku?

- Nie. Thomas nawet proponował, że kupi mu stopień kapitana, ale Sinclair odmówił.

Dziwne, pomyślała Victoria, sącząc herbatę. Pamiętała, jak szybko i z jaką wprawą jej mąż sięgnął po pistolet i wycelował w jednego z towarzyszy, którzy czekali na niego przy stajni. Albo zeszłej nocy, kiedy zaskoczyła go w gabinecie.

- Domyślasz się, co trzymało go w Europie przez

ostatnie dwa lata? Zwłaszcza że podobno bardzo chciał wrócić do Londynu.

- Gdyby chciał, to by wrócił. - Augusta westchnęła. - Nie mam pojęcia. Mimo różnicy wieku Sinclair i Thomas byli sobie bliscy.

- Twierdzi, że nie mógł przyjechać. Powiedział mi, że grał w karty, pił i zabawiał się z kobietami. - Victoria sposepniała, ale zauważywszy, że Augusta przygląda się jej z ciekawością, pospiesznie zmieniła wyraz twarzy. Nie była zazdrosna. Po prostu nie potrafiła rozgryźć Sina. Zupełnie jakby próbowała dojrzeć obraz zasłonięty płótnem. - Nie jestem pewna, czy mu wierzyć, bo sama widziałam, jak oszukuje przy picciu...

Lady Drewsbury usiadła prosto.

- Co masz na myśli?

- Sinclair i jego trzech przyjaciele, którzy pomagają mi w śledztwie, udają pijanych, żeby zachęcić ludzi do mówienia. Podobno takie zachowanie weszło mojemu mężowi w nawyk. Ciekawe, kiedy i dlaczego.

- Prowadzi śledztwo?

- Tak. Wygląda mi to niemal na obsesję.

Przez chwilę dwie kobiety patrzyły na siebie w milczeniu. W końcu Augusta odstawiła filiżankę.

- Myślisz, że brał udział w wojnie, tak? Nigdy mi nie wspominał, że próbuje rozwiązać jakąś sprawę, w szczególności sprawę zabójstwa Thomasa.

- Może się mylę, ale...

- Nie sądzę.

Victoria się uśmiechnęła.

- Ja również. Podobno korespondował z Thomasem. Masz jego listy?

- Wszystkie. - Gospodyni wstała. Sprawiała wrażenie silniejszej niż wtedy, gdy się witały. - Chodź ze mną, moja droga.

Victoria wróciła do Grafton House ze starymi szkicami Thomasa i bardzo interesującymi listami, które Sinclair pisał do brata. Sama zaniósła je do swojego salonu, rezygnując z pomocy Jenny.

Pewna, że odkryła prawdę, musiała zdecydować, jak powiedzieć o tym mężowi. Oraz jak go poinformować, że jego babcia i brat przyjdą na kolację.

Przekonana, że Sinclair Grafton w rzeczywistości jest bohaterem, nie mogła się doczekać jego powrotu do domu.

Drzwi otworzyły się gwałtownie.

- Vixen, słyszałaś?

- Lucy? Co ty...

- Mniejsza o to! - Przyjaciółka podbiegła do niej i chwyciła ją za rękę. - Nie słyszałaś, prawda?

Policzki nieoczekiwanego gościa płonęły, oczy błyszczały podnieceniem.

Po raz pierwszy Victoria nie była zadowolona z wizyty Lucy, która przerwała jej marzenia na jawie.

- A o co chodzi?

- Twój mąż pobił lorda Williama!

Victoria zmarszczyła brwi.

- Williama Landry'ego?

- Tak! Krew leciała mu z nosa jeszcze przez dwadzieścia minut! Tak mówił Lionel.

- Ale dlaczego, u licha, Sinclair miałyby bić Williama? Wie, że jesteśmy przyjaciółmi.

Lucy się zarumieniła.

- William coś powiedział - wyszeptała, choć mógł ją usłyszeć tylko Lord Baggles, który spał na parapecie.

- Co? - Victoria zmierzyła przyjaciółkę wzrokiem. - Na mój temat, prawda?

Panna Havers pokiwała głową.

- I Sinclair go uderzył?

- Kilka razy. Chyba by go zabił, gdyby nie odciągnął go pewien jasnowłosy wielkolud.

Zapewne ten sam potężnie zbudowany mężczyzna, który pamiętnej nocy czaił się przy stajni. Może William przerwał kolejne sekretne spotkanie?

- Kiedy to się stało?

- Wczoraj wieczorem u Boodlesa. Lionel twierdzi, że lord William był pijany, natomiast lord Althorpe nie, sądząc po tym, jak się poruszał.

- A może Sinclair ma po prostu mocniejszą głowę - powiedziała spokojnie, choć w środku cała płonęła. Mąż bronił jej honoru, a kiedy zjawił się w domu, ona wszczęła sprzeczkę. Niech to lichy! - On zaraz wróci. Nie chcę, żeby wiedział, że ja wiem.

Lucy się uśmiechnęła.

- Ale jesteś zadowolona?

Vixen odwzajemniła uśmiech.

- Tak.

- To takie romantyczne. Opowiesz mi później, jak zareagował?

-Tak.

Po wyjściu przyjaciółki Victoria wstała z sofy i zaczęła spacerować po salonie. Zachowanie Sinclaira nic nie zmieniło, wmawiała sobie. Jeśli jej podejrzania były słuszne, w przeszłości wiele razy na-

rażał się na zdemaskowanie. Lecz tym razem ryzykował dla niej.

Gdy rozległo się znajome pukanie, aż podskoczyła.

- Proszę.

Do pokoju zajrzał Sinclair.

- Milo mówił, że chciałaś się ze mną widzieć.

- Tak. Ja... Mógłbyś zamknąć drzwi?

Gdy ruszył w jej stronę, cofnęła się do okna. Jej serce biło tak szybko i mocno, że na pewno je słyszał.

- Co się stało?

- Nic.

Och, jest śmieszna! Dlaczego tak się jej trzęsą kolana? Żar, który od dawna się w niej tlił, teraz buchnął wielkim płomieniem, ale to nie był powód, żeby zapomnieć starannie przygotowanej mowy.

W bursztynowych oczach dostrzegła rozbawienie.

- Na pewno dobrze się czujesz? Przygarnęłaś słońca albo inne bezradne maleństwo?

Zachichotała nerwowo.

- Nie. Tylko chciałam przeprosić, że wczoraj byłam dla ciebie szorstka.

Uniósł brew.

- Sam sobie na to zasłużyłem. Potrafię być przykry i okrutny.

- Nie. Przerwałam ci rozmyślenia o bracie i wykorzystałam twój nastrój.

Sinclair zrobił kolejny krok w stronę Victorii niczym pantera skradająca się do gazeli. Nie mogła cofnąć się dalej, a poza tym bardzo pragnęła być schwytana. Prawdę mówiąc, czuła się raczej jak drapieżnik niż ofiara. Najpierw jednak musiała mu powiedzieć, że odkryła jego sekret. Obawia-

ła się, że wkrótce całkiem straci zdolność mówienia.

- Nie potrafiłabyś mnie wykorzystać, nawet gdybyś chciała, Victorio.

Tym razem nie zdołała się oprzeć prowokującemu uśmiechowi. Podeszła do męża, wplotła palce w jego czarne, falujące włosy, przywarła ustami do jego warg. Sin z żarem odwzajemnił pocałunek. Dopiero po długiej chwili zaczerpnął powietrza i stwierdził:

- Podobają mi się twoje przeprosiny. - Oczy mu błyszczały.

- To nie tylko przeprosiny, ale również podziękowanie - odparła drżącym głosem.

Wolno przesunął dłonie z jej pleców na biodra i mocniej przyciągnął ją do siebie.

- Przyjmuję je, choć nie wiem, za co mi dziękujesz. Zadrżała, kiedy musnął ustami jej szyję.

- Lucy mi powiedziała, co zrobiłeś wczoraj u Boodle'a.

Znowu ją pocałował. Gdyby nie jego silne ramiona, chyba osunęłaby się na podłogę.

- Dlaczego uderzyłeś Williama?

- Naprawdę chcesz wiedzieć? Czy to ważne?

- Nie chodzi mi o niego, tylko o ciebie - szepnęła, pieszcząc mocną pierś męża.

Jego zmysłowe usta wykrzywił półuśmiech.

- Zastanawiasz się, co mnie skłoniło do takiej reakcji?

-Tak.

Przyjrzał się jej z niezwykłą intensywnością, a Victoria nagle dostrzegła w jego wzroku pożąda-

nie, które do tej pory ukrywał pod cynicznymi albo złośliwymi uwagami.

- Zapytał, jaka jesteś... w intymnych sytuacjach.

- I?

- Bardzo się rozgniewałem, zwłaszcza że uważałaś go za przyjaciela.

- Nigdy nie miałam złudzeń. Wszystkich mężczyzn interesuje to samo.

- Mnie również. - Przygarnął ją do siebie. - Czujesz moją ciekawość?

Zaschło jej w ustach.

- Od kilku minut.

- Uderzyłem go, bo nie znałem odpowiedzi na jego cholerne pytanie.

Byłoby łatwiej, gdyby po prostu rzucił się na nią tu i teraz.

- Ja też jej nie znam, milordzie.

Trzęsącymi się rękami wyjęła mu koszulę ze spodni. Sinclair chwycił jej dłonie i położył je sobie na piersi.

- Mówiłaś, że już całowałaś się z mężczyznami.

- Tak. - Uśmiechnęła się gorzko. - Nawet z lordem Williamem. Raz. Najwyraźniej był to błąd.

- Tylko się całowałaś?

Pytanie było obcesowe, głos Sinclaira zduszony, ton natarczywy.

- Tylko.

Uwolniła ręce i wsunęła je mężowi pod koszulę, dotknęła ciepłej skóry.

- O ile sobie przypominam, wczoraj niezbyt mnie lubiłaś.

- Dzisiaj już chyba wiem, kim jesteś naprawdę.

Otworzył usta, ale zakryła je dłonią.

- Będiesz tu stał i przez całe popołudnie zadawał mi pytania? Uważaj, bo się rozmyślę.

- Nie.

Poprowadził ją ku drzwiom sypialni, a ona się nie opierała. To był ten Sinclair, którego pocałowała tamtej nocy w ogrodzie, który wzniecał w niej płomień.

- Pewnie masz jakieś oczekiwania... - zaczęła drżącym głosem.

- Spróbuję cię nie rozczarować.

Lord Baggles zeskoczył z parapetu i ruszył za nimi, ale Sin zamknął mu drzwi przed nosem. Słyszając krótkie, niezadowolone miauknięcie, Victoria zachichotała.

- Od niego nie dostaniesz pozwolenia.

Sinclair nic nie odpowiedział, tylko otoczył żonę ramionami. Spodziewała się pocałunku, ale jedynie patrzył jej w oczy przez dłuższą chwilę.

- O co chodzi?

- Poznaję cię - odparł cicho. - Pragnę cię od tamtego nieszczęsnego wieczoru u Frantonów.

Ona też pragnęła go od samego początku.

Mężczyźni uważali ją za bardziej doświadczoną, niż była w rzeczywistości. Nie wyprowadzała ich z błędu i dlatego czuli się przy niej swobodnie, dzięki czemu dowiedziała się wielu interesujących rzeczy. Niektóre opowieści były podniecające, inne komiczne, zwłaszcza te o gorących reakcjach roznamiętnionych kobiet. Podejrzuwała, że sporo z tych męskich wyczynów i podbojów jest zmyślonych.

Zaskoczyło ją więc, że Sin tak mocno na nią działał. Drżącymi rękami ściągnęła z niego surdut. Kłó-

poty zaczęły się przy małych guziczkach kamizelki.

- Niech to diabli! Przepraszam.

Zaśmiał się i szarpnięciem rozpiął kamizelkę. Guziki posypały się na dywan.

- Nie przepraszaj. Podniecasz mnie.

Zapięcie jej sukni potraktował z większym szacunkiem, choć Victoria wolałaby, żeby się pospieszył. Muskając ustami jej ramiona i kark, doprowadził ją do szaleństwa.

- Rozerwij je - powiedziała zachrypniętym głosem.

- Lubię ten strój - zaprotestował Sin. - Bądź cierpliwa.

Odwróciła się i pocałowała go z żarem.

- Nie chcę być cierpliwa. Weź mnie. Natychmiast.

Zsunął jej suknię z ramion, po czym ukląkł i sięgnął do butów. Victoria położyła ręce na jego barkach i zahipnotyzował ją widok wspaniałych mięśni rysujących się pod koszulą. Sinclair przesunął wolno dłoń w górę jej nóg, podciągając po drodze halkę.

- Już to robiłeś.

Uniósł twarz.

- Ale nie z tobą.

Wstał i zdjął z niej bieliznę. W pierwszym odruchu chciała się zasłonić, ale wyraz jego oczu podniecił ją bardziej niż upojne pocałunki.

- Victorio, jesteś... Jeszcze nie wymyślono słowa, które oddałoby twoją urodę.

Roześmiała się, trochę spokojniejsza i mniej niecierpliwa.

- Stajesz się poetą.

- Ty jesteś poezją.

Przeszedł ją dreszcz, kiedy powoli obrysował kciukiem najpierw jedną pierś, potem drugą. Zataczał coraz ciasniej sze kółka, aż musnął delikatnie brodawki. Gwałtownie wciągnęła powietrze i wygięła plecy w łuk.

- Sinclairze - szepnęła. Gdy nagimi piersiami dotknęła jego gładkiego torsu, w głowie jej zawirowało. - Nogi się pode mną uginają.

- Może powinnaś się położyć. - Bez wysiłku wziął ją na ręce i zaniósł na łóżko. - Na czym to ja skończyłem? - Powiódł po niej wzrokiem. - A, już wiem.

Nachylił się i teraz zaczął drażnić jej krągłe, pełne piersi wargami. Kiedy wziął w usta brodawkę, westchnęła przeciągle. Wplotła palce w jego włosy, drugą ręką sięgnęła do zapięcia spodni. Sin uniósł głowę.

- Zrobiłam coś nie tak? - spytała niepewnie.

Uśmiechnął się szeroko.

- Nic podobnego. Zaskoczyłaś mnie, ale nie krępuj się, Victorio.

Gdy odpięła drugi guzik, Sinclair uniósł się na łokciu i wolną dłoń przesunął w dół jej brzucha. Pod wpływem intymnej pieśczoły rozchyliła uda. Kiedy zaczął ssać jej brodawkę, rozpalona do białości objęła jego twarde pośladki.

- Chodź!

Wszedł w nią zdecydowanym ruchem i zamknął jej usta pocałunkiem, tak że wydała z siebie tylko stłumiony jęk i kurczowo chwyciła go za ramiona.

- Cii. Zaczekaj chwilę. - Jego niski głos drżał, oddech był urywany. Zrozumiała, jak trudno mu nad

sobą panować. Odprężyła się i uśmiechnęła. Gdy zaczął się poruszać, jęknęła i przymknęła powieki.

- Spójrz na mnie - powiedział Sin. - Chcę widzieć twoje oczy.

W jego wzroku ujrzała żądzę. Wstrzymała oddech, unosząc biodra. Głęboko w sobie poczuła pulsowanie, a potem żar. Sinclair wtulił twarz w jej ramię, a po chwili zadrżał i znieruchomiał.

- Teraz naprawdę jesteśmy małżeństwem - wyszeptał, opadając na nią bez sił.

8

Sinclair oczywiście czuł się dumny, że jest pierwszym mężczyzną, który zdobył Vixen Fontaine. I ostatnim, jeśli miał cokolwiek do powiedzenia w tej kwestii. Już nie można było unieważnić małżeństwa, chyba że posunęliby się do kłamstwa. Lecz to ostatnie rozwiązanie nie wchodziło w grę. Nie chciał wypuścić jej z rąk.

- Dawno powinienem sprać Williama Landry'ego - mruknął z ustami wtulonymi w jej włosy.

Zaśmiała się.

- Szkoda, że tego nie zrobiłeś. Rzuciłabym się na ciebie jeszcze przed ślubem.

Uniósł głowę.

- Jesteś nieprzyzwoita.

Wyglądała niezwykle pociągająco, a jej uśmiech przyćmiłby słońce.

- Wiem.

Sinclair też się roześmiał.

- Jeszcze kogoś mam zbić?

Światło w jej oczach trochę przygasło.

- Człowieka, który zamordował twojego brata.

Westchnął, bawiąc się pasmem jej włosów. Przez głowę przemknęła mu myśl, że do końca życia będzie się przy niej budził.

- Obawiam się, że nie tak prędko.

- Zastanawiałam się nad twoim śledztwem.

- I?

- Chcę ci pomóc.

- Wykluczone.

Aż zadrżał, gdy sobie wyobraził, co mogłoby ją spotkać.

Victoria usiadła, naga i piękna w blasku popołudniowego słońca, który wpadał przez okno.

- Znam to środowisko dużo lepiej niż ty i umiem dociekać prawdy.

-Jakiej prawdy?

- Na przykład wiem, że jesteś szpiegiem ministerstwa wojny.

Zerwał się gwałtownie.

- Co?! - Parsknął wymuszonym śmiechem. - Dobry Boże, skąd ci to przyszło do głowy?

- Wiem również, że nie mogłeś przyjechać na pogrzeb Thomasa, bo udawałeś, że jesteś zakochany w córce marszałka Pierre'a Augereau, i byłeś bliski wydobyć z niej informacji, gdzie zbiera się wojsko Bonapartego.

- Kto ci naopowiadał tych bzdur? - Z wolna narastał w nim gniew.

Victoria zmierzyła go spokojnym wzrokiem.

- Ty, Sinclairze.

- Nie sądzę - wybuchnął.

Lecz dostrzegłszy w jej oczach czujność, szybko się opanował. Wykręty tylko utwierdziłyby ją w podejrzeniach. Nachylił się ku niej i spróbował innej taktyki.

- Nie rozumiesz, że to mógłby być trop...

- Pokażę ci - przerwała mu i wyskoczyła z łóżka.

Błyskawicznym ruchem chwycił ją za nadgarstek.

- Victorio...

- Mówię prawdę - oświadczyła. - Dowód znajduje się w salonie. Chodź ze mną, jeśli chcesz.

Nie zamierzał spuścić jej teraz z oczu. Sięgnął po spodnie. Gdy Victoria otworzyła drzwi, do sypialni wmaszerował urażony Lord Baggles, ale Sin go zignorował i ruszył przez pokój.

Jego żona podeszła do fotela stojącego przy kominku, po czym się zawahała i odwróciła. Na jej twarzy malowała się skrucha.

- O co chodzi? - zapytał Sinclair oschłym tonem.

- Uświadomiłam sobie, że będziesz na mnie zły, a miałam nadzieję na więcej... - Zerknęła na sypialnię.

Do licha!

- Na pewno ci nie odmówię, nawet jeśli będę zły - zapewnił całkiem rozbrojony.

- Naprawdę?

- Tak, ale nie zmieniaj tematu.

Victoria pochyliła się i wyciągnęła zza fotela duży pakunek owinięty w jej zielony wizytowy szal.

- Daj to - burknął, robiąc krok w jej stronę.

- Poradzę sobie - odparła, rzucając ciężar na sofę. - Sama go tu przyniosłam.

- Dlaczego?

Oblała się rumieńcem.

- Bo nie chciałam, żeby ktoś go zobaczył. Usiądź i postaraj się zachować spokój.

Sinclair opadł na fotel.

- Dobrze. A teraz powiedz, skąd ci przyszło do głowy, że jestem szpiegiem?

Victoria wyjęła spod szala plik listów. Otworzy-

ła jeden i przebiegła go wzrokiem, a następnie zaczęła czytać na głos:

- „Choć doceniam twoje opowieści o swoich niemiłych przygodach na pikniku z panną Hampstead, w następnym liście powstrzymaj się, proszę, od dalszych uwag o winach. Mam już dość zachwyków nad »piękną szatą« i »niezrównanym bukietem«. Ostatecznie jestem w Paryżu”.

Sinclair patrzył na nią z pobladłą twarzą. Nie od razu zdołał wydobyć z siebie głos.

- Po pierwsze, co nasunęło ci myśl, że jestem szpiegiem? A po drugie, gdzie, u licha, zdobyłaś ten list?

- Pewnie nie wiesz, że przed debiutem byłam uczennicą Alexandry Gallant, która...

- Czy to istotne? - warknął.

- Tak. Wiesz, że Alexandra Gallant jest hrabiną Kilcairn Abbey.

Znowu Kilcairn!

-I?

- Lex bardzo uważnie śledziła wojnę na półwyspie i mnie również do tego zmuszała. Pamiętam dobrze, że wiosną tysiąc osiemset czternastego roku aresztowany przez ludzi Bonapartego hrabia de Chenerre zniknął z paryskiego więzienia i pojawił się dwa tygodnie później w Hampstead z dokumentami dotyczącymi sojuszu Francji z Prusami. Wiem, że posiadłość Chenerre szczyli się jednymi z najlepszych winnic we Francji.

Sinclair wstał i podszedł do okna.

- I tylko dlatego, że wspomniałem o winie i panie Hampstead...

- I o Paryżu.

- ...i o Paryżu w tym samym liście, uważasz, że

miałem coś wspólnego z hrabią de Chenerre i jego przygodami.

Victoria milczała przez dłuższą chwilę, podczas gdy on starał się uspokoić. Nie zdawała sobie sprawy, jaki poczuł ból, gdy usłyszał słowa, które napisał w zupełnej nieświadomości, że rok później Thomas będzie martwy.

- Widnieje tu data: dziewiąty maja, tysiąc osiemset czternaście, czyli tydzień po pojawieniu się Chenerre'a w Anglii. A twój brat nigdy nie był na żadnym pikniku z kobietą o nazwisku Hampstead.

- To śmieszne...

- Jest jeszcze pięć listów, w których, jeśli czyta się je uważnie, można znaleźć odniesienia do wydarzeń we Francji i innych miejscach Europy, kiedy to Anglii nieoczekiwanie sprzyjało szczęście. Rozumiem konieczność zachowania dyskrecji, lecz, proszę, nie traktuj mnie jak idiotkę.

Sinclair wyglądał przez okno, ale nie podziwiał rozciągającego się przed nim widoku.

- Skąd masz te listy?

- Od Augusty.

Odwrócił się gwałtownie.

- Co takiego?

- Dala mi również rysunki twojego brata. - Położyła sobie na kolanach duże i płaskie drewniane pudło. - Chodź, zobacz.

Zacisnął pięści i nie ruszył się z miejsca.

- Nie łudź się, że odwrócisz moją uwagę od tego, co zrobiłaś, Victorio. Poszłaś...

- Bez twojej -wiedzy? Węszyłam? Nie zostawiłeś mi wyboru. Nie potrafiłeś zaufać.

- Nie ufam nikomu. Przekonałem się, że to niebezpieczne dla mnie i dla wszystkich zainteresowanych.

- Twój brat wiedział?

- Tak, i teraz nie żyje. Zapewne podzieliłaś się domysłami z moją babcią. Nie miałaś prawa, Victorio.

Od dwóch lat prześladowała go myśl, że straci jeszcze kogoś bliskiego. Powinien był wykazać się rozsądkiem, w porę uciec od lady Victorii Fontaine gdzie pieprz rośnie.

- Teraz to rozumiem. Szczerze mówiąc, nie wiedziałam, czego się spodziewać, ale musiałam poznać prawdę. Chciałbyś, żebym nic nie zrobiła, gdybym podejrzewała, że jesteś zdrajcą?

- Nie - powiedział niechętnie.

Odszedł od okna i usiadł obok niej na sofie. Victoria położyła lekko drżącą rękę na jego zaciśniętej pięści.

- Nie bój się, dochowam tajemnicy.

- Nieraz słyszałem podobne zapewnienia.

- Nie ode mnie. Nie powiem nikomu, Sinclairze. I twoja babcia również, przecież wiesz.

W głębi duszy jej wierzył. Wierzył od chwili, gdy ją zobaczył, choć nie miał po temu żadnych podstaw, zważywszy na towarzystwo, w jakim się obracała.

- Oczywiście, Victorio, ale musisz pamiętać, że to nie jest zwykły sekret. Może ci grozić poważne niebezpieczeństwo.

- Zdaję sobie z tego sprawę. I naprawdę chcę ci pomóc. Muszę.

Dotknął jej policzka.

- Jesteś zbyt piękna, żeby tak ryzykować. I tak

mam już dużo na sumieniu. Nie chcę dodawać do tej listy jeszcze twojej śmierci.

Zmrużyła oczy.

- A na co nie jestem „zbyt piękna”? Na przyjęcia? Bale? Dzielenie z tobą łóża? I tak zostanie mi jeszcze dużo wolnego czasu.

- Victorio...

Odłożyła pudło na sofę i wstała.

- Nie próbuj swoich sztuczek. Przejrzałam cię, Sinclairze. Myślisz, że mnie powstrzymasz od szukania zabójcy?

Najwyraźniej tracił panowanie nad sytuacją, a nie przywykł do tego, by mu się sprzeciwiano.

- Wystarczy, że przywiążę cię do łóżka.

- Jakie to typowe! Jesteś silnym mężczyzną, więc uważasz, że możesz mi rozkazywać. Nie...

W tym momencie rozległo się pukanie.

- Lady Althorpe?

- Do licha! To Milo. Nie mogę mu się pokazać w takim stroju.

Sinclair podniósł się z kanapy.

-Ja mogę.

- Ale ty... my...

Choć był zdenerwowany, jej zmieszanie sprawiło mu przyjemność.

- Przecież jesteśmy małżeństwem.

Gdy otworzył drzwi ubrany w same spodnie, zaskoczenie, które odmalowało się na twarzy kamerdynera, nieco poprawiło mu humor.

- O co chodzi?

- Eee... przybyli goście lady Althorpe.

- Jacy goście?

- O, nie! - wykrzyknęła Victoria i popędziła do sypialni.

- Sam przekażę wieść markizie - powiedział Sinclair i zamknął słudze drzwi przed nosem.

Ruszył do apartamentu żony. Victoria w panice miotła się po garderobie.

- Kogo zaprosiłaś na kolację?

Aż podskoczyła na dźwięk jego głosu.

- Chciałam cię uprzedzić i spokojnie wszystko wyjaśnić, ale dowiedziałam się, że uderzyłeś lorda Williama, i to było takie... romantyczne, że... No, sam wiesz. A teraz już jest za późno!

Przerzuciła przez ramię kilka sukien i zaczęła grzebać w szufladzie z pończochami.

- Kto jest na dole? - spytał z godnym podziwu opanowaniem.

Victoria zamknęła oczy, a po chwili uchyliła jedną powiekę.

- Twoja babka i brat.

Sinclair zamrugał.

- Chyba tracę słuch. Zaprosiłaś na kolację moją rodzinę, nie informując mnie o tym ani nie prosząc o zgodę?

- Tak. I uważam, że dobrze zrobiłam. Szkoda, że nie widziałeś dzisiaj twarzy Augusty, kiedy zrozumiała, że ty...

- Nie jestem takim nicponiem, za jakiego mnie uważała? Wolę, żeby była mną rozczarowana niż martwa. - Chwycił jeden z butów walających się po podłodze i cisnął go przez pokój. - Do diabła!

- Więc nie schodź na dół - odparowała jego żona i pomaszerowała do oranżerii.

Jedli właśnie gulasz, gdy drzwi jadalni się otworzyły. Choć Victoria przez cały czas miała nadzieję, że Sinclair jednak przyjdzie, była mimo wszystko zaskoczona, kiedy rzeczywiście stanął w progu.

Uznała, że to dobry znak. Postanowiła bowiem uratować męża przed nim samym, zburzyć mur, który wokół siebie zbudował, żeby chronić rodzinę przed nieznanym zabójcą Thomasa Graftona. Rozkoszne popołudniowe sam na sam tylko zwiększyło jej determinację.

- Dobry wieczór.

Sinclair podszedł do babci i cmoknął ją w policzek. Augusta podniosła rękę do jego twarzy, ale szybko się wyprostował, uciekając przed pieszcotliwym gestem.

- Ty też chcesz całusa, Kit? - zapytał.

Brat uśmiechnął się szeroko.

- Wystarczy uścisk dłoni.

Przywitawszy się z gośćmi, pan domu zajął miejsce u szczytu stołu, naprzeciwko Victorii.

- Widzę, że zatrzymałeś większość starego personelu - zauważyła lady Drewsbury, zerkając na Milo.

- Tak. Znają ten dom lepiej niż ja.

- Jutro są wyścigi łodzi na Tamizie - oznajmił Christopher. - Postawiłem dwadzieścia funtów na Dasha, bo zwerbował do załogi tego Greka Stephano. Przyjdiesz?

- Nie miałem tego w planach. - Spojrzenie, które posłał żonie, wyraźnie mówiło, że jedna kolacja nie pojedna go z rodziną.

- Szkoda - bąknął chłopak, wyraźnie rozczarowany.

- Ale właściwie nie widzę powodu, żeby się tam nie wybrać - ciągnął gładko Sinclair. - Poznam najnowsze oksfordzkie plotki.

Kit się rozpromienił.

- Doskonale! Ale nie stawiaj na Dasha, bo spłoszysz moje ofiary i zrujnujesz szanse na wygraną. - Pochylił się ku bratowej. - Pójdiesz z nami, Vixen? Będzie świetna zabawa.

Victoria nie potrafiła nic wyczytać z twarzy męża. Lecz już sam jej nieprzenikniony wyraz był dla niej znakiem, którego potrzebowała.

- Dziękuję, Christopherze, ale umówiłam się na obiad z przyjaciółmi.

- Mów mi Kit. Czy to przypadkiem nie są przyjaciółki?

Roześmiała się.

- Prawie wyłącznie. Czy którąś szczególnie chcesz poznać? Na pewno mogłabym to zaaranżować.

- Wspaniały pomysł, moja droga - stwierdziła Augusta.

Wszyscy spojrzeli na nią zaskoczeni.

- Naprawdę? - bąknął wnuk z powątpiewaniem.

- Tak. Trzeba uczcić powrót Sinclaira i wejście Victorii do rodziny. Wyprawię bal w Drewsbury House.

Christopher wydał okrzyk radości.

- Jesteś cudowna, babciu!

- Moim celem życiowym było zasłużenie na taką opinię - odparła baronowa sucho, ale jej oczy się iskrzyły.

Sądząc po minie, Sinclair był mniej zachwycony pomysłem niż młodszy brat. Obawiając się fiaska

swoich wysiłków, Victoria klasnęła w dłonie i zaśmiała się wesoło.

- Bardzo się cieszę. Mogę ci pomóc w układaniu listy gości, Augusto?

- Oczywiście. Jeśli mamy uszczęśliwić Christophera, musimy zaprosić twoje przyjaciółki. Moje są dość wiekowe.

- Czy jest już ustalona data tego wydarzenia? - zapytał Sin.

- Co powiecie na piętnastego? Zostaną nam cztery dni na rozesłanie zaproszeń i dziesięć na przygotowania.

Dobrze, że od razu się nie sprzeciwił, ale lepiej nie dawać mu czasu do namysłu, stwierdziła Victoria. Wstała i podeszła do męża.

- Czy pomysł ci odpowiada, Sinclairze? - zapytała cicho, biorąc go za rękę.

Dostrzegła zdziwione spojrzenia, które wymienili Augusta i Kit, ale je zlekceważyła, gdy Sin się do niej uśmiechnął.

- Myślę, że jest świetny. Przynajmniej będziesz miała zajęcie.

Jej radość przerodziła się w irytację. Do diabła, powinna była przewidzieć, że mąż nie przestanie szukać sposobów, by odciągnąć ją od śledztwa.

Odpowiedziała mu promiennym uśmiechem.

- Dziękuję. - Odwróciła się do szwagra. - Zaproszę wszystkie moje niezamężne przyjaciółki. Będziesz rozrywany.

Kit się zaśmiał.

- Chyba zemdleję ze szczęścia.

Sin spochmurniał.

- Hm. Ja też.

Choć się na nią gniewał, dla rodziny był czarującym, więc kolacja upłynęła w miłej atmosferze. Gdy późnym wieczorem odprowadził gości do powozu, Victoria z niecierpliwością czekała na niego w holu.

- Lubię twoją rodzinę - stwierdziła.

Sinclair zerknął na kamerdynera.

- Dziękuję, Milo. Już nie będziesz dzisiaj potrzebny.

Sługa się uklonił.

- Dobranoc, milordzie.

- Dobranoc, Milo - powiedziała Victoria z uśmiechem.

Kamerdyner złożył pracodawcom jeszcze jeden ukłon i ruszył w stronę pomieszczeń dla służby. Gdy zniknął z widoku, Sinclair odwrócił się do żony.

- Chodź - powiedział i skierował się ku schodom.

- Ja tylko chciałam ci pomóc.

Zatrzymał się i obejrzał.

- Wiem. Idziemy.

- Ale jesteś na mnie zły, prawda?

- Tak. Bardzo. Przysporzyłaś mi więcej kłopotów, niż sądzisz, Victorio. Chodź wreszcie, bo sam zaniosę cię na górę.

Groźba nie była straszna, bo Victoria lubiła, jak mąż ją nosił na rękach. Puls jej przyspieszył.

- Idę.

Ku jej zaskoczeniu minął apartament pani domu i stanął przed swoją sypialnią. Zawahała się, gdy przepuścił ją w progu.

- Zdenerwowana?

- Ani trochę - odparła i weszła śmiało do pokoju.

Zamknawszy za sobą drzwi, mąż chwycił ją w ramiona i pocałował. Victorię przeszedł dreszcz. Sin był teraz bardziej zdecydowany i władczy niż zwykle. Objęła go za szyję.

- Mam wyjść? - odezwał się burkliwy głos.

Aż podskoczyła z wrażenia.

- Do diabła! - zaklął Sinclair, masując podbródek. - Victorio, to Roman.

Z głębokiego fotela wstał niski, krępy mężczyzna. Wyglądał jak robotnik portowy albo marynarz. Straszliwa blizna biegnąca przez lewą stronę twarzy unosiła kącik jego ust w stałym ironicznym grymasie. Dwa palce lewej ręki były podkurczone.

- Sądziłam, że jest pan lokajem.

- Między innymi - powiedział, drapiąc się po głowie.

- I szpiegiem - dodał Sinclair. - A raczej był nim do tej pory.

- Sin! Co ty...

- Jak się masz, Romanie? - Victoria wyciągnęła do niego dłoń.

- Chyba zwariowałem, milady, bo słyszę dziwne rzeczy - odparł, piorunując towarzysza wzrokiem.

Sinclair machnął ręką.

- Sama się domyśliła. Siadaj. Chcę, żebyście się lepiej poznali.

- Naprawdę? - zapytali oboje jednocześnie.

- Tak.

Victoria i Roman spojrzeli po sobie. Sinclair podszedł do kominka. Właśnie odkrył przed żoną największą tajemnicę swojego życia, której strzegł przed wszystkimi. Usiadła.

- Brandy? - zapytał gospodarz uprzejmie i wręczył lokajowi kieliszek. - Proszę, Victorio.

Wzięła od niego trunek, zastanawiając się, czy nie śni. Sin też nalał sobie brandy i przysiadł na szerokiej poręczy jej fotela.

- Romanie, lady Althorpe chciałyby pomóc nam w śledztwie. Byłbym wdzięczny, gdybyś jej wytłumaczył, dlaczego jest to bardzo zły pomysł.

- Więc o to chodzi? - Victoria odstawiła kieliszek i wstała rozgniewana. - Nie jestem dzieckiem, Sinclairze. I nie myśl, że mnie tak łatwo zniechęcisz...

- Siadaj. - Chwycił ją za spódnicę i pociągnął w dół.

Opadła z powrotem na fotel. Nigdy nie lubiła, gdy jej mówiono, co ma robić, zwłaszcza kiedy była pewna, że postępuje słusznie.

- Nie obchodzą mnie żadne mrozące krew w żyłach historie. A poza tym nie możesz mi rozkazywać.

- Mogę.

- Dama rzeczywiście nie powinna słuchać o takich rzeczach, Sin - odezwał się Roman.

- Właśnie o to mi chodzi. Dama nie powinna o nich słuchać ani tym bardziej się w nie mieszać.

- Mieszkałeś w burdelu, Sinclairze, więc kobiety musiały ci pomagać, przynajmniej do pewnego stopnia.

- Ty nie jesteś jedną z nich.

- I dlatego odrzucasz moją pomoc?

- To nie tak, Vixen, dobrze wiesz. Jesteś subtelną damą i nie masz pojęcia o wielu sprawach. Nie chcę, żeby coś ci się stało.

Najwyraźniej nie zamierzał jej ulec. Cóż, ona też potrafiła manipulować innymi. Odkąd skończyła

osiemnaście lat, wodziła za nos wielu dżentelmenów.

- Myślę, że popełniasz błąd - oświadczyła z urazą. - Ale skoro nie chcesz mnie włączyć do własnego życia, niech tak będzie. - Tym razem nie próbował jej zatrzymać. - Tylko nie oczekuj, że ja włączę cię do swojego. Dobranoc panom.

- Milady.

Sinclair obserwował, jak żona idzie do swojej sypialni. Drgnął, kiedy rozległ się trzask zamka. Cóż, jeśli samotna noc ma być ceną za bezpieczeństwo Victorii, chętnie ją zapłaci.

- Sądziłem, że zależy ci na jej pomocy - odezwał się Roman.

- Owszem, ale nie chciałem, żeby poznała prawdę.

- Trochę za późno na żale.

Sin opadł na fotel, który zwolniła żona.

- Wiem.

- I co dalej?

- Teraz się stąd wyniesiesz i zostawisz mnie w spokoju. Muszę pomyśleć.

- Dobrze. - Roman wstał i ruszył do drzwi. - Zdaje mi się, że poślubiłeś kobietę, nad którą nie masz władzy. To niedobre dla szpiega i z pewnością niedobre dla męża.

- Dobranoc.

Do tej pory Sinclair szczyił się tym, że zwykle potrafi przewidzieć zachowanie sojuszników albo wrogów. Victoria natomiast grała według swoich zasad, całkiem dla niego niejasnych.

Pociągnął łyk brandy. A może jego żona nie prowadzi żadnej gry? Z wolna utwierdzał się w prze-

konaniu, że małżeństwo z Vixen Fontaine jest jednym z jego najlepszych pomysłów. Jeśli nie chciał, żeby się skończyło, gdy już znajdą mordercę Thomasa, musiał lepiej ją poznać, dowiedzieć się, czego od niego oczekuje.

Choć od początku budziła w nim żądzę, zamierzał przede wszystkim wykorzystać jej znajomości i koneksje w wyższych sferach. Nadal pragnął żony, nawet bardziej, odkąd posmakował jej namiętności, ale nie spodziewał się, że ją polubi, że zacznie podziwiać jej bystry umysł, ciepło i wrażliwość.

Wypił swoją brandy, potem Victorii, nalał sobie kolejną porcję, aż w końcu doszedł do wniosku, że nie będzie przez całą noc przewracał się w łóżku. Poszedł do garderoby, znalazł elegancki wieczorowy strój, założył go i wyszedł z domu.

Postanowił zagrać w karty w Society Club i kiedy zmierzył portiera chłodnym wzrokiem, został wpuszczony do saloniku oświetlonego kandelabrami. Podziękował w duchu Thomasowi. Gdyby nie jego reputacja, obecny lord Althorpe najprawdopodobniej zostałby wyrzucony z połowy londyńskich klubów dla dżentelmenów.

- Mogę się przyłączyć? - spytał i, nie czekając na odpowiedź, zajął wolne krzesło.

- A, nasz złodziej kobiet! Oczywiście, dosiądź się, Althorpe.

John Madsen, lord Marley, sięgnął po butelkę porto i pospiesznie napełnił kieliszki: swój i czterech kompanów. Sinclair spokojnie zamówił nową, chyba już czwartą z kolei. Brandy krążyła mu w żyłach płynnym ogniem.

- W co gracie?

Jego towarzysze byliby przerażeni, gdyby wiedzieli, w jakim nastroju i stanie wyruszył na polowanie.

- Zaczniemy nową rundę - odparł Marley.

- To miłe z waszej strony.

- Lubisz faraona, Ałthorpe? - zdziwił się Lionel Parrish. - Myślałem, że na kontynencie króluje oko.

- Jestem znany z tego, że gram we wszystko - odparł Sinclair, patrząc na Marleya. - I rzadko przegrywam.

John Madsen dał znak rozdającymemu.

- Wygraną zawsze można stracić - powiedział, kładąc dwa funty na siódmkę kier.

- Chyba że się jest ostrożnym.

Rzucił na stół banknot zwinięty w kształt czepka.

- Zaczynasz od dwudziestu funtów? - zaprotestował Parrish. - Dla mnie to za duża stawka.

- Ładny kapelusik - odezwał się wicehrabia Whyling.

- Dzięki. Ze stufuntowego banknotu potrafię zrobić kobietę hojnie obdarzoną przez naturę.

- A za dwa szylingi można sobie kupić każdą na Charing Cross - stwierdził Whyland z szerokim uśmiechem.

Piąty gracz zarechotał pijackim śmiechem.

- Tak, ale ja zatrzymam swoją setkę, jeśli wygram - odparował Sinclair. - Prawdę mówiąc, małżeństwo to duża oszczędność.

Marley łypnął na niego spode łba.

- Dlaczego? - zapytał burkliwie.

Sin tylko się uśmiechnął.

- Wydawało mi się, że w tych sprawach nie ma za darmo - zauważył Parrish.

- Celną uwagę, ale z mojego doświadczenia...

- Zamknij się, Althorpe! - ryknął Madsen. - Wszyscy wiemy, że zdobyłeś Vixen. Nie musisz dzielić się z nami szczegółami.

- Mówiłem ogólnie. Ani słowem nie wspomniałem o żonie.

W tym momencie uświadomił sobie, że rzeczywiście jest zbyt pijany i poirytowany, żeby wdawać się w taką rozmowę. Z drugiej strony, gdyby udało mu się zdemaskować Marleya, stanąłby przed Victorią z czystym sumieniem.

- Istotnie - przyznał Parrish. - Teraz ja stawiam. Pięć na damę. Jeśli przegram, przynajmniej pociągnę cię ze sobą na dno.

Sinclair skwapliwie wykorzystał zmianę tematu.

- Szkoda, że mój brat nie lubił hazardu. Mógłbym zacząć cieszyć się swoim majątkiem wcześniej niż dopiero po jego śmierci.

- Może po prostu twój brat staranniej dobierał partnerów do gry - rzucił Marley. Rumieniec gniewu już zniknął z jego twarzy. - Spędziliśmy z Thomasem wiele miłych wieczorów.

- Chyba się przesłyszałem. Powiedziałaś „Thomas” i „miły” jednym tchem?

Whyling parsknął śmiechem, a Sinclair doszedł do wniosku, że jednak go nie lubi. Piąty gracz, pan Henning, bez przekonania zawtórował wicehrabiemu.

- Nie znałem Althorpe'a, ale wyglądał mi na dobrego człowieka - stwierdził.

- Bo nim był... mimo błędów, które popełniał - za-

pewnił Marley, spoglądając szyderczo na markiza.

- Możesz uwłaczać charakterowi mojego nieodżałowanego brata, ale nie drwij z jego upodobań. To cios poniżej pasa.

- Nie chodziło mi o jego upodobania. Thomas wciąż mnie namawiał, żebym pozbył się wszystkich udziałów we francuskich spółkach. Szlachetny gest, przyznaję, ale straciłbym fortunę, gdybym go posłuchał.

- I tak straciłeś - zauważył Whyling. - Dużą część w tym pokoju i na moją rzecz, o ile sobie przypominam.

- No, no, spokojnie - wtrącił Parrish, kładąc rękę na ramieniu przyjaciela, który już podnosił się z krzesła. - Szkoda dobrego portu i czasu na sprzeczki. Jestem tu po to, żeby grać w faraona.

- Ja również - dorzucił Sinclair.

Postanowił, że rano zada Victorii kilka pytań na temat byłego narzeczonego.

9

- Jesteś pewna, że twój mąż będzie zadowolony, gdy nas tu wszystkich zobaczy? - zaniepokoiła się Lucy. - Wolałabym go nie rozgniewać.

- Nie obawiaj się. Wciąż powtarza, że Grafton House to również mój dom, a ja chcę spotykać się z przyjaciółmi.

- Obiecałaś, że mi powiesz, jak zareagował, kiedy spytałaś go o lorda Williama.

Victoria oblała się rumieńcem. Czym prędzej wzięła Lucy pod ramię i wprowadziła ją do ogromnej sali balowej.

- Och, to nic ciekawego - odparła niedbale. — Wiesz, jacy są mężczyźni.

- Nie...

- Szkoda, że nie ty wydajesz bal - zaszczebiotała Venetia Hilston, ratując Victorię z opresji. - Zmieściłoby się tu pół Londynu.

- To prawda - zgodził się Lionel Parrish, porywając Lucy do walca. - Ale wtedy nie mielibyśmy tyle miejsca do tańczenia.

- I byłoby strasznie gorąco - dodała Venetia z powagą.

- Ona zupełnie nie ma poczucia humoru, prawda? - mruknął Victorii do ucha lord Geoffrey Tremont.

Kręcił się koło niej przez całe popołudnie jak

pszczoła wokół kwiatu. Vixen zaśmiała się cicho i pchnęła go ku okrągłutkiej Norze Jeffrie.

- Marguerite, zagraj nam, żebyśmy mogli zatańczyć - powiedziała.

- Tak, prosimy cię, Marguerite! - zawołała Lucy, wirując z Parrishem po wielkiej sali.

Panna Porter nie dała się długo namawiać i wkrótce salę wypełniły dźwięki fortepianu.

Dzień był zbyt wietrzny na spacer albo przejażdżkę po Hyde Parku, więc Victoria wpadła na pomysł, żeby zaprosić przyjaciół do domu. Dobrze, że już nie mieszkała w Fontaine House, bo rodzice zemdleliby z przerażenia na widok gromady młodych ludzi. Przy okazji chciała wy badać, czy ktoś wie, kogo adorował poprzedni lord Althorpe. Bogaty, szanowany, samotny i utytułowany dżentelmen powinien być wręcz oblegany przez kobiety.

- Mogę cię prosić do tańca? - zapytał cicho lord Geoffrey, jakimś cudem wymknąwszy się Norze.

Victoria zmusiła się do uśmiechu.

- Oczywiście.

Dandys z uporem starał się o jej względy, wykradał ją Marleyowi, gdy tylko miał okazję, a potem przez cały czas opowiadał, jak ją zdobędzie. Zupełnie jakby była główną nagrodą na wiejskiej zabawie. Gdyby nie to, że przypadkiem natknął się na ich grupkę w restauracji, nigdy nie zaprosiłaby go do Grafton House.

Dobrze chociaż, że był zręcznym tancerzem. W dodatku nie musiała podtrzymywać rozmowy, bo i tak nie pozwalał jej dojść do słowa. Ograniczała się do potakiwania i ukradkiem obserwowała Lionela i Lucy.

Na początku sezonu Parrish należał do grona jej wielbicieli, ale teraz nie odstępował na krok panny Havers. Victoria uśmiechnęła się w duchu. Nigdy nie bawiło jej swatanie, ale akurat ci dwoje tak do siebie pasowali, że nie mogła się powstrzymać.

W połowie drugiego walca Marguerite nagle się pomyliła. Było to tak niezwykle, że Victoria zerknęła na przyjaciółkę... i omal nie nadepnęła nogi partnera. O fortepian opierał się jej mąż i rozmawiał z panną Porter tak, jakby znał ją od lat.

Choć się na niego gniewała, przebiegł ją dreszcz. Sinclair wciąż ją zaskakiwał, a bardzo lubiła niespodzianki.

Nie przerwał zabawy ani nie próbował się do niej włączyć, tylko czekał cierpliwie, aż walc dobiegnie końca. Victoria była zadowolona, że Marley odmówił przyjścia. Lorda Williama oczywiście nie zaprosiła.

- Zdaje się, że lord Althorpe nie ma nic przeciwko nam - szepnął Tremont.

W tym momencie niemal pożałowała, że Sin wszystkich nie przepędził.

- Nic dziwnego. Jesteście moimi przyjaciółmi.
- Chodziło mi o nas: ciebie i mnie, moja droga.
- Rozumiem, ale to tylko taniec, nie bachanalia.
- Słyszałem, że rozkrwawił nos Williamowi Landry'emu, a wczoraj w nocy omal nie pobił się z Marleyem. Nie sądziłem, że Sin Grafton może być zazdrosny, lecz nigdy nie wiadomo. Walc z tak śliczną kobietą jak ty to prawdziwa przyjemność, ale nie chciałbym stracić zębów.

Victoria zerknęła na męża; najpierw William, teraz Marley. Parrish wspomniał, że poprzedni wie-

czór spędził w klubie, ale o Sinclairze nic nie mówił. Sądziła, że po ich drobnej kłótni mąż poszedł spać. Najwyraźniej starcie z nią mu nie wystarczyło.

Kiedy taniec się skończył, zostawiła Geoffreya i podeszła do fortepianu.

- Dzień dobry - powiedziała z ostrożnym uśmiechem.

Spodziewała się chłodnej wyniosłości, ale Sin nachylił się i musnął wargami jej policzek.

- Dzień dobry.

Jak zwykle, gdy jej dotykał albo całował, miała ochotę rzucić się w jego objęcia, zedrzeć z niego ubranie. Irytował ją i jednocześnie pociągał. Właśnie zastanawiała się, jak to możliwe, gdy podszedł do nich Parrish z Lucy. Gospodarz przywitał go krótkim uściskiem dłoni.

- Znasz wszystkich obecnych, Sinclairze? - spytała Victoria.

- Chyba nie.

Dokonała prezentacji, a Sin błyskawicznie oczarował jej przyjaciół. Tylko Lionel zachował rezerwę.

W końcu, dręczona ciekawością, przyparła go do muru.

- Co się dzieje? - syknęła.

-Nic.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że Sinclair i Marley omal się nie pobili zeszłej nocy?

- Jedynie zamienili parę słów.

- O mnie?

- Zapytaj męża. Marley jest moim przyjacielem. Nie chcę dostać cięgów od jednego albo drugiego.

- Dobrze.

Kiedy się odwróciła, Lionel dotknął jej ramienia.

- Na pewno wszystko w porządku? Martwię się o ciebie.

- Niepotrzebnie...

- Czy na dzisiejsze popołudnie są jeszcze przewidziane jakieś tańce? - rozległ się obok nich głos Sinclaira.

Parrish natychmiast cofnął rękę.

- Niestety musimy już iść. Dziś premiera „Czarodziejskiego fletu”. Na pewno będą tłumy.

- Wybieracie się do opery? - Lucy najwyraźniej nie wyczula napięcia panującego między dwoma mężczyznami.

- Nie wiem - bąknęła Victoria, powstrzymując się od błagalnego spojrzenia na męża. - Jeszcze o tym nie rozmawialiśmy.

- Chciałabyś pójść? - zapytał Sin takim tonem, jakby byli sami w pokoju.

- Tak - odparła, rumieniając się. - Ale nie musimy...

- Przyjdziemy - zapewnił Lucy z czarującym uśmiechem.

- Życzę powodzenia, bo ja nie dostałem biletów - odezwał się lord Geoffrey. - Proponowałem nawet Harrisowi pięćdziesiąt funtów, żeby odstąpił mi łożę.

- Moja babcia ma łożę.

Victorii zawirowało w głowie. Kolejna niespodzianka.

Kiedy odprowadzali gości do drzwi, Sin - przypadkiem albo celowo - szedł między nią a Lionelem. Gdy zostali sami, zapytał:

- O czym rozmawiałaś z Parrishem?

- O tym, co wydarzyło się wczoraj między tobą

i Marleyem - odparła, zerkając na Milo, który jeszcze kręcił się po holu.

Sinclair wskazał na swój gabinet.

- Co ci powiedział?

- Żebym spytała ciebie. Przypuszczam, że wymienialiście opinie na temat moich zalet albo raczej ich braku. Patrząc na twoje zachowanie, nie jestem pewna, jak tym razem wypadłam.

- Czy cokolwiek umyka twojej uwagi?

- A twojej? Więc co się wydarzyło?

- Nic, czym musiałybyś się martwić.

- Świetnie. - Skrzyżowała ramiona na piersiach. -

Jak wyścigi?

- Dwie łodzie poszły na dno, ale nikt nie utonął.

Vix...

- Nic nie mów. Dowiem się od Marleya.

Jego twarz przybrała twardy wyraz.

- Ani się waż. Jasne?

Wytrzymała jego wzrok.

- O ile pamiętam, wykluczyłeś mnie ze swojej wesołej gromadki szpiegów. Nie możesz mi zabronić widywać się z przyjaciółmi.

Podszedł bliżej.

- Jestem twoim mężem.

- Więc mam cię słuchać? Ha!

Okręciła się na pięcie i ruszyła do drzwi.

- Co wiesz o lordzie Marleyu?

- Więcej niż o tobie. - Zatrzymała się w progu. -

Do opery idziemy pewnie po to, żebyś mógł trochę poszpiegować?

Milczał przez chwilę.

-Tak.

Widać niewiele dla niego znaczyła, skoro bardziej interesowały go własne sprawy niż jej uczucia. Ciekawe, dlaczego liczyła na coś więcej?

- W takim razie zobaczymy się wieczorem - powiedziała spokojnym tonem i wyszła z pokoju.

Sinclair przez dobre pięć minut spacerował po gabinecie i kłął pod nosem, zanim na tyle pozbierał myśli, żeby zaplanować następny krok. Victoria nie rozumiała, że ludzie, których nazywała przyjaciółmi i zapraszała do swojego domu, wcale nie są tacy, jak jej się wydawało. Co najmniej jeden z nich był zabójcą, a połowa z nich - jak odkrył w Europie - to kłamcy, cudzołożnicy, oszuści, zdrajcy i spekulanci.

Nie chciał, żeby utrzymywała z nimi jakiegokolwiek kontakty. Wolał obejść się bez jej pomocy.

W końcu usiadł za biurkiem i wziął się do pisania listów. W pierwszym lady Stanton donosiła swojemu siostrzeńcowi Wally'emu Jerrisonowi, obecnie mieszkającemu z paroma kolegami w domu przy Wigh House Street, że lord Marley nie zgadzał się z poglądami Thomasa Graftona w kwestii handlu z Francuzami i Bonapartem.

Ułożenie drugiego, równie lakonicznego, zabrało mu pięć razy więcej czasu. Wreszcie zdecydował się na: „Babciu, jeśli masz wolne miejsca w łoży, Victoria i ja bardzo chętnie skorzystamy z nich dzisiaj wieczorem. Sinclair”.

Bał się wprowadzić, że narazi babcię na niebezpieczeństwo, ale z drugiej strony bliscy znajomi Thomasa wiedzieli, że wszyscy trzej wnukowie uwielbiają lady Drewsbury. Unikanie jej mogło wydać

się podejrzane. W dodatku po wspólnej kolacji uświadomił sobie, jak bardzo tęsknił za nią i za Christopherem.

Istniał jeszcze jeden powód, dla którego napisał ten liścik. Znowu okłamał Victorię. Szli do opery nie po to, żeby mógł szpiegować, ale dlatego, że ona miała na to wielką ochotę. Po prostu chciał mile spędzić z nią czas, chociaż raz nie kłócić się ani jej nie oszukiwać.

Odpowiedź przyszła niecałe dwadzieścia minut później i brzmiała: „Christopher i ja będziemy zachwyceni, jeśli do nas dołączycie. Augusta”. Niemal słyszał zaskoczenie w tych słowach. Podejrzewał, że Kit jest mniej entuzjastycznie nastawiony do wieczoru w operze, ale doszedł do wniosku, że przyjaciółki Victorii, które w jakiś tajemniczy sposób otaczały ją zawsze, gdy tylko pojawiała się publicznie, na pewno złagodzą jego cierpienia.

Kazał Milo przekazać markizie dobrą wiadomość i udał się do biblioteki, gdzie Victoria zostawiła pudło z pracami Thomasa. Już kilka razy zbierał się do tego, by je przejrzeć, ale potem wynajdował pilniejsze rzeczy do zrobienia.

Usiadł przy stole zajmującym środek dużego pokoju, rozwiązał skórzane paski i otworzył drewniane pudło. Pierwszy rysunek przedstawiał Christophera w wieku szesnastu albo siedemnastu lat, ze zmierzwionymi włosami i szerokim uśmiechem na twarzy. Na kilku następnych widniało Althorpe: drzewa nad brzegiem jeziora, stajnie i sam pałac. Jego żona miała rację. Wszystkie rysunki były doskonałe i choć nie pomogły mu odkryć zabójcy, wiele

mówiły o spokojnym i refleksyjnym Thomasie.

Na ostatnich rozpoznał kilku przedstawicieli wyższych sfer. Chyba tylko Victoria wiedziała o pasji nieżyjącego markiza, więc pewnie nie korzystał z modeli, tylko rysował z pamięci. Najbliższego przyjaciela, Astina Hovartha, earla Kingsfeld, pokazał w klubie White'a, na koniu, w stroju myśliwskim. Uwiecznił również lady Grayson, babcię Augustę, lorda Hodgissa i pannę Pickering.

Ostrożnie wyjąwszy z pudła kolejny rysunek, Sinclair osłupiał. Pod ścianą sali balowej siedziała lady Victoria Fontaine, otoczona postaciami bez twarzy, zapewne wielbicielami. Obraz miał taką siłę, że mocniej zabiło mu serce.

Na czoło opadał jej niesforny lok kręconych ciemnych włosów. Wyraz gładkiej, owalnej twarzy świadczył o poczuciu humoru i inteligencji, a błysk w oczach zdradzał, że doskonale wiedziała, czego pragną adorujący ją mężczyźni. Sinclair musnął palcem czoło żony, ale kosmyk pozostał na miejscu.

Thomas zrobił portret Victorii. Czyżby był jedynym z jej wielbicieli? Raczej nie, bo nie zwróciłyby uwagi na wyraz jej oczu. Nie łączyła ich bliska zażyłość, ale Victoria budziła w ludziach zaufanie, więc przyznał się jej, że rysuje. Czy powiedział coś jeszcze, czego wagi mogła sobie nie uświadamiać?

Obejrawszy rysunki, starannie włożył je z powrotem do pudła i zawiązał rzemyki. Postanowił, że także oprawić te najbardziej osobiste pamiątki po bracie i zawiesić je w galerii obrazów w Althorpe. Autor bez wątpienia byłby zakłopotany, gdyby zobaczył swoje prace wystawione na widok publiczny, ale

Sinclair chciał, żeby po Thomasie zostało coś więcej niż księgi rachunkowe i oficjalne dokumenty.

Przez chwilę zastanawiał się, czy złożyć popołudniową wizytę w klubach przy Pall Mail, czy zająć się przeglądaniem rzeczy zgromadzonych na strychu, którą to pracę rozpoczął wkrótce po powrocie, a przerwał, gdy do domu wprowadziła się Victoria. Teraz próby zachowania tajemnicy straciły sens, więc odsunął się od stołu i w tym momencie poczuł, że coś ociera mu się o kostki. Zaskoczony spojrzął w dół i zobaczył dużego, biało-szarego kota.

- Cześć, Lordzie Baggles. Widzę, że mi wybaczyłeś.

Kocur wskoczył mu na kolana i zwinął się w kłębek. Sinclair podrapał go za uszami, zadowolony, że ma okazję wkupić się w łaski jego pani. Raptem z ulicy dobiegły stłumione krzyki, a chwilę później drzwi biblioteki otworzyły się z hukiem.

- Kłopoty, Sin - rzucił Roman od progu i zniknął.

- Przykro mi, stary.

Sinclair przeniósł drzemiącego kota na sofę i ruszył za lokajem, który z dudnieniem zbiegał po schodach. W holu zobaczył gromadkę służących.

- Dzięki Bogu, milordzie - powiedział Milo na jego widok. - Lady Althorpe...

Odsunął kamerdynera z drogi i wypadł przed dom. Jego drobna żona stała na środku ulicy, tuż przed rozklekotanym wozem mleczarza, zaprzężonym w najbardziej na świecie zabiedzonego kuczka. Właściciel o równie opłakanym wyglądzie siedział na koźle i groźnie na nią łypał.

- Zejdź mi z drogi, panienko! - ryknął. - Muszę dostarczyć towar.

- Nic mnie to nie obchodzi. Nie masz prawa bić tego biedaka.

- Niech pani sama spróbuje zmusić go do pracy. Też by go pani zachęcała w ten sposób.

- Ja nie biję zwierząt!

Sin dostrzegł gniewny błysk w oczach mężczyzny i dłoń zaciskającą się na bacie. Zbiegł po schodach i nim woźnica zorientował się w sytuacji, wskoczył na koło i wyrwał mu z ręki bicz.

- Pani nie lubi, jak zwierzęta cierpią, a ja nie zniósłbym, gdyby jej stała się krzywda - rzucił przez zaciśnięte zęby.

Mleczarz przełknął ślinę.

- Ja nie... Ja tylko zarabiam na życie, milordzie, a pani nie chciała zejść mi z drogi.

Sinclair zeskoczył na ziemię.

- Lady Althorpe sprzeciwiła się twojej metodzie obchodzenia się ze zwierzęciem, a nie sposobowi zarabiania na życie, człowieku.

- Ale...

- Ile?

- Co ile?

- Za konia, wóz i mleko.

- Lord z wózkiem mleczarza?

- Właśnie szukałem sobie jakiegoś hobby. Ile?

- Nie mógłbym się rozstać ze starym Joe za mniej niż dziesięć funtów - oznajmił woźnica, krzyżując ramiona na piersi.

Cena była wygórowana, ale Sin nie miał ochoty na targi. Poza tym nie chciał znowu rozczarować żony.

- Dam ci dwadzieścia, żebyś mógł kupić silnego kucyka, którego nie będziesz musiał bić. Zgoda?

- Tak, milordzie.

- W takim razie zsiadaj. Romanie, zapłać temu człowiekowi. Grimsby, nakarm zwierzę. Orser, załaduj mleko do któregoś z moich pojazdów i zawieź je do najbliższego sierocińca z pozdrowieniami od lady Althorpe.

Wydawszy polecenia, odwrócił się do Victorii. Na jej twarzy malowało się zaskoczenie i jednocześnie niepewność. Najwyraźniej spodziewała się bury. Widać nie pierwszej w życiu.

- Stary Joe nie będzie mieszkał w domu razem z resztą twojej menażerii - uprzedził.

Przez chwilę patrzyła na niego bez słowa. Potem jej fiołkowe oczy się zaiskrzyły.

- Dobrze. Wracamy?

- Tak. A przy okazji, Lord Baggles chrapie w bibliotece.

- Zaraz go stamtąd wezmę.

- Po co?

Przystanęła na najniższym stopniu i spojrzała na niego z góry.

- Robisz to wszystko, żebym się na ciebie nie gniewała?

- Oczywiście, że tak. Skutecznie?

Uśmiechnęła się szeroko.

- Dam ci znać.

Korzystając z chwili, pokonał kilka dzielących ich cali i dotknął wargami jej ust. Victoria znieruchomiała, po czym zarzuciła mu ręce na szyję i odwzajemniła pocałunek. Sina ogarnęła radość i podniecenie. Nie czekając, aż żona się opamięta, porwał ją na ręce i wszedł do domu.

- Co robisz? - wyszeptała z tłumionym śmiechem.
- Niosę cię na górę.
- Ale służba patrzy.
- Wstydzisz się, moja droga?

Potrząsnęła głową i zaczęła rozpinać mu koszulę. Sinclair stwierdził, że najbliżej jest do pokoju dziennego, gdy nagle zmroził go głośny męski śmiech.

Odwrócił się, nadal trzymając Victorię na rękach. We frontowych drzwiach stał wysoki, muskularny mężczyzna.

- Kingsfeld.
- Sin Grafton. Zdaje się, że ostatnim razem widziałem cię w podobnej sytuacji.

Victoria spojrzała na niego badawczo.

- Naprawdę?

Choć lubił Astina, w tym momencie nie uroniłby łyzy, gdyby ten spadł ze schodów i skręcił sobie kark.

- Nie pamiętam - odparł swobodnym tonem. - Byłem wtedy młody i głupi.

- Ale gust ci się nie zmienił, chłopcze. Przedstaw mnie swojej bogini.

- Moja żona Victoria, lady Althorpe. Skręciła sobie kostkę. Victorio, to Astin Hovarth, hrabia Kingsfeld, przyjaciel mojego brata.

- Jestem pewna, że już się kiedyś widzieliśmy, lordzie Kingsfeld - powiedziała Vixen z czarującym uśmiechem. - Cieszę się, że w końcu zostaliśmy sobie przedstawieni.

Gość ukłonił się nisko.

- Cała przyjemność po mojej stronie, milady.

Istotnie, pomyślała rozczarowana i westchnęła

w duchu. Sin na pewno będzie chciał porozmawiać z przyjacielem Thomasa.

- Będę kurować kostkę w bawialni - oznajmiła.

- Oczywiście - skwapliwie zgodził się mąż.

Kingsfeld oddał kapelusz i rękawiczki kamerdynerowi, a tymczasem Sinclair zaniósł ją do pokoju i delikatnie położył na sofie. Victoria przyciągnęła go do siebie i pocałowała namiętnie.

- Dostałem twój list, Sin - rozległ się głos od drzwi. - O czym chciałeś ze mną pomówić?

Gospodarz wyprostował się z ociąganiem.

- Wygodnie ci? - zapytał troskliwie żony.

- Nie.

- Przyniosę ci szal. Za chwilę się tobą zajmę, Kingsfeld.

Minąwszy gościa, ruszył szybkim krokiem ku schodom.

- Nie ma pośpiechu. Zawrę znajomość z lady Althorpe.

Próbując zapomnieć o pocałunkach męża, Victoria przyjrzała się Astinowi Hovarthowi, który właśnie nalewał sobie porto z karafki stojącej na kredensie. Był wzrostu Sina, ale dużo szerszy od niego w ramionach i klatce piersiowej. Można go było porównać raczej do konia pociągowego niż rasowego wierzchowca. Jasnyniebieskimi oczami powiódł po pokoju, a następnie spojrzał na Victorię. Minęło pewnie ze dwa lata, odkąd ostatni raz był w Grafton House.

- Dużo się tu zmieniło? - spytała, gdy usiadł w fotelu.

- U Thomasa na sofie nie było tak ślicznej damy jak pani. Na pewno bym ją zauważył.

Uśmiechnęła się.

- Lord Althorpe chyba nie żył w celibacie.

- Hm, nie. Ale miał o wiele mniej wyrafinowany gust niż jego młodszy brat. - Uniósł kieliszek w toaście. - Vixen Fontaine, prawda?

- Do niedawna - odparła z lekkim żalem.

- Rajski ptak zawsze pozostaje rajskim ptakiem - stwierdził filozoficznie. - Sin zawsze umiał wypatrzyć piękną kobietę.

- A teraz? Wydaje się nieprawdopodobne, żeby...

- Zdziwiłem się, kiedy wrócił do Londynu. Sądziłem, że urządził się w Paryżu z jakąś Francuzeczką. - Zaśmiał się cicho. - Thomas zawsze mówił, że nigdy nie wie, kiedy Sinclair się pojawi.

Zastanowiło ją ostatnie stwierdzenie. Markiz Althorpe powinien znać miejsce pobytu brata lepiej niż ktokolwiek, nie licząc współpracowników Sina. Najwyraźniej nie dzielił się informacjami z lordem Kingsfeldem.

- Lubię niespodzianki...

- Na pewno myślał, że poślubiając Vixen Fontaine, nie będzie musiał całkiem się ustatkować.

Hrabia mówił dalej, nie zwracając na nią uwagi, a Victoria starała się panować nad wyrazem twarzy. Nie lubiła, gdy jej przerywano, ale jeszcze bardziej, kiedy ją ignorowano. Poza tym rozprawianie w obecności żony o dawnych grzeszkach męża było wielkim nietaktem. W końcu gość chyba spostrzegł, że się zagalopował, bo przerwał wywód o paryskich hotelach i gospodach.

- Przynieść pani miękką poduszkę pod kostkę? Jest pani bardzo dzielna, moja droga.

- Dziękuję...

- Z mojego doświadczenia wynika, że kobiety zwykle płaczą w takich sytuacjach, i to z błahszych powodów. - Pociągnął łyk porto. - Coś pani mówiła?

W tym momencie do pokoju wszedł Sinclair z zielonym koronkowym szalem w ręce.

- Nic ważnego - powiedziała Victoria lekkim tonem i wstała z sofy.

- Co nie jest ważne? - zdziwił się mąż.

- Wszystko, co mówię. Zostawiam panów samych.

- A twoja kostka?

- Już dużo lepiej.

Opuściła bawialnię i ruszyła na poszukiwania Lorda Bagglesa, który przynajmniej zauważał jej obecność.

Gość został na kolacji, a Victoria zeszła do jadalni najpóźniej jak to możliwe, z mocnym postanowieniem, że nie odezwie się przy hrabim ani słowem.

- Twoja żona to ładna ptaszyna - stwierdził Astin Hovarth i uśmiechnął się do niej, podczas gdy Milo ponownie napełniał winem jego kieliszek. - Nawet głos ma śpiewny.

Victoria wbiła wzrok w talerz, żeby ukryć rosnącą irytację. Najwyraźniej Kingsfeld uważał ją za idiotkę. Jak wielu mężczyzn dostrzegał tylko jej twarz i figurę, i nic ponadto. Gdyby była pewna, że Sin wydobyci z niego wszelkie informacje, na których mu zależało, z przyjemnością uświadomiłaby bufonowi, jak bardzo się myli.

- Otworzyłeś Hovarth House? - zapytał gospodarz.

- Tak, dzisiaj rano. W tym sezonie nie zamierza-

łem spędzić dużo czasu z Londynie, ale nie mogłem odmówić twojej prośbie.

- Cieszę się, że przyjechałeś. Już bardzo mi pomogłeś.

- W takim razie ja też jestem zadowolony. I mam ci czego gratulować. W dzisiejszych czasach trudno znaleźć odpowiednią żonę, w dodatku ładną.

Sinclair nawet nie mrugnął okiem, natomiast Victoria z trudem pohamowała gniew. Odłożyła serwetkę na stół i wstała.

- Wybaczcie, panowie, ale muszę ułożyć włosy przed wyjściem.

- Wyjściem?

- Do opery - wyjaśnił Sinclair. - Vixen bardzo lubi operę.

Przez chwilę myślała, że mąż zaproponuje gościowi, by poszedł z nimi, ale na szczęście nie wpadł na ten pomysł.

- Owszem - powiedziała. - Miłego wieczoru, lordzie Kingsfeld.

Hrabia wstał i złożył jej ukłon.

- Lady Althorpe. Mam nadzieję, że będziemy częściej się widywać.

Uśmiechnęła się z przymusem.

- Z pewnością.

Najlepiej z daleka.

10

- O co chodzi, do licha?

Sinclair siedział w karocy naprzeciwko żony i usiłował zapanować nad zniecierpliwieniem.

- O nic. Dowiedziałeś się czegoś ciekawego od lorda Kingsfelda?

- Tak. Mam nadzieję. A teraz mi powiedz, co cię tak zdenerwowało.

Victoria roześmiała się, ale nie zdołała ukryć irytacji.

- Twój przyjaciel zjawił się w nieodpowiednim momencie.

- Nie martw się, wynagrodzę ci to. - Nachylił się, wziął ją za rękę i pociągnął na swoją stronę powozu. - Wiele razy, jeśli mi pozwolisz.

Zabrała dłoń, ale nie kwapiła się do ucieczki.

- Chcę cię o coś zapytać.

- Słucham.

- Dziś po południu dostałeś list.

Sin zmarszczył czoło.

- Tak. I co z tego?

- Kim jest lady Stanton?

Dobry Boże. Nie przypuszczał, że może być o niego zazdrosna. Tylko raz wspomniała o jego doświadczeniu i dawnych podbojach.

- Nikt, kim musiałybyś się przejmować - odparł wymijająco.

- Rozumiem, ale w takim razie nie oczekuj, że ja będę ci o wszystkim mówić.

Zrobiła ruch, jakby chciała wrócić na swoje miejsce, ale ją zatrzymał. Nie chciał samotnie spędzić kolejnej nocy.

- Do licha, Vix, o niektórych rzeczach po prostu nie mogę ci powiedzieć. To nie są moje sekrety.

Nieco się rozchmurzyła.

- Pragnę jedynie, żebyś był ze mną szczery.

- Postaram się, ale od ciebie wymagam tego samego. Co się dzisiaj stało?

Wziął jej rękę i podniósł do ust.

- Uważaj, bo znowu mnie rozpalisz i nie wytrzymam całego wieczoru w teatrze.

- Naprawdę? - spytał z wyraźnym zadowoleniem. Powoli zaczął kreślić kółka we wnętrzu jej dłoni.

- Wiesz, że tak. Przestań.

- Dobrze, ale pod warunkiem, że odpowiesz na moje pytanie. - Kusił go głęboki dekolt jej fiołkoworóżowej jedwabnej sukni. Musnął opuszkami delikatną skórę. - W przeciwnym razie niczego nie mogę ci obiecać.

- Och, nie rób tego.

- Więc mów - mruknął, wsuwając dłoń pod koronkowy stanik.

Zerknąwszy na twarz żony, zobaczył, że oczy ma zamknięte, a usta rozchylone. Świadomość, że tak silnie na nią działa, przyprawiła go o zawrót głowy. Jednocześnie poczuł niepokój, gdy sobie uzmysłowił, że on też jest całkowicie pod jej urokiem.

- Dobrze. Lord Kingsfeld powiedział coś, co mi się nie spodobało.

- Co?
- Nic nie zauważyłeś?
- Nie.
- Nazwał mnie ładną ptaszyną.
- I to ci się nie spodobało, ponieważ...
- Ty też uważasz, że jestem ładną ptaszyną?
- Nie zamierzam odpowiedzieć na to pytanie.
Jeszcze nie straciłem rozumu.

- Jestem?
- Vixen...
- Niemal wszystko, co mówił twój przyjaciel, było dla mnie obraźliwe. Nie zauważyłeś czy nic cię to nie obeszło?

- Inne rzeczy zaprzętały mi głowę.
Odsunęła się od niego.
- Wiem, tylko nie rozumiem, jak ty i twój brat mogliście przyjaźnić się z tak ograniczonym człowiekiem.

Sin nie zamierzał stanąć w obronie Astina. Victoria miała rację. Rzeczywiście nie zwrócił uwagi na to, jak potraktował ją gość. Interesowała go wyłącznie jego znajomość z Thomasem. Znowu rozczarował żonę i odnosił wrażenie, że jego brak spostrzegawczości uraził ją bardziej niż protekcyjność Kingsfelda.

- Sinclairze?
- Hm? Przepraszam, ja...
- Próbujesz dociec, dlaczego jestem zła. - Na szczęście nie wyglądała na rozgniewaną. - Sama nie wiem. Po prostu nie spodziewałam się takiego lekceważenia, choć zdarzało się, że mężczyźni brali mnie za głupią osobkę. - Westchnęła. - Mam swoją reputację.

Sinowi ścisnęło się serce. Uczucie było mu obce i jednocześnie znajome. Wstrzymał oddech, starając się je zapamiętać, nim zniknie.

- Ja również - powiedział cicho. - I doskonale cię rozumiem.

Victoria milczała przez dłuższą chwilę.

- Wiesz, jak na osławionego łajdaka potrafisz być czasami bardzo miły - stwierdziła w końcu.

- Dziękuję. Na pewno nie chcesz wrócić do Grafton House?

Zaśmiała się wesoło.

- Nie po tym, jak obiecałeś babci, że przyjdziemy. Poza tym nie chcę przeszkodzić ci w szpiegowaniu.

Jego niezależna żona stała się raptem dziwnie potulna, ale nie zamierzał drażnić jej wyrażaniem wątpliwości i uszczypliwymi uwagami. Całe szczęście, że powóz zatrzymał się, nim Sin zaczął recytować poezje, zwłaszcza że pamiętał głównie bardzo wulgarne francuskie wierszyki.

Hol teatru był bardzo zatłoczony, ale natychmiast otoczyli ich znajomi oraz przyjaciele i adoratorzy Victorii.

- Lionel mówił, że będą tłumy - przypomniała Lucy Havers. - Sophie L'Anjou ma dzisiaj swój londyński debiut. Podobno jest wspaniała.

Sinclair jęknął w duchu; że też musiał znaleźć się w tym samym miejscu co Sophie, choć wieczór z żoną mógł spędzić wszędzie.

- Widziałeś mademoiselle L'Anjou w Paryżu? - zapytała Victoria ze zwykłą przenikliwością. - Słyszałam, że jest tam bardzo popularna.

- Tak - odparł niedbałym tonem. - Kilka razy. Rzeczywiście ma piękny głos.

I nie tylko głos.

- Althorpe!

Jak zwykle odwrócił się dopiero po krótkiej chwili wahania. W jego stronę zmierzał lord Kingsfeld w towarzystwie Kita, roześmianego od ucha do ucha, i lady Drewsbury.

- Spójrzcie, kogo znalazłem.

W pierwszym odruchu miał ochotę zdzielić pięścią rzekomego przyjaciela za to, jak zachował się wobec jego żony. Lecz w tym momencie Vixen wzięła go za rękę, więc rozluźnił napięte mięśnie pleców i postanowił, że zaczeka na lepszą okazję.

- Dziękuję, że użyczyłaś nam swojej łoży - powiedziała Victoria i cmoknęła Augustę w policzek.

- To dla mnie przyjemność, wierz mi - odparła baronowa.

Posłała wnukowi znaczące spojrzenie, ale udał, że go nie rozumie. Na razie nie zasłużył na jej wybaczenie. Nie wytłumaczył się z niechlubnej przeszłości i nie znalazł zabójcy Thomasa. Niemal wołał, kiedy się na niego gniewała.

Tymczasem Victoria przywitała Kingsfelda, nie okazując mu przy tym niechęci. Sinclair wiedział, że żona hamuje się ze względu na niego, i chętnie by ją za to uściskał. Sam był w dużo mniej łaskawym nastroju.

- Gdzie siedzisz? - zapytał Astina.

- Nigdzie. Właściwie przyszedłem zamienić z tobą słowo, jeśli się zgodzisz.

- Wybaczycie mi na chwilę, drogie panie?

Victoria się uśmiechnęła.

- Oczywiście, ale zaraz wracaj.

Nie dodała, żeby był grzeczny, ale zrozumiał ją właściwie. Ruszył z Kingsfeldem w stronę spokojniejszego zakątka foyer.

- Jaką masz do mnie sprawę?

- Po naszej pogawędce przejrzałem dokumenty i znalazłem to.

Wyjął z kieszeni kartkę papieru, rozwinął ją i wręczył Sinclairowi. Była tak poplamiona, że nie dało się nic odczytać.

- Co to jest?

- Fragment wystąpienia w Izbie, nad którym pracowaliśmy z twoim bratem. Siedzieliśmy wtedy u White'a i do naszego stolika podszedł Marley. Nie zgadzał się ze stanowiskiem Thomasa w pewnych kwestiach i stąd te plamy. Pamiętam, że był bardzo zły.

- Jakich kwestiach?

- Tych, które dwa lata temu wszystkich interesowały: Bonapartego i Francji.

Znowu Marley i znowu Francja. A Thomas stał się bardziej wojowniczy, odkąd jego młodszy brat podjął pracę w ministerstwie wojny.

- Dzięki, Astin. I proszę, niech ta rozmowa zostanie między nami.

- Oczywiście.

Kingsfeld skinął głową, ale nie ruszył się z miejsca. Udzielił jednak cennej wskazówki, więc Sinclair powściągnął zniecierpliwienie.

- Zdaje się, że jestem ci winien przeprosiny, Sin - powiedział w końcu Hovarth.

- Za co?

- Dziś po południu chyba zbyt... entuzjastycznie komplementowałem urodę twojej żony.

- Doprawdy?

- Bardzo mi przykro, jeśli cię zirytowałem, i mam nadzieję, że nasza przyjaźń na tym nie ucierpi. Twój brat był mi bardzo bliski.

- Nie mnie powinieneś przeproszać, Astin.

Hrabia zmarszczył brwi.

- A kogo?

- Victoria jest kimś więcej niż ładną ptaszyną. Przekonasz się sam, kiedy ją lepiej poznasz.

Na twarzy Hovartha odmalowała się jednocześnie ulga i zdziwienie.

- Będę miał na uwadze twoje słowa.

- To dobrze. Porozmawiamy później.

- Oczywiście. Miłego wieczoru.

Kiedy Sin wrócił do swojego towarzystwa, które już zmierzało ku schodom, rzucił mu się w oczy brak jednej osoby.

- Gdzie Victoria? - spytał, wypatrując w tłumie drobnej postaci w fiołkoworóżowej sukni.

- Oddaliła się z jakimś wysokim mężczyzną - poinformował go Kit. - Powiedziała, że zaraz wraca.

Rzeczywiście zjawiała się chwilę później.

- Czego chciał Kilcairn? - zapytał Sinclair, siłąc się na spokój.

- To ja chciałam się dowiedzieć, czy Alexandra przyjdzie jutro na recital Susan Maugrie. A o co chodziło Kingsfeldowi?

- O nic ważnego - odparł z przyzwyczajenia, ale dostrzegłszy minę żony, szybko się zreflektował. - Przeproszał za swoje zachowanie.

Victoria zmierzyła go wyrażającym powątpiewanie spojrzeniem.

- Naprawdę?

Wziął ją pod ramię i przysunął się bliżej.

- Doszedł do wniosku, że obdarzył cię zbyt wieloma komplementami, jakby to w ogóle było możliwe, i uznał, że mogłem poczuć się obrażony.

- Twój przyjaciel jest osłem - stwierdziła, wcale nie udobruchana.

- Wiem. Ale nigdy przedtem taki nie był, więc jestem skłonny dać mu szansę.

- Powiedział ci coś o Thomasie, prawda?

- A co to ma do rzeczy?

- **Dużo.**

Istotnie mógł oznajmić Kingsfeldowi, że lady Althorpe nie spodobały się jego głupie, protekcjonalne i wyświechtane komplementy, ale tego nie zrobił.

Z drugiej strony nie zapomniał, że rozmawiała z Kilcairem, choć sprytnie próbowała odwrócić jego uwagę od tego faktu.

- Kto daje ten jutrzejszy recital?

Victoria milczała przez chwilę.

- Susan Maugrie.

- I Alexandra Balfour przyjdzie?

- **Tak.**

- Może powinienem wam towarzyszyć?

- Albo choć trochę mi zaufać. Nie każdym człowiekiem kierują ukryte motywy.

Sinclair westchnął.

- Chciałbym w to wierzyć.

- Mam nadzieję, że pewnego dnia uwierzysz. Ze

wszystkich ludzi mieszkających w Londynie tylko jeden zastrzelił twojego brata.

- To znaczy, że reszta nie jest winna akurat tej zbrodni.

- O czym rozmawiacie? - zainteresował się Kit. - Wyglądacie oboje jak grzesznicy w niedzielę.

- Drobną różnicą zdań - odparł Sin, manewrując tak, żeby zająć miejsce w głębi łoża, w cieniu.

Niestety babcia stanęła akurat za tym krzesłem, które sobie upatrzył.

- Usiądź obok żony, Sinclairze.

- Ty i Victoria bardziej lubicie operę niż Kit i ja. Jeśli usiądę z przodu, nie będę mógł zasnąć.

- W takim razie ja też zostanę z tyłu - oznajmiła Victoria. - Inaczej wszyscy będą się na mnie gapić, *co* bardzo mi przeszkadza.

- Nie możemy całą rodziną schować się w cieniu - stwierdził Kit. - Jak zbiegowie.

- Słusznie - przyznała lady Drewsbury. - Christopherze, siądź przy mnie.

Sin stłumił przekleństwo. Ale Victoria już zaczynała patrzeć na niego podejrzliwie, więc odsunął jej krzesło z przodu łoża i sam zajął miejsce obok niej, modląc się w duchu, żeby Sophie L'Anjou nie rzuciła spojrzenia w ich kierunku.

Kiedy lokaj przyniósł porto, Sinclair z trudem oparł się pokusie, żeby wychylić swój kieliszek do dna. Upadek na parter nie byłby najlepszym sposobem na ukrycie się przed Sophie.

Gdy kurtyna poszła w górę, osunął się niżej na krzesło. Teatr był wypełniony po brzegi. W królewskiej łoży po drugiej stronie sali siedział ze świtą

sam książkę Jerzy i żywo interesował się publicznością. Zwłaszcza kobietom poświęcał dużo uwagi, obserwując je przez lornetkę wysadzaną drogimi kamieniami.

Kiedy na scenie pojawiła się Sophie L'Anjou i ukłoniła głęboko, prezentując piękny dekolt, widzowie zaczęli bić brawo, natomiast Sinclair skulił się jeszcze bardziej. Zerknąwszy na księcia, spostrzegł, że lornetka jest wycelowana w biust artystki. Powściągnął uśmiech. Istniała nadzieja, że mając wśród widowni członków rodziny królewskiej, Sophie nie będzie się rozglądać po sali.

Przeniósłszy wzrok niżej, zauważył, że grupka młodych mężczyzn zajmujących miejsca pod królewską łóżką, na poziomie orkiestry, patrzy w zupełnie innym kierunku niż regent. Szybko się zorientował, że obiekt ich zainteresowania siedzi obok niego.

Victoria nie odrywała wzroku od sceny, lekko pochylona do przodu, zasłuchana. Sinclaira ogarnęła wielka ochota, żeby wyciągnąć szpilki z jej czarnych włosów i przesiać przez palce jedwabiste sploty. Kusiły go też jej usta.

Żona chyba wyczuła żar jego spojrzenia, bo odwróciła głowę.

- Co? - zapytała bezgłośnie.

Uśmiechnął się.

-Ty.

Oblała się rumieńcem.

- Cii. Przegapisz najważniejszą arię.

- Niczego nie przegapię - wyszeptał.

- Vixen - rozbrzmiał za nimi cichy głos Christo-

phera, który nachylił się i chwycił za tył krzesła brata. - Czy Lucy jest zajęta?

- Obawiam się, że tak.

- Do diaska. A ta druga? Marguerite? Chyba do mnie mrugała.

- To dlatego, że ma słaby wzrok - powiedział Sin z uśmiechem.

- Nieprawda - zaprotestowała Victoria. - Po prostu jest nieśmiała.

- Więc mrugała czy nie? - W tym momencie lady Drewsbury zdzieliła go w tył głowy. - Do licha, babciu! Ułożenie włosów zabrało mi całą godzinę. To najnowsza fryzura.

- Gdybyś wstał prosto z łóżka, efekt byłby taki sam - odparła baronowa. - A teraz cisza.

Victoria czym prędzej zasłoniła twarz wachlarzem, ale zdradziły ją ramiona trzęsące się od tłumionego śmiechu. Oczy jej błyszczały, gdy zerknęła na szwagra.

- Możliwe, że mrugała. Później spróbuję się dowiedzieć.

- Świetnie. - Tym razem Kit zdążył się uchylić. - Dobrze, już dobrze. Będę cicho. Nie masz w sobie za grosz romantyzmu, babciu.

- A ty za grosz wychowania, Christopherze Jamesie Graftonie. Cicho!

Reszta przedstawienia upłynęła w spokoju. Książę zniknął, gdy tylko opadła kurtyna. Zapewne poszedł się przedstawić mademoiselle L'Anjou.

- Podobało ci się? - zapytał Sinclair, biorąc Victorię pod ramię.

- Bardzo - odparła z uśmiechem. - Rodzice rzad-

ko pozwalali mi chodzić do opery. Uważali, że to zbyt frywolna rozrywka.

- W takim razie nie wiem, co ich skłoniło do wydania cię za mnie.

- Według nich ja też byłam zbyt frywolna.

Nakrył ręką jej dłoń spoczywającą na jego przedramieniu.

- Ich błąd i strata, a mój zysk.

- I mój - dodała, patrząc na niego roziskrzonym wzrokiem.

W tym momencie postanowił, że jeśli żona nie zgodzi się spędzić z nim nocy, wyłamie drzwi jej sypialni.

U stóp szerokich schodów czekała na nich Augusta.

- Przyjdziecie do mnie jutro na kolację? - Chyba dostrzegła wahanie w oczach wnuka, bo nie czekając na jego odpowiedź, zwróciła się do Victorii. - Słyszałam, że masz talent do rozmieszczania gości, moja droga.

- Kto ci to powiedział?

- Lady Chilton. Wspieram fundusz dla sierot.

Podczas gdy kobiety rozmawiały o działalności charytatywnej, a Kit z zapałem opowiadał o wyścigach koni, na które chciał się wybrać, Sin w myślach rozbierał żonę. Kiedy wreszcie udało mu się pożegnać z rodziną, pospieszył z Victorią do czekającej karocy.

- Jest straszny ścisk, milordzie - uprzedził stangret. - Zejdzie parę minut, zanim się stąd wydostanę.

- W porządku, Gibbs. Nigdzie się nam nie spieszy.

Wsiadając do powozu, dostrzegł spojrzenie, któ-

re wymienili lokaj i stangret, oraz ich domyślne uśmiechy, ale na wszelki wypadek zamknął drzwi na zasuwkę. Sięgnął po dłoń żony i rozpiął jej rękawiczkę.

- Co robisz?

Powoli ściągnął rękawiczkę.

- Tutaj? - zapytała cała w pąsach.

- Tak. Zdecydowanie tak.

Ujął jej drugą rękę.

- Nie zorientują się?

- Pewnie tak.

Zdjął jej płaszcz.

- Ale...

- Pocałuj mnie.

Nie musiał jej namawiać. Wręcz wpiła się w jego usta, równie wygłodniała jak on. Próbowała ściągnąć z niego frak, ale ją powstrzymał.

- Nie trzeba - szepnął.

Zsunął jej suknię z ramion, nachylił się do krągłej piersi, zaczął ją całować, drażnić językiem. Następnie posadził sobie Victorię na kolanach i podciągnął w górę jej ciężkie spódnice. Sama rozpięła mu spodnie, a on wszedł w nią z cichym jękiem.

- Tak? - spytała zdyszczanym głosem, unosząc się i opadając.

- Właśnie tak. Szybko się uczysz.

Spojrzała na niego spod półprzymkniętych powiek. Oczy jej błyszczały.

- Są jeszcze inne sposoby?

Dobry Boże, chyba znalazł się w niebie.

- Dziesiątki.

Pocałowała go namiętnie.

- Musisz pokazać mi wszystkie wyszeptać.
- Chętnie.

Victoria otworzyła oczy. Głowę opierała na nagiej piersi Sinclaira, poruszanej lekkim oddechem.

Przez szpary w ciężkich zielonych zasłonach sączyło się poranne słońce, malując na łóżku cienkie, złote prążki. Na podłodze leżały rozrzucone ubrania, Lord Baggles spał zwinięty w kłębek na fotelu przy kominku. Nie wiadomo kiedy wśliznął się do pokoju. Drzwi garderoby łączącej obie sypialnie były otwarte.

- Co to jest? - zapytał nagle Sinclair.

- Co?

Wskazał w górę.

- To.

Zbyt rozleniwiona, żeby się ruszyć, lekko uniosła głowę i zobaczyła siedzącą u wezgłowia małą szarą papugę.

- Mungo Park.

- Mungo Park? Jak ten odkrywca?

- Tak. Któregoś dnia wleciał do kuchni. Wyglądał na zagłodzonego. Kucharka chciała zrobić z niego pasztet, ale się nie zgodziłam.

- Od dawna nas obserwuje?

- „Och, Sinclairze, jak cudownie” - zaskrzeczał ptak.

- O, nie! - krzyknęła Victoria i ukryła twarz na szerokiej piersi męża.

Sinclair parsknął śmiechem.

- To nie jest zabawne - oświadczyła, naciągając kołdrę na głowę.

- Owszem, jest. - Objął ją i zaśmiał się jeszcze głośniej.

- „Och, Sinclairze, jak cudownie”.

- Jak długo żyją papugi? - zainteresował się Sin.

- Jeszcze pięć minut.

- Powtórzyłaś te słowa kilka razy, więc nie możesz winić Mungo Parka, że dobrze je zapamiętał.

- Mama była wstrząśnięta, kiedy nauczyłam go mówić: „Do diabła”. Teraz dostanie apopleksji.

- Twoi rodzice też to robili, co najmniej parę razy.

- Tak, ale wątpię, czy im się podobało.

- A tobie?

- „Och, pocałuj mnie, Sinclairze”.

Na myśl o papudze siedzącej im nad głowami Victoria pohamowała entuzjazm i szepnęła mężowi do ucha:

- Nie wyobrażałam sobie, że może być tak dobrze.

Sin delikatnie odgarnął kosmyk z twarzy żony i przez dłuższą chwilę patrzył jej w oczy.

- Dziękuję - powiedział cicho.

W tym momencie rozległo się pukanie, na które Henrietta i Grosvenor zareagowali donośnym ujadaniem.

Sinclair wstał z łóżka, owinał się kocem i podszedł do drzwi, omijając koty i psy.

Victoria podciągnęła kołdrę pod szyję i obserwowała męża rozmawiającego z Romanem. Zamierzała mu pomóc, czy tego chciał, czy nie. Wiedziała, że dopóki nie rozwiąże sprawy morderstwa, nikomu nie zaufa, nawet jej. Poza tym pragnęła mieć go tylko dla siebie, tak jak ostatniej nocy, kiedy na chwilę zapomniał o całym świecie.

11

- Lucienie, masz trochę czasu?

Lord Kilcainn podniósł wzrok znad stołu bilaradowego.

- Alexandra wyszła z kuzynką Rose na zakupy.

- Chciałam porozmawiać z tobą.

- Więc bierz kij.

Nie potrzebowała innego zaproszenia. Ruszyła do stojaka.

- Znasz różnych łajdaków, prawda?

Gospodarz chybił.

- Nie tylu, ilu kiedyś, ale paru nicponiów by się znalazło. Dlaczego pytasz?

Victoria pochyliła się nad stołem i przymierzyła do strzału. Kula wpadła do łuzy.

- Jestem niezła, co?

- Szczęście początkującego.

Wyprostowała się, gotowa do riposty, ale Lucien dał jej znak, żeby grała dalej.

- Mam kłopot - oznajmiła, celując starannie.

- Domyśliłem się. Co mogę dla ciebie zrobić?

Tym razem strzał był nieudany, więc ustąpiła miejsca przeciwnikowi.

- Co wiesz o Thomasie Graftonie?

- Markizie Althorpe? Niewiele. Nie spotykali-

śmy się na gruncie towarzyskim. A co cię interesuje? Kwestie osobiste czy zawodowe?

- Jedno i drugie. Pomagam Sinclairowi w pewnej sprawie.

- Dotyczącej zmarłych krewnych.

Zarumieniła się.

- Coś w tym rodzaju.

- Prawdę mówiąc, przed śmiercią Althorpe nie zyskał sobie przyjaciół w parlamencie.

- Dlaczego?

- Wielu parów ma posiadłości we Francji, lecz Grafton nie przyjmował do wiadomości różnicy między zachowaniem czterystuletniego kawałka ziemi a prowadzeniem handlu z lojalistami Bonapartego. Niektórym nie podobało się, że uchodzą za zdrajców tylko dlatego, że nie odcięli się od wszystkiego, co francuskie.

- Czy Thomas zastanawiał się nad konsekwencjami swojej nieprzejednanej postawy?

- Publicznie tak. Prywatnie, nie wiem. Możesz zapytać Kingsfelda albo lady Jane Netherby. Oboje się z nim przyjaźnili.

A więc jednak była jakaś kobieta.

- Dasz mi znać, jeśli coś ci się przypomni?

-Tak.

Gdy ruszyła do drzwi, Lucien odłożył kij.

- Vixen.

Zatrzymała się i obejrzała.

- Słucham.

- Pamiętaj, co się mówi o ciekawości.

- Dobrze.

Wiedziała, gdzie mieszka lady Jane Netherby,

ale cały dzień zajęło jej zorganizowanie przypadkowego spotkania u Newtona, przy francuskich artykułach. Poczekwała, aż Lucy i Marguerite zaczną oglądać wstążki do włosów, i sama nagle zainteresowała się perkalami, na które akurat patrzyła znajoma Thomasa.

- Niebieski wyjątkowo pasuje do pani oczu - powiedziała z uśmiechem.

Zbliżająca się do trzydziestki wysoka kobieta o klasycznych rysach przyłożyła do siebie kupon.

- Tak pani sądzi? Chyba nadaje się na wiosenną suknię spacerową.

- Świetny pomysł. A widziała pani szare i fioletowe odcienie? Welfield, wspomniałeś chyba, że masz szarości na zapleczu?

Sprzedawca pokiwał głową.

- Zaraz je przyniosę, milady.

- Dziękuję. Jestem Victoria, lady Althorpe.

Kobieta przyjęła podaną dłoń, ale wyraźnie spochmurniała.

- Lady Jane Netherby. Wyszła pani niedawno za brata Thomasa Graftona.

- Tak, za Sinclaira. Znała pani Thomasa?

Lady Jane uniosła do światła inny materiał.

- Tak. Byliśmy przyjaciółmi.

- Ja słabo go znałam, ale lubiłam. To smutne dowiedzieć się po czyjejs śmierci, że z tą osobą można by się zaprzyjaźnić.

Na twarz kobiety wrócił uśmiech.

- Istotnie. Ale gdy się zna kogoś za dobrze, ma to swoje minusy.

- Nie rozumiem.

Czy to ostrzeżenie? A może pod wpływem Sinclaira stawała się paranoiczką?

- Za życia człowiek zwykle ukrywa swoje wady, natomiast po śmierci już nie może się bronić przed tym, co mówią o nim ludzie.

- Czyli że jeśli ktoś doszukuje się zła, w końcu je znajdzie.

- Właśnie. - Lady Jane skinęła na sprzedawcę. - Wezmę dziesięć jardów tego niebieskiego perkalu. Proszę go wysłać do pracowni madame Treveau.

- Dobrze, milady.

Jane Netherby wyciągnęła rękę.

- Przepraszam, ale jestem umówiona. Bardzo mi było miło panią poznać.

- Mnie również.

Victoria odprowadziła ją wzrokiem, zastanawiając się, czy lady Jane ją ostrzegła, czy po prostu jest dziwna. Tak czy inaczej, ta kobieta coś wiedziała.

Mogłaby zapytać Sinclaira o opinię, ale wtedy by się zorientował, że ona prowadzi śledztwo na własną rękę. Nic mu nie obiecywała, ale na pewno uznał, że spełniła jego życzenie.

Wróciła do przyjaciółek.

- Ta jest ładna - powiedziała, wskazując na jedną z kilkunastu wstążek, które Marguerite przewiesiła sobie przez ramię.

- Też tak uważam. Będzie pasować do złotego jedwabiu.

- A gdzie się w nim wybierasz?

- Na twój bal oczywiście. Tylko że ostatnio byłam w tej sukni w operze, więc może powinnam raczej założyć zieloną albo w kolorze kości słoniowej.

- Żółta jest ładniejsza - stwierdziła Lucy.

- Tak, ale nie chcę, żeby zaczął nazywać mnie „żonkilem” czy jakoś podobnie.

Victoria zmarszczyła brwi.

- Kto?

- Pewnie Kit Grafton.

- Lucy!

- O nikim innym nie mówiłaś przez ostatni tydzień.

- Kit? Naprawdę? - Więc jednak wieczór w operze nie był dla Christophera stratą czasu. Marguerite rzeczywiście wtedy do niego mrugała. - Kiedyś wspomniał, że lubi żółty kolor. - Albo polubi po rozmowie z bratową.

- W takim razie kupuję żółtą wstążkę - oznajmiła Marguerite.

Lucy zachichotała.

- A ty w co się ubierzesz, Vixen?

- Jeszcze o tym nie myślałam.

- Przecież to już jutro! Zawsze wybierasz strój kilka tygodni przed balem.

- Tym razem wszystkie będziemy miały niespodziankę.

Odwiedzając kolejne sklepy przy Bond Street, Victoria zastanawiała się nad uwagą przyjaciółki. Od debiutu żyła w szalonym tempie, zapraszana na herbatki, obiady, bale, przyjęcia, recitale, wieczory taneczne. Była powszechnie lubiana i cieszyła się powodzeniem u mężczyzn. Lecz choć dni miała wypełnione od rana do nocy, w rzeczywistości nudziła się śmiertelnie.

Teraz nareszcie znalazła czas na ważniejsze sprawy: obiady charytatywne, rozdawanie biednym

ubrań i jedzenia, pomaganie Sinclairowi. Dzięki zamążpójściu zapomniała, co to nuda.

Kiedy wróciła do Grafton House, Milo poinformował ją, że lord Aithorpe jest w stajni. Po drodze uśmiechała się na myśl o tym, jak mu podziękuje... zależnie od liczby stajennych kręcących się w pobliżu.

Na szczęście, gdy pchnęła skrzypiące wrota i weszła w chłodny półmrok, był sam. Oparty o drzwi boksu karmił kucyka jabłkiem. Puls jej przyspieszył jak zawsze na jego widok.

- Dzień dobry - powiedziała.

- Jak zakupy? - spytał.

- Bardzo udane. Jak Stary Joe?

- Nabrał trochę ciała i ktoś mógłby go przez pomылkę wziąć za konia. - Objął Victorię ramieniem i przytulił. - Co zamierzasz z nim zrobić?

- Masz w Althorpe stadninę?

Uniósł brew.

- Tak, ale nie puszcę go między klacze, żeby napłodził małych Starych Joe'ów.

Victoria się roześmiała.

- Coś wymyślę.

Sinclair ruszył ku wrotom, a Victoria zatrzymała go i spojrzała na stryszek.

- O co chodzi?

Przesunęła dłońmi po jego piersi i płaskim brzuchu.

- Gdzie wszyscy twoi pracownicy?

- Powysyłałem ich w różnych sprawach. Pani Twaddle piecze ciastka z jabłkami. Proponuję, żebyśmy je wykradli, póki są gorące.

Zaczęła odpinać mu pasek.

- Do licha! Stworzyłem potwora.

- Pocałuj mnie - szepnęła, rozpalona i drżąca.

- W domu - powiedział zdecydowanie i obrócił ją ku wyjściu.

W tym momencie Victoria dostrzegła w mrocznym kącie jakiś ruch i zarys ciemnego płaszcza. Chyba trafiła na jedno z tajnych spotkań Sinclaira. Osiem ostatnich nocy spędził razem z nią, więc narady musiał odbywać w innym czasie.

Raptem ogarnęła ją złość. Nadal jej nie ufał. W dodatku całkiem ją omotał, skoro nie zauważyła, że wciąż jeszcze spotyka się z kolegami.

- Chodźmy - ponaglił.

Oparła się o niego plecami i poruszyła biodrami.

- A w stajni jest źle? - zapytała głośno.

- Brudno i niewygodnie. - W głosie Sina brzmiało zniecierpliwienie. - Na pewno znajdziemy lepsze miejsce. Opowiesz mi, jak minął dzień.

- Nie chcę rozmawiać. - Schyliła się nisko. - Och, kochanie, chyba mam kamyk w bucie.

- Ty mała... Do domu. Natychmiast.

- Obiecałeś mi kolejną lekcję.

- Sama uczysz się dostatecznie szybko. - Objął ją w talii i wyprostował. - W domu nie będziemy musieli się spieszyć.

Przyciągnął ją mocno do siebie. Victoria wyczuła jego napięte mięśnie, ale nie wiedziała, co robić dalej. Nie chciała, żeby ktoś na nich patrzył. Odwróciła się twarzą do męża.

- Powiedz swoim znajomym, że nie muszą się ukrywać za belami siana.

- O czym ty mówisz?

- Przestań udawać! Nie jestem idiotką. Widzia-

łam co najmniej jednego z twoich przyjaciół. Tam.

- Teraz?

- Tak, teraz.

Puścił ją i rzucił się w kąt stajni. W powietrze poleciała słoma i kurz. Rozległ się krzyk.

Nie namyślając się wiele, Victoria chwyciła widły i pospieszyła mężowi na pomoc. Omal nie przebiła na wylot intruza, który pędził do wyjścia.

- Nie, Victorio!

W ostatniej chwili odwróciła widły tak, że trafiła uciekającego w ramię tępym trzonkiem. Mężczyzna runął na ziemię, przygniatając ją swoim ciężarem. Na nich dwoje z kolei wpadł Sinclair.

- Cholera, Wally, złaż z mojej żony! - wrzasnął.

Victoria usiadła oszołomiona.

- O rany! - wykrztusiła.

- Nic ci się nie stało? - zapytał szorstko, klękając przy niej.

Obmacał ją z niepokojem, strząsnął słomę z włosów.

- Nic.

- Zwichnałeś mi palec, Sin - powiedział intruz, trzymając się za prawą rękę.

- Masz szczęście, że nie złamałem. Ostrzegałem, żebyś dał spokój ze swoimi cholernymi sztuczkami.

- Ja tylko...

- Zamknij się i poczekaj tu na mnie.

Sinclair wziął żonę na ręce i wstał.

- Nic mi nie jest - zaprotestowała. - Naprawdę.

Bez słowa wyszedł ze stajni i skierował się na tyły domu. Twarz miał bladą i ściągniętą z gniewu albo zmartwienia. Bezceremonialnie otworzył kopniakiem drzwi i wniósł ją do kuchni. Na ich widok

pani Twaddle i jej pomocnice krzyknęły, ale Victoria uśmiechnęła się i machnęła ręką.

- Przyślijcie Jenny do sypialni lady Alhorpe. Natychmiast! - polecił Sinclair i ruszył na górę schodami dla służby.

- Sin, to śmieszne. Jestem tylko trochę brudna, ale poza tym cała i zdrowa.

Drzwi sypialni na szczęście były otwarte, bo inaczej Sin pewnie by je wyważył. Ostrożnie położył żonę na łóżku, po czym namoczył ręcznik w misce. Gdy chciał obmyć jej twarz, chwyciła go za rękę.

- Przestań i porozmawiaj ze mną.

Potrząsnął głową, wyprostował się i zaczął spacerować po pokoju.

- Mogłaś zostać ranna. - odezwał się w końcu, zduszonym głosem.

- Ale nic mi się nie stało.

- Zauważyłaś, że ktoś się czai w kącie, i nic nie powiedziałaś, tylko spokojnie mnie uwodziłaś.

- Byłam pewna, że to jeden z twoich...

- Tylko się domyślałaś!

Victoria przełknęła ślinę. Jeszcze nigdy nie widziała męża tak rozgniewanego. Nigdy nie wyglądał, jakby zaraz miał stracić panowanie nad sobą.

- Przepraszam, że przeze mnie się zdenerwowałeś. Następnym razem cię uprzedzę, jeśli zobaczę coś podejrzanego. Obiecuję.

Zatrzymał się przed nią i wziął głęboki oddech.

- Nie o to chodzi - powiedział spokojniejszym głosem. - Gdyby to nie był Wally... aż strach pomyśleć.

Drżącymi rękami ujęła jego twarz.

- Nic mi nie jest. Przepraszam. Nie wiedziałam...

Pocałował ją namiętnie, zaborczo.

- Nie chcę cię stracić - szepnął.

Zarzuciła mu ramiona na szyję i odwzajemniła pocałunek. W tym momencie Sinclair zauważył, że w progu tłoczy się służba. Niechętnie wypuścił żonę z objęć i powiedział:

- Lady Althorpe miała drobny wypadek.

Jenny wbiegła do pokoju.

- Zaraz się nią zajmę, milordzie.

- Dobrze.

Rzuciwszy ostatnie spojrzenie na Victorię, Sin pospieszył do drzwi.

- Chodź ze mną - rzekł po drodze do Romana.

Tylko obecność świadka mogła go powstrzymać przed uduszeniem Wally'ego.

Winowajca siedział na beli siana i trzymał się za prawą rękę. Na widok kolegów zerwał się na równe nogi.

- Myślałem, że wiesz o mojej obecności - zaczął się tłumaczyć, mocno zmieszany. - Naprawdę. Schowałem się, kiedy weszła twoja żona, żeby...

- Romanie, obejrzyj jego palec.

- Ale ja...

- Lepiej, żebyś miał dobry powód tej niespodziewanej wizyty, bo inaczej odeślę cię na Wigh House Street w kawałkach.

- Crispin mnie przysłał. - Sięgnął do kieszeni lewą ręką. - Sam zobacz.

Łypiąc na niego groźnie, Sinclair wziął list, otworzył go i szybko przebiegł wzrokiem.

- Dobrze - powiedział, zgniótł kartkę i schował ją do kieszeni. - A teraz już idź, zanim ktoś cię zobaczy.

- Wszystko w porządku, Sin? - zapytał Roman.
- Tak. Wspaniale. Po prostu cudownie.

Nic dziwnego, że Crispin wolał przekazać wiadomość przez pośrednika. Wprawdzie skreślili Kilcairna z listy podejrzanych, ale Harding postanowił na wszelki wypadek sprawdzić jeszcze to i owo. Zobaczył więc, że dwadzieścia minut po wyjściu Alexandry Balfour z domu wizytę jej mężowi złożyła lady Althorpe. Cała trójka się przyjaźniła, lecz Sinclair nagle uznał, że powinien lepiej poznać hrabiego Kilcairn Abbey.

Zaaranżowanie spotkania okazało się łatwiejsze, niż sądził. Wiedział, że Lucien Balfour chadza do White'a i, rzeczywiście, kiedy wszedł do klubu o wpół do jedenastej, hrabia już tam siedział z lordem Bekonem i paroma innymi osobami.

Na widok Sinclaira od stolika wstał Henning.

- Coś mi się przypomniało. Obiecałem, że przedstawię Charlesa Blumtona diukowi Wycliffe - wymamrotał i oddalił się pospiesznie.

- Szczęściarz z tego Wycliffe'a - mruknął Balfour.

Lord Belton się zaśmiał.

- Mogę? - zapytał Sinclair, wskazując na krzesło zwolnione przez Henninga.

Hrabia zmierzył go wzrokiem.

- Raczej nie.

Kątem oka Sin dostrzegł w drugim końcu sali Crispina.

- Z jakiegoś szczególnego powodu?

- Ludzie, którzy wdają się z panem w rozmowę,

kończą z rozbitymi nosami. Pozwolę panu zbliżyć się do mnie tylko z białą flagą.

Sinclair nagle zrewidował opinię o Kilcainnie.

- W porządku. Czy wytyczymy jakieś granice?

- Na razie White wystarczy.

- Zgoda.

- W takim razie proszę do nas dołączyć. Robert właśnie opowiadał o swojej żonie i potomku, który ma się narodzić, więc pewnie zanudzi się pan na śmierć.

- Sam mówiłeś, że nie możesz się doczekać małego Ellisa - zaprotestował lord Belton.

- Tak, żebyś wreszcie przestał o nim mówić - odparował Balfour, ale oczy mu się iskrzyły.

- A pan myśli o powiększeniu rodziny, Althorpe? - zapytał Robert Ellis.

- Jeszcze się nad tym nie zastanawiałem.

Nagle przed oczami stanęły mu ciemnowłose małe dziewczynki o fiołkowych oczach, bawiące się w pokoju dziennym. Do licha! Co się z nim dzieje?

- Tak przypuszczałem - stwierdził Kilcainn. - Ostatnio Vixen jest bardzo zajęta. W końcu jednak zacznie czynić aluzje. Wszystkie żony tak robią.

Sinclair zmarszczył brwi.

- Co miał pan na myśli, mówiąc, że jest bardzo zajęta?

- O - mruknął Belton i wstał od stolika. - Pójdę się przywitać z Bromleyem.

- Ja też - powiedział lord Daubner, zrywając się z krzesła.

- Tchórze - skomentował hrabia, gdy zostali sami. Wychylił brandy do dna i skinął na kelnera. - Czego się pan napije?

-Whisky.

- Dziwny trunek jak na Anglika, który tyle lat spędził we Francji.

- A pan pali amerykańskie cygara - odparował Sin. - Ale może porozmawiamy o naszych gustach, gdy rozejm się skończy. Teraz chciałbym się dowiedzieć, co znaczyła pańska uwaga o mojej żonie.

- Vixen mi zdradziła, że pomaga panu w pewnej sprawie. O resztę proszę ją zapytać.

Do diaska! Rzeczywiście ostatnio była dziwnie powściągliwa. A teraz się okazuje, że dopuściła do tajemnicy jeszcze jedną osobę.

- Kilcairn, muszę cię prosić o dyskrecję.

Balfour wzruszył ramionami.

- Źle bym o panu myślał, gdyby nie próbował pan znaleźć zabójcy swojego brata. Przynajmniej podejrzewam, że o to chodzi.

- Nie pański interes.

Hrabia odstawił kieliszek na stół.

- Uważam Vixen za dobrą przyjaciółkę. Wiem, że nigdy nie wyszłaby za głupca, nawet pod przymusem.

- Czy to komplement?

- W pewnym sensie. Nie wiem, do czego pan zmierza, i nie mieszałem się w pańskie sprawy, bo Victoria pana lubi. Jeśli będzie pan potrzebował mojej pomocy, proszę dać mi znać. - Podniósł się z krzesła. - Moja żona już zaczęła robić aluzje, więc lepiej pójdę do domu.

- Nie, Mungo. Powtórz: „Do diabła!”.

- „Och, zupełnie jak kłacz i ogier”.

Zamknęła oczy. Policzki jej płonęły.

- Znowu wczoraj podsłuchiwałeś, niedobry ptaku?

- „Teraz, Sin, teraz”.

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi i głos Sinclaira:

- Victorio?

- Wejdz. - Na widok zagniewanej twarzy męża ogarnął ją niepokój. - Jak twój tajemniczy przyjaciele?

- Nie wiem. Spotkałem się z twoim przyjacielem. Dała papudze ostatni kawałek herbatnika.

- Z którym?

- Z Kilcairem.

- Kil... Sądziłam, że go nie lubisz.

- Bo nie lubiłem. A odkąd mi powiedział, że za moimi plecami wciąż prowadzisz śledztwo, nadal za nim nie przepadam.

- Niczego nie robię za twoimi plecami. - Podeszła do Sinclaira, wzięła go za rękę i wciągnęła do pokoju. Starannie zamknęła drzwi. - Pomagam ci znaleźć zabójcę Thomasa.

- Prosiłem cię, żebyś tego nie robiła.

- Bo się o mnie boisz, ale przecież rozmowa z Lucienem Bałfourem nie jest niebezpieczna. - Dostrzegła sceptycyzm na twarzy męża. - W każdym razie nie dla mnie.

- Victorio, nie chcę z tobą walczyć. - Usiadł na brzegu łóżka. - Ale nie zamierzam również pozwolić ci na kontynuowanie śledztwa. Nie tylko może ci się coś stać, ale jeszcze spłoszysz zabójcę Thomasa i nigdy go nie znajdę.

Zaskoczyła ją nagła zmiana taktyki. Lecz jeśli

Sinclair spodziewał się, że ona go przeprosi i stanie się potulną żoną, bardzo się mylił.

- Jak ważne jest dla ciebie znalezienie mordercy Thomasa? - spytała, siadając obok niego i biorąc Henriettę na kolana.

- Dobrze wiesz - odparł ostrym tonem.

- Tak. Wiem, to dla ciebie najważniejsza rzecz na świecie.

- Więc dlaczego z uporem się w nią mieszasz?

- Bo to dla ciebie najważniejsza rzecz na świecie. - Miała nadzieję, że nie usłyszał żalu w jej głosie. Opuściła wzrok. - Nie jest przyjemnie być odsuniętą na bok. Nie chcesz, żeby stała mi się krzywda, lecz chodzi o coś więcej. Zostaliśmy zmuszeni do tego małżeństwa, ale ja...

- Co?

Zakochałam się w tobie, pomyślała.

- Podziwiam cię za to, co robisz i *co* już zrobiłeś. Wszyscy myślą, że jestem głupia i kapryśna. Pewnie ty też tak uważasz. Znam jednak ludzi, których nie znasz, i mogę rozmawiać z tymi, którzy nie chcieliby rozmawiać z tobą. Boli mnie, że odrzucasz moją pomoc.

- Wcale nie uważam cię za głupią i kapryśną - powiedział cichym głosem, który zawsze przyprawiał ją o dreszcz. - I...

- Więc dlaczego...

- Pozwól mi skończyć. Wiem, że mogłabyś mi pomóc. Kiedy się poznaliśmy, od razu pomyślałem, że cię wykorzystam.

- I co sprawiło, że zmieniłeś zdanie?

- Henrietta, Lord Baggles, Mungo Park, sierociń-

ce, szkoły, biedacy. - Uśmiechnął się lekko. - W dodatku trochę mnie lubisz.

- Ale...

Uniósł rękę. Najwyraźniej starannie przemyślał swoje argumenty.

- Kiedy się przekonałem, że jesteś dobra i wrażliwa, zrozumiałem, że nie mogę przyjąć twojej pomocy. Mam pewne podejrzenia, kto zabił Thomasa. Mordercą może się okazać jeden z twoich bliskich znajomych.

Serce w niej zamarło.

- Nie Lucien! On nigdy...

- Nie Kilcairn. Wolałbym wprawdzie, żebyś nie była pod jego urokiem, ale to nie on. Dowiodłaś jednak, że mam rację. Nawet nie potrafisz sobie wyobrazić, że któryś z twoich przyjaciół mógłby być zabójcą.

- Przyznaję, że nigdy nie uwierzyłabym w winę Luciena albo innych moich przyjaciół. Lecz nie jestem taka naiwna i delikatna, jak sądzisz. Wystaw mnie na próbę. Kogo podejrzewasz?

Przez chwilę się bała, że Sinclair nie odpowie, co by oznaczało, że nie zaufał jej do końca i że nigdy nie staną się prawdziwym małżeństwem, na którym coraz bardziej jej zależało.

- John Madsen - powiedział w końcu.

- Marley? - Widząc jego zmrużone oczy, szybko się opanowała. - Dlaczego właśnie on?

Postawiła Henriette na podłodze i złożyła ręce na kolanach. Sin wstał z łóżka i zaczął chodzić po sypialni.

- Przedstawię ci krótką listę powodów, ale pod

warunkiem, że od tej pory będziesz się trzymać z daleka od śledztwa.

W takich sytuacjach Victoria żałowała, że nie jest roslým mężczyzną. Najchętniej siłą wbiłaby Sinclairovi rozum do głowy i przekonała go do swoich racji.

- Najpierw powiedz, a potem zobaczymy - zażądała.

Dobrze, że Mungo Park był w innym pokoju, bo nauczyłby się paru przekleństw w języku portugalskim i włoskim. W końcu mąż zatrzymał się przed nią.

- Marley ma udziały w kilku spółkach eksportowych, które osiągnęły spore zyski w czasie wojny na Półwyspie Iberyjskim. Thomas z kolei sprzeciwiał się wszelkim interesom z Francją, póki Bonaparte pozostawał u władzy.

- Na pewno wiele osób podzielało jego stanowisko.

- Tak, ale mój brat wyrażał je bardzo zdecydowanie. Napisał do mnie, że wicehrabia mu groził. Podobno wszystkie swoje pieniądze włożył w towary przeznaczone na eksport.

Sama słyszała kilka tyrad Marleya o handlu i interesie kraju. Uznała je wtedy za dziecinne i samolubne. Teraz nagle wydały się jej złowieszcze.

- Marley nie jest bogaty jak Krezus, ale nie jest również biedakiem - zauważyła.

Sin pokiwał głową.

- Owszem. Nie poniósł strat w czasie wojny.

- Nadal nie rozumiem, po co miałyby zabijać twojego brata...

- Byli przyjaciółmi - przerwał jej mąż. - Z ostatnich uwag Marleya wynika, że w ich stosunkach nie nastąpiła żadna zmiana.

- Ale ty wiesz, że nastąpiła.

- Tak. - Wzruszył ramionami. - I jeszcze jedno. Obaj byli u Hoby'ego w dniu, kiedy zginął mój brat. Marley wiele razy bywał w Grafton House i wiedział, że Thomas lubi spędzać wieczory w gabinecie. Czyżbyś źle się poczuła?

Victoria zaczęła drżeć. Dobrze znała Marleya. Uważała go za przyjaciela. Nawet pozwoliła mu się pocałować!

- Nie sądź, że nie jestem w stanie uwierzyć w jego winę, ale moim zdaniem się mylisz.

- Dlaczego?

Omal nie rozpląkała się z ulgi. Nadal był gotów jej wysłuchać!

- Marley lubi łatwe rzeczy, na przykład hazard. Morderstwo i zacieranie śladów wymagałoby zbyt dużego wysiłku.

- Chciwość i obrona własnych interesów to dobre motywy. Teraz rozumiesz, dlaczego nie chcę cię w to wszystko mieszać?

- Wiedziałaś, że Thomas utrzymywał kontakty towarzyskie z lady Jane Netherby?

Sinclair zmarszczył brwi.

- Mówiłaś, że nie znasz żadnych jego znajomych.

- Bo nie znałam. Do tej pory.

Oczy mu pociemniały.

- Kilcairn.

- Tak. On wie wszystko o wszystkich.

Sin milczał przez długą chwilę, zamyślony i nieobecny duchem.

- Lady Jane Netherby - powtórzył w końcu. - Jesteś pewna?

Victoria skinęła głową.

- Kiedy się jej przedstawiłam, zareagowała bardzo dziwnie. Prawdę mówiąc...

- Sama się jej przedstawiłaś?

- Oglądałyśmy te same perkale. Była uprzejma, ale trochę wyniosła, co przypisuję jej nieśmiałości. Kiedy usłyszała, że jestem lady Althorpe, powiedziała coś niezrozumiałego i prawie wybiegła ze sklepu.

Sinclair ukląkł i położył ręce na kolanach Victorii.

- Co powiedziała?

- Kiedy wspomniała, że ona i Thomas się przyjaźnili, wyraziłam żal, że nie znałam go lepiej. Odparła, że gdy się kogoś dobrze zna, ma to swoje minusy. Potem stwierdziła, że gdy człowiek umrze, jego reputacja zależy wyłącznie od ludzi, którzy o nim mówią.

- Wiedziałem, że z kimś się spotykał, ale nie zdradził mi żadnych szczegółów. W listach wciąż droczył się ze mną na ten temat, a potem oczywiście nasza korespondencja się urwała.

Victoria usłyszała w jego głosie ból. Wzięła w dłoń twarz męża i pocałowała go czule. Sinclair przywarł na chwilę ustami do jej ust, po czym odsunął się i wstał.

- Ubierz się - powiedział. - Chcę ci kogoś przedstawić.

12

Gdy wychodzili z Grafton House, zbliżała się północ i nad ulicami wisiała gęsta mgła. Nie musieli iść daleko, więc zamiast brać powóz, ruszyli spacerkiem ku Hyde Parkowi, trzymając się za ręce.

Choć o tej porze w Mayfair panował spokój, Sinclair mocno ścisnął laskę z ukrytym w hebanie ostrym rapierem. Gdy weszli do parku, Victoria przysunęła się do niego bliżej, ale zwalczył pokusę, żeby ją objąć. Musiał zachować czujność.

Przy skupisku wysokich dębów zwolnił kroku i zawołał cicho:

- Lady Stanton!

Gdy Victoria spojrzała na niego zdziwiona, w jej oczach dostrzegł cień zazdrości, co sprawiło mu wielką satysfakcję.

Z mgły ścielącej się między drzewami wyszedł potężny mężczyzna i ruszył w ich stronę.

- Spóźniliśmy się? - zapytał Sinclair.

- Nie, to ja przyszedłem wcześniej.

- To moja żona Victoria. Vixen, to Crispin Harding.

- Pan jest lady Stanton?

- Czasami - odparł Szkot i przeniósł wzrok na Sina. - Masz chwilę, żeby zamienić słowo na osobności?

Althorpe potrząsnął głową. Nie miał ochoty wysłuchiwać uwag na temat sposobu prowadzenia śledztwa. Zwykle to on udzielał innym lekcji.

- Co wiesz o lady Jane Netherby?

- Netherby? To córka earla Brumley.

- Thomas się z nią spotykał -.wyjaśnił Sinclair. - Teraz ta kobieta boi się o nim mówić.

- Nie sądzę - wtrąciła Victoria. - Straciła ochotę na rozmowę, gdy się dowiedziała, kim jestem.

- Jeśli liczyła na to, że zostanie następną lady Althorpe, poznanie pani mogło okazać się dla niej niezbyt miłe - stwierdził Harding.

- Crispinie, byłbym wdzięczny...

- Gdybym ją poobserwował. Dobrze. A przy okazji, trzech arystokraci opuścili Londyn o świcie dzień po morderstwie.

- Kto?

- Diuk Highbarrow, lord Closter i... - Szkot zerknął na Victorię. - I jeszcze jeden.

- Lord Marley - powiedziała, wytrzymując jego spojrzenie.

Na twarzy Hardinga pojawił się łagodniejszy wyraz.

- Tak. Masz dla mnie coś jeszcze, Sin?

- Vixen, zaczekaj tu chwilę.

- Nigdzie się nie wybieram.

Dwaj mężczyźni odeszli kilka kroków, pod osłonę drzew.

- Nie patrz tak na mnie, Harding - szepnął Sinclair. - Nie mogłem jej powstrzymać, ale mogę wykorzystać jej gotowość do pomocy.

- Chcesz wszędzie ciągać ją ze sobą, w porządku,

nie moja sprawa, ale jeśli popełni błąd, możemy wszyscy za niego zapłacić. Trzeba było spytać mnie i chłopaków, nim zdradziłeś jej nasze sekrety.

- Mówię jej tylko to, co powinna wiedzieć, jeśli ma nam pomóc. Sądziłem, że wystarczy trochę powęszyć w Mayfair, ale się myliłem. Trzeba podjąć skuteczniejsze działania, wejść w sam środek tej cholernej społeczności, ale tak, żeby człowiek, którego szukamy, nie nabrał podejrzeń.

- Więc żona będzie twoją zbroją. Wie o tym?

- Nie zamierzam więcej dyskutować na ten temat. Jesteście gotowi na jutrzejszą noc?

- Tak. Idź i baw się dobrze z nowymi przyjaciółmi. Harding obrócił się na pięcie i ruszył w ciemność.

- Crispin, bądź ostrożny - zawołał za nim cicho Sinclair.

Szkot przystanął.

- To ty nadstawiasz karku, Sin. Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

- Ja też.

Victoria aż podskoczyła, kiedy wyłonił się z mgły.

- Ale mnie przestraszyłeś! Już myślałam, że to potwór Frankensteina.

- Pewnie byś go adoptowała.

Odpowiedział mu stłumiony śmiech.

- Twojej lady Stanton nie spodobała się moja obecność.

Sinclair wziął żonę za rękę.

- Chodźmy do domu. Zimno dzisiaj.

- Uważa, że popełnię jakieś głupstwo.

- Wcale nie.

Victoria zatrzymała się w pół kroku.

- Pocieszasz mnie? Udajesz, że jestem pomocna?

Jak się czuła taka inteligentna kobieta, spędzając czas w towarzystwie mężczyzn, którzy zwracali uwagę raczej na jej piersi niż rozum? Którzy jej nadskakiwali, dostrzegając wyłącznie jej urodę?

- Nie - powiedział cicho. - Ale musisz dać nam trochę czasu, żebyśmy się przyzwyczaili do ciebie. Nie potrafimy nikomu zaufać.

Skinęła głową.

- Wiem. Są jednak ludzie, którym możesz ufać. - Objęła jego ramię. - Dobrzy i uczciwi.

- Zaczynam ci wierzyć.

Wyglądało na to, że znalazł taką osobę. I nie zamierzał jej stracić.

Na balu lady Drewsbury zebrało się doborowe towarzystwo. Oprócz dystyngowanych znajomych baronowej przybyli młodzi dżentelmeni z Oksfordu, których zaprosił Kit. Victoria ściągnęła niesforną gromadkę swoich przyjaciół, w każdym razie tych, którzy jeszcze nie wdali się w bójkę z jej mężem. Trzej koledzy Sinclaira swobodnie gawędzili z podejrzanymi.

- Dość osobliwe spotkanie towarzyskie - stwierdził Lionel Parrish, podając Victorii i pannie Havers po kieliszku madery. - Mam nadzieję, że wieczór nie skończy się wojną domową, choć na pewno byłoby to pamiętne wydarzenie.

- Rzeczywiście - zgodziła się Lucy. - Nie sądziłam, że zobaczę lorda Liverpoola i lorda Halifaxa w tym samym pomieszczeniu.

Victoria też się dziwiła, że jeszcze nikt nikogo nie wyzwiał na pojedynek.

- Lady Augusta jest niezwykła.

- Tak jak ty - powiedział Lionel. - Nawet twój mąż sprawia wrażenie dobrze wychowanego.

Odwróciła się i spojrzała na Sinclaira, który stał obok muzyków i rozmawiał z Kitem oraz jednym z jego młodych przyjaciół. Jej serce zabiło mocniej.

- Tak, spisuje się całkiem dobrze.

- Przekonałaś Marleya, żeby przyszedł - ciągnął dalej Parrish. - To była odważna decyzja z twojej strony.

Na prośbę Sinclaira Victoria wysłała zaproszenie Marleyowi, choć czuła się podle. Mąż nazwał jej rozterki konfliktem sumienia. Zaczęła się nawet zastanawiać, ile razy sam musiał iść na kompromis, żeby wypełnić powierzoną mu misję.

- Mogę na chwilę ukraść Vixen?

Na jej ramionach spoczęły ciepłe dłonie.

- Oczywiście - powiedziała Lucy ze śmiechem. - I tak musimy iść podroczyć się z Marguerite.

- Podroczyć? - zapytał Sinclair, gdy zostali sami.

- W związku z mruganiem okiem do twojego brata - wyjaśniła Victoria.

- Cóż, nie sądzę, żeby Kit był gotowy do małżeństwa.

- Czasami uczucie spada na człowieka w najmniej oczekiwanym momencie.

- Rozumiem. I co wtedy?

Nagle zapragnęła znaleźć się w jego silnych objęciach.

- Słyszałam różne rzeczy.

Cichy śmiech Sinclaira przyprawił ją o drżenie. Właśnie tak powinno wyglądać małżeństwo: dwoje ludzi, którzy widzą tylko siebie, i do diabła z resztą świata.

Niestety Victorii nie udało się zapomnieć o rzeczywistości.

- Twój Crispin na nas łypie.

- Ona też już jest?

Natychmiast się domyśliła, o kogo mu chodzi. Tuż przed balem wysłali spóźnione zaproszenie do lady Jane Netherby.

- Nie. Mówiłam ci, że nie przyjdzie.

- Jej nieobecność również o czymś świadczy. Wszystko może mieć znaczenie.

- Chciałabym wiedzieć, jakie.

- Kiedyś się dowiemy.

Pokiwała głową.

- Od kogo zacząć?

- Chyba od lorda Hastora. Thomas kilka razy jeździł z nim na polowania.

Victoria spojrzała w drugi koniec sali.

- Ale on i jego żona właśnie rozmawiają z moimi rodzicami.

- Więc ja tym bardziej nie powinienem do nich podchodzić, prawda?

-Tak.

- Podczas gdy ty będziesz się z nimi męczyć, ja utnę sobie małą pogawędkę z Kilcairem,

- Naprawdę?

- Skoro ty tak bardzo mu ufasz, ja też mogę spróbować.

Miała ochotę zarzucić Sinowi ręce na szyję i pocałować, ale tylko szepnęła z uśmiechem:

- Powodzenia.

- Daj mi znać, kiedy zobaczysz lady Jane.

Victoria nie przepadała za tego rodzaju przyjęciami. Zwykle ją nudziły i męczyły. Tym razem było inaczej. W napięciu krążyła po sali balowej, bawialni i gabinecie, od jednej grupki gości do drugiej, mając tylko jeden cel: odnalezienie mordercy Thomasa Graftona.

Po godzinie omal nie wybiegła z krzykiem na ulicę. W każdym słowie doszukiwała się kłamstwa, w każdym spojrzeniu widziała podstęp i oszustwo. Nic dziwnego, że Sinclair na wszystkich patrzył z takim cynizmem.

- Dobry wieczór, lady Althorpe.

Omala nie wylała madery na frak lorda Hauvertona, z którym akurat rozmawiała. Odwróciła się z wymuszonym uśmiechem.

- Lord Kingsfeld. Już myśleliśmy, że pana dzisiaj nie zobaczymy.

- Zamierzałem przyjść wcześniej. Jestem pani winien przeprosiny.

- Nie mówmy o tym więcej.

Ujął jej dłoń.

- Jest pani bardzo łaskawa. Czy może mnie pani zaprowadzić do Sina?

- Oczywiście.

- Mam nadzieję, że Sin mnie wytłumaczył - powiedział Kingsfeld, kiedy ruszyli przez salę. - Przypuszczam, że wielu mężczyzn zachwyca się pani urodą.

- Nie wracajmy do przeszłości. Porozmawiajmy o innych rzeczach. Gdzie leży Kingsfeld Park?

- W Staffordshire. Nie ma w Anglii piękniejszego miejsca. Może konkurować nawet z Althorpe.

- Dużo czasu spędzał pan w Althorpe? Albo Thomas w Kingsfeld? Wiltshire i Staffordshire dzieli spora odległość.

- Odwiedzałem go, kiedy mogłem. Thomas natomiast opuszczał Althorpe tylko wtedy, gdy wzywały go obowiązki w parlamencie, i czym prędzej wracał.

- Chętnie zobaczyłabym rodową posiadłość. Sinclair i Kit bardzo ją lubią. Widziałam wprawdzie rysunki Thomasa, ale nie ma to, jak zobaczyć dane miejsce na własne oczy.

- A, tak, bazgroły Thomasa. - Kingsfeld się zaśmiał. - Lepiej nie trzymać niczego, co w wypadku niespodziewanej śmierci wprawi spadkobierców w zakłopotanie.

- Oglądał pan kiedyś jego prace? Nie rozumiem, jak mogłyby wywołać inną reakcję niż dumę i jednocześnie smutek, że nie zdążył rozwinąć talentu.

- Więc uważa się pani za znawczynię sztuki?

Victorię coraz bardziej irytował ton pobłażliwej wyższości i przekonanie Kingsfelda o jej ograniczeniu umysłowym. Nie miała ochoty być dla niego uprzejma tak jak ostatnim razem.

- Może nie szkiców węglem i ołówkiem, ale pejzaży. Szczególnie lubię ogrodowe portrety Gainsborougha.

- Dla mnie są zbyt romantyczne i przesłodzone.

- Sądziłam, że celem sztuki jest pobudzanie do refleksji oraz uwiecznianie piękna.

- *Object d'art*, celem sztuki, moja droga pani, jest zarabianie pieniędzy.

- Sztuka może przynosić pieniądze, ale ma własną *raison d'être*, rację bytu.

- Mówi pani jak Thomas. Ja uznaję tylko rzeczy, z których jest pożytek. Inne odrzucam.

- Przez pożytek rozumie pan wyłącznie materialne korzyści?

- Niech pani nie próbuje tego pojąć, moja droga. Kobiety po prostu nie są w stanie przyswoić sobie zasad ekonomii.

Victoria uśmiechnęła się z przymusem.

- Co zgodnie z pańską argumentacją czyni je bezużytecznymi. W takim razie nie będę panu zajmować czasu.

Podeszła do męża, nie próbując nawet ukryć wściekłości.

- Lord Kingsfeld pragnie z tobą pomówić - oznajmiła sucho i oddaliła się pospiesznie.

Astin Hovarth był kompletnym osłem. Nie mogła sobie darować, że nie powiedziała mu tego wprost.

- Mój Boże! - szepnęła Alexandra Balfour, biorąc ją pod ramię. - Wiesz, że dym idzie ci z uszu?

- Zamierzam jeszcze dzisiaj napisać do Emmy Grenville i poradzić, żeby do programu szkoły włączyła szermierkę i strzelanie z pistoletu. Kobiety powinny umieć bronić swojego honoru.

- W pojedynkach?

- Niektórzy mężczyźni są tak głupi i uparci, że do zmiany zdania może ich przekonać jedynie kula w zakuty łeb.

- Lepiej usiądź! Przyniosę ci szklankę ponczu.

Alexandra pchnęła Victorię na krzesło.

- Lepiej brandy.

- Dobrze, ale obiecaj, że nie powtórzysz mężowi tego, co właśnie powiedziałaś.

- Dlaczego... O rany! Nie mówiłam poważnie.

- Wiem, na litość boską.

Po drugiej stronie pokoju Sin rozmawiał z Kingsfeldem i Lucienem. Na szczęście nie słyszał, że jego własna żona poleca morderstwo jako najlepszy sposób na zmianę cudzych przekonań.

Nagle krew odpłynęła Victorii z twarzy. To niemożliwe! Nie Kingsfeld. Nie najbliższy przyjaciel Thomasa Graftona. Tak szczerze się uśmiechał, mówiąc coś do Sinclaira.

- Wyglądasz strasznie - stwierdziła Lex, podając jej kieliszek.

Victoria wychyliła brandy dwoma haustami. Poczowała ogień w gardle. Zaczęła się krztusić i kaszleć, do oczu napłynęły jej łzy.

- Nie denerwuj się, Vixen. Nikomu nie powtórzę, co mówiłaś.

- Wiem. Czasami samą siebie zaskakuję.

Antypatia i szalone podejrzenie to za mało, by kogoś oskarżyć o zabójstwo. Powinna najpierw przemyśleć sprawę, a najlepiej zdobyć dowód.

- Więc mój wnuk nauczył cię pić brandy - zauważyła lady Drewsbury, siadając obok niej. - Wiedziałam, że ten chłopak ma na innych zły wpływ.

- Nie na mnie - odparła Victoria z bladym uśmiechem i wstała z krzesła. - Wybacz, Augusto. Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza.

- Oczywiście, kochanie.

Nie zważając na zdziwione spojrzenia dwóch dam, zebrała spódnice i ruszyła ku drzwiom wycho-

dzącym na niewielki ogród. Odetchnęła głęboko, gdy owiał ją nocny chłód.

- Nawet mężatki nie powinny same zapuszczać się na taras.

Victoria krzyknęła cicho. Dobrze, że zagłuszyła ją muzyka.

- Marley - wykrztusiła. - Przeraziłeś mnie śmiertelnie.

-Widzę.

- Co tu robisz?

Wzruszył ramionami.

- Nie jestem dostatecznie pijany, żeby wrócić do środka. A ty?

- Tak samo.

- Jezu Chryste! Dlaczego ze wszystkich mężczyzn wybrałaś akurat Sina Graftona zamiast mnie?

Victoria cofnęła się ku drzwiom. Nie zapomniała, że wicehrabia nadal jest podejrzanym.

- I tak bym za ciebie nie wyszła.

- Wiem. Nie jestem idiotą.

-Więc...

- Nie zamierzałaś wychodzić za nikogo, a potem zjawił się on i raptem zmieniłaś reguły gry.

- Nie musiałaś dzisiaj przychodzić, skoro tak uważasz.

- Sama prosiłaś, żebym przyszedł. I od ponad godziny mnie ignorujesz. Czego właściwie chcesz?

- Chciałam sprawdzić, czy nadal możemy być przyjaciółmi - wymyśliła na poczekaniu.

- Nie sądzę, żebyśmy kiedykolwiek nimi byli. Potrzebowałaś kogoś do zabawy, kogoś, kto nie bałby się kłopotów i utraty reputacji.

Zmrużyła oczy.

- A tobie o co chodziło?

- O ciebie.

Akurat ten moment wybrał Lionel Parrish, żeby wyjść na taras. Tak nieudolnie udał zaskoczenie, że musiał wcześniej wiedzieć o ich obecności.

- Przepraszam - powiedział, ale nie cofnął się do środka. - Na sali balowej zrobiło się zbyt niebezpiecznie.

- Niebezpiecznie? - zaniepokoiła się Victoria. - Jak to?

- Liverpool wspomniał o nowej umowie handlowej z koloniami, a Haverly z wrażenia wypluł porto na podłogę. Znosi się na rozlew krwi.

- Lepiej wróć i zatańczę z którymś z nich - oznajmiła z wymuszonym uśmiechem. - Zaprowadzisz mnie na pole bitwy?

Parrish podał jej ramię.

- Tylko uważaj, bo mogę zemdleć, jeśli zostanę wyzwany na pojedynek.

- Obronię cię.

Nie patrząc na Marleya, Victoria ruszyła z Lionelem do drzwi. Wicehrabia nie był wobec niej natarczywy, ale nie spodobało się jej, że oczekiwał czegoś więcej niż przyjaźń. Nim wyszła za mąż, zadawała się utrzymywaniem z nią kontaktów towarzyskich i okazjonalnymi pocałunkami.

Wbrew przewidywaniom Parrisha w sali balowej panował spokój. Towarzysz zerknął na nią z ukosa.

- Hm. Chyba przesadziłem.

- Dziękuję, Lionelu.

- Wiedziałem, że Marley jest na tarasie. Uprzedziłbym cię, ale za szybko chodzisz.

Zaśmiała się.

- Następnym razem będę szła wolniej.

Astin Hovarth gawędził z lady Drewsbury. Chyba oszalałam, pomyślała Victoria na ich widok. To niemożliwe, żeby kogoś zabić, a potem utrzymywać przyjazne stosunki z jego rodziną. Marley przynajmniej nie ukrywał, że nie lubi Sinclaira.

W tym momencie do pokoju weszła lady Jane Netherby. Dostrzegłszy nagłą zmianę wyrazu na jej chłodnej arystokratycznej twarzy, Victoria podążyła za spojrzeniem lady Jane i wstrzymała oddech. Kobieta patrzyła na lorda Kingsfelda.

- Lionelu, widziałeś Sinclaira? - zapytała Vixen, rozglądając się za mężem.

- Niedawno był w salonie. Wszystko w porządku?

Do diaska! Będzie musiała się nauczyć powściągliwości. W karty również grała fatalnie.

- Tak. Po prostu chcę z nim pomówić.

- W takim razie cię zostawię. Lucy przekupiła orkiestrę, żeby zagrała kontredansa.

- Dla mnie zarezerwuj walca.

- Z przyjemnością.

Gdy znajdowała się w połowie drogi do salonu, w progu stanął Sin, a krok za nim Crispin Harding. Obaj dyskretnie obserwowali lady Jane Netherby.

Jeszcze przed balem Sinclair uznał, że przypadkowe spotkanie będzie lepsze niż oficjalna prezentacja. Udając lekko pijanego, ruszył w stronę lady Jane. Minął ją, po czym raptem cofnął się tak niezręcznie, że na nią wpadł.

Victoria pospiesznie odwróciła wzrok i zauważyła, że lord Kingsfeld patrzy na Sinclaira i przyjaciółkę jego starszego brata. Na twarzy lorda malowało się lekkie znudzenie, takie jak przez cały wieczór, ale dziwny błysk w oczach przypawił ją o drzenie.

Za bardzo popuszczasz wodze wyobraźni, skarciła się w duchu i postanowiła odnaleźć Augustę. Chciała usłyszeć od niej zapewnienie, że hrabia Kingsfeld jest człowiekiem godnym zaufania.

Gospodyni balu akurat tańczyła kontredansa z Kitem. Oboje świetnie się bawili, wyglądali na szczęśliwych i zupełnie nieświadomych zagrożenia. W tym momencie Victoria złożyła sobie obietnicę, że zrobi wszystko, by żadnemu z nich nic się nie stało.

Sin obsypywał gorącymi pocałunkami kark i plecy żony, a Victoria tłumiła jęki, chowając twarz w poduszkę.

Przez całą drogę powrotną do Grafton House milczała i nawet jego dociekliwe pytania nie wyrwały jej z zadumy. Domyślał się, że szpiegując na balu przyjaciół i znajomych, prawdopodobnie odkryła niejedną rzecz, o której wcześniej nie miała pojęcia. Czuł się winny i dlatego usilnie starał się poprawić jej nastrój.

- Muszę ci coś powiedzieć - oznajmiła raptem, próbując jednocześnie odwrócić się na plecy.

Przytrzymał ją siłą.

- Mów.

- Nie mogę, kiedy mnie tak całujesz.

On też tracił rozum w jej obecności. Wolno przesunął dłońmi po krągłych pośladkach żony, po czym westchnął z rezygnacją i odtoczył się na bok.

- Dowiedziałeś się czegoś od lady Jane?
- Sądziłem, że ty masz mi coś do powiedzenia.
- Tak.

Jej wahanie zaniepokoiło Sinclaira.

- No więc?
- Najpierw ty.

Jego impulsywna żona nagle stała się ostrożna. Kolejny niepokojący znak.

- Lady Jane Netherby coś wie. Wysłałem Batesa do wiejskiej rezydencji jej rodziców, a Wally ma się zająć jej pokojówką.

- Biedny Wally.

- Dobrze mu tak za to, że mi wtedy napędził strachu.

- Co ci powiedziała?

- Niewiele. Przyjaźniła się z Thomasem i bardzo nią wstrząsnęła jego śmierć. Ani słowa o błędach, które mógł popełnić, o powodach, dla których zginął, ani o szukaniu zabójcy. Niewykluczone więc, że lady Jane dobrze zna odpowiedzi na te wszystkie pytania.

- Nie sądzę, żeby ona i Marley byli znajomymi. W ciągu ostatnich dwóch lat ani razu o niej nie wspomniał, a na balu nawet nie spojrzał w jej stronę.

- Właśnie to chciałaś mi powiedzieć? - zapytał Sinclair chłodnym tonem.

Za każdym razem kiedy broniła Marleya, miał ochotę nią potrząsnąć. Nie mógł znieść myśli, że lubiła - i pewnie nawet całowała - mężczyznę, który wedle wszelkiego prawdopodobieństwa zamordował Thomasa.

- Nie. - W jej głosie zabrzmiało wahanie. - Jest osoba, która znała zarówno lady Jane Netherby,

jak i twojego brata, i była w mieście w dniu, kiedy Thomas został zabity, całkiem swobodnie czuje się w Grafton House i uważa, że rzeczy nieprzydatnych należy się pozbywać.

- Kto to taki?

Victoria zaczerpnęła oddechu i spojrzała mężowi prosto w oczy.

- Hrabia Kingsfeld.

Sin zamrugał.

- Astin? Nie bądź śmieszna.

- Na własne uszy słyszałam, jak mówił o bezużytecznych rzeczach... i ludziach.

- I doszłaś do wniosku, że najbliższego przyjaciela uznał za bezużytecznego, a przez „pozbywanie się” rozumie „morderstwo”?

Zsunęła się na brzeg łóżka i wstała.

- Prosiłeś mnie, żebym traktowała Marleya jako podejrzanego, i tak zrobiłam. Ostatnio zaczynałam się trząść za każdym razem, gdy na niego spojrzałam. Sam twierdziłeś, że nikogo nie można z góry wykluczyć. Nie twierdzę, że Kingsfeld jest zabójcą, tylko uważam, że nie powinniśmy go lekceważyć.

- Znam Astina Hovartha od dwunastu lat. On nie...

- Ile razy widziałeś go w ciągu ostatnich pięciu lat? Nie lubię go i mu nie ufam.

Sin też stanął obok łóżka.

- Sama mnie przekonywałaś, że powinienem być bardziej ufny. Czyżby chodziło ci o to, że mam wierzyć tobie i twoim przyjaciołom zamiast polegać na własnym wyczuciu i doświadczeniu? To nie jest gra, Victorio. Nie możesz oskarżać kogoś o morderstwo tylko dlatego, że go nie lubisz.

Łzy napłynęły jej do oczu.

- Wiem, że to nie jest gra. - Pomaszerowała do swojej sypialni. - Po prostu nie chcę, żeby coś ci się stało.

Gdy z trzaskiem zamknęła za sobą drzwi, Sinclair zacisnął szczęki. Do diabła! Uraził kobietę, której jedyną winą było to, że się o niego bała. Niemal nazwał ją głupią.

Ale może przynajmniej jego żona zrozumie, że nie ułożył listy podejrzanych w ciągu jednej nocy. Pracował nad nią przez dwa lata. Z drugiej strony, nie wszystkie poszlaki świadczyły przeciwko Marleyowi. Inaczej wicehrabia już dawno by nie żył albo siedział w więzieniu.

W takim razie powinien również przyjrzeć się bliżej Astinowi Hovarthowi, skoro drobne fakty i zbiegi okoliczności naprowadziły Victorię na jego trop.

Mamrocząc pod nosem, wszedł z powrotem do wielkiego, pustego łóżka i naciągnął na siebie kołdrę.

- „Teraz, Sin, chcę cię poczuć”.

- Zamknij się - warknął do Mungo Parka siedzącego na swoim ulubionym miejscu i schował głowę pod kołdrę.

Rano, zaraz po przebudzeniu, Victoria sporządziła listę. W jednej kolumnie wpisała znajomych, na których dyskrecję mogła liczyć, w drugiej tych, którzy prawdopodobnie roznieśliby jej słowa po całym Londynie. Okazało się, że jak na osobę gardzącą plotkami zdobyła sobie wielu gadatliwych przyjaciół.

Jeszcze raz przeczytawszy nazwiska godnych zaufania, skreśliła Sinclaira Graftona, jego trzech ko-

legów szpiegów i lokaja. Nie byli plotkarzami, ale sądząc po niedawnej reakcji Sina, nie zamierzali jej wesprzeć w prywatnym śledztwie przeciwko hrabiemu Kingsfeldowi.

Następnie wysłała do swojej przyjaciółki Emmy Grenville list z prośbą o sprawdzenie w archiwach szkoły, czy uczęszczała do niej lady Jane Netherby. Zamierzała ułagodzić męża, pokazując mu, że jej metody działania są wyjątkowo bezpieczne.

Przekazała korespondencję Milo i zeszła na dół do gabinetu. Sin miał spędzić przedpołudnie w parlamencie, więc nie musiała się obawiać, że ją zaskoczy. Od Jenny dowiedziała się, że Roman też wyszedł, więc na razie Grafton House był wolny od szpiegów.

Zamknęła drzwi i obrzuciła pokój uważnym spojrzeniem. Po plecach przebiegł jej lekki dreszcz. W tym pomieszczeniu zginął gwałtowną śmiercią człowiek. Dlaczego akurat tutaj? Dlaczego tamtej nocy? Musiały zostać jakieś ślady.

Sinclair przeszukał biurko i nic nie znalazł, ale morderca pierwszy miał okazję usunąć kompromitujące listy lub notatki. Jej mąż zapewne wziął pod uwagę, że ludzie niekoniecznie trzymają prywatne zapiski w widocznym miejscu, ale zważywszy na wielkość gabinetu, mógł coś przeoczyć.

Podeszła do regału stojącego przy drzwiach. Zaczęła kolejno wyjmować i kartkować książki, głównie prawnicze i ekonomiczne, jako że markiz Althorpe bardzo poważnie traktował swoje obowiązki w Izbie Lordów. Szukała uwag na marginesach albo notatek ukrytych między stronicami. Nie wierzyła, że Thomas, tak przecież inteligentny, niczego się nie

spodziewał ani nie obawiał. Mógł na wszelki wypadek schować najważniejsze dokumenty.

Dwie godziny później, gdy otworzyła „Zielnik” Culpepera, który zdjęła z półki przy oknie, na dywan spłynęło kilka pożółkłych kartek.

Przez długą chwilę stała bez ruchu. Zapomniała o obolałych plecach, ubrudzonych dłoniach i zmęczeniu.

- Spokojnie - szepnęła do siebie i uklękła. - To nie musi być nic ważnego.

Rzeczywiście. Trzy stronicie były zapełnione terminami prawniczymi i liczbami. Tu i ówdzie skreślono kilka słów i zastąpiono je innymi, a na marginesach oraz na głównym tekście nabazgrano nieczytelne uwagi.

W tym momencie zaskrzypiały drzwi.

- Victoria?

- Chyba coś znalazłam - powiedziała niepewnym tonem.

Sinclair zbliżył się do niej i przyklęknął.

- Co to jest? - zapytał ostro, biorąc od niej kartki.

- Chyba jakiś projekt. Zdaje się, że dotyczy handlu z Francją.

Mąż pokiwał głową.

- To szkic. Gdzie go znalazłaś?

- W Culpeperze.

- Nic nie rozumiem. Dlaczego, u licha, Thomas miałby projekt wystąpienia parlamentarnego ukrywać w zielniku?

- Żeby nikt go nie znalazł? - podsunęła Victoria.

- Nie doszukuj się nieistniejących tajemnic. Może po prostu zaznaczył sobie miejsce w książce.

- Hm. A interesował się... - Zerknęła na otwartą stronicę. - Trędownikiem, używanym w leczeniu ropiejących ran.

Sin łypnął na nią spode łba.

- Mało prawdopodobne.

- Sinclairze...

- Thomas żądał pozbycia się wszystkich francuskich posiadłości przez angielską szlachtę i zawieszenia handlu z Francją, żeby „dać przykład światu, a zwłaszcza Bonapartemu”. - Podniósł wzrok znad kartki. - Astin pokazał mi część projektu umowy, nad którym pracowali razem z Thomasem. Napomknął, że Marley nie był zadowolony z ich pomysłów.

Victoria oparła się pokusie, żeby stanąć w obronie wicehrabiego i w ten sposób wszczać kolejną sprzeczkę. Ich głównym celem było znalezienie mordercy.

- Czy to ten sam projekt?

- Nie wiem. Stronica, którą przyniósł Astin, jest kompletnie nieczytelna. Podobno Marley wylał na nią porto.

Victoria milczała przez dłuższą chwilę, zastanawiając się, czy powiedzieć mężowi o swoich wątpliwościach.

- Dlaczego lord Kingsfeld ją zachował? - spytała w końcu.

- Nie rozumiem.

- Sam mi wyznał, że zawsze pozbywa się niepotrzebnych rzeczy - wyjaśniła pospiesznie. - Po co więc trzymał nieczytelną kartkę przez ponad dwa lata? I jakim cudem tak szybko ją odnalazł?

Sin nie od razu odpowiedział.

- Nim wyciągniemy pochopne wnioski, musimy poznać losy tego projektu. Wiadomo, że parlament go odrzucił. Przejrzę archiwa i sprawdzę, kiedy to się stało. Wtedy zobaczymy, co dalej.

Wstał z podłogi, odstawił tom na półkę i podał żonie rękę.

- Sinclairze, nie chciałam...

- Dokonałaś odkrycia - przerwał jej burkliwie. - Wkrótce się przekonamy, jak ważnego.

Jadąc faetonem przez Hyde Park, Sinclair zerknął z ukosa na żonę. Przez ostatnie trzy dni była milcząca i zamyślona, rzadko mówiła o śledztwie, nie licząc pytań, czy dowiedział się czegoś nowego. I, dzięki Bogu, znowu dzieliła z nim łożę, z namiętnością i entuzjazmem, które zapierały mu dech w piersiach. Victoria Grafton nie była nieśmiała.

I to właśnie go niepokoiło. Wiedział bowiem, że jego żona nie cofnie się przed niczym, a już na pewno nie dlatego, że on jej czegoś zabroni. Nadal żywiła podejrzenia wobec hrabiego Kingsfelda, ale, o tym nie mówiła.

Włączył się w sznur pojazdów sunący po Rotten Row. Z powodu tłoku rytualne popołudniowe spacerki wydawały się absurdem, lecz miały pewną dobrą stronę: dawały mu pewność, że co najmniej przez godzinę Victoria nie wpadnie w żadne tarapaty.

- Napisałam do mojej przyjaciółki Emmy Grenville - oznajmiła raptem, patrząc na tłumy wypełniające park. - Odpowiedziała mi, że lady Jane Netherby nie uczęszczała do Akademii Panny Grenville.

- Tak czy inaczej to był dobry pomysł - pochwalił żonę.

- Miałeś jakieś wieści od Batesa?

Potrząsnął głową.

- Spodziewam się go dopiero za parę dni. Może odkryje jakichś adoratorów lady Jane.

- Moi rodzice zaprosili nas dzisiaj na kolację.

- Naprawdę?

- Tak. Najwyraźniej udało ci się ich przekonać, że jesteś dżentelmenem.

Nareszcie odrobina złośliwości. Od razu poczuł się spokojniejszy. Z taką Vixen umiał sobie radzić.

- No, dobrze, co tym razem przeskrobałem?

- Nic. Przyjmiemy zaproszenie?

- Nie, jeśli nie chcesz.

- W takim razie znajdę jakąś wymówkę. Tylko sobie pomyślałam, że chciałbyś ich wybadać.

Zmrużył oczy.

- O co chodzi, Victorio?

Odwróciła się do niego po chwili wahania.

- Co zamierzasz zrobić, gdy już będzie po wszystkim?

- Spotkam się z moim doradcą i przejrzę księgi rachunkowe.

- Kiedy złapiesz zabójcę Thomasa - uściśliła.

Wytrzymał jej spojrzenie, próbując odczytać z fiołkowych oczu prawdziwy sens pytania.

- Cóż, arystokraci z zasady są próżniakami.

Wyraz twarzy Victorii pozostał nieprzenikniony.

- Jeśli zamierzasz po całych dniach i nocach siedzieć beczynnie, pić i grać w karty, ja...

- Nie będziesz tego tolerować - dokończył za nią. - Podziwiam twoją pewność, że potrafisz zmienić świat, ale ludzkość jest bardziej zepsuta, niż sądzisz.

- Dlaczego stałeś się cynikiem, Sinclairze? Co takiego w życiu widziałeś?

Wzruszył ramionami.

- Nie powiem.

- Dlaczego? Jestem silna.

- Cii. - Pogłaskał ją po policzku. - Nie o to chodzi. Splotła palce z jego palcami.

- A o co?

- W twojej ufności znajduję pociechę, Victorio.

- Mojej ufności?

- I wrażliwości. Nie chcę ich w tobie zniszczyć. Przez chwilę milczała.

- To miłe, co powiedziałaś - szepnęła w końcu ze łzami w oczach.

- Kiedy śledztwo dobiegnie końca, chyba spróbuję zarządzać posiadłościami Thomasa i interesami rodziny oraz postaram się nie zrobić z siebie osła w parlamencie.

- Ale to już nie są posiadłości twojego brata - zaprotestowała. - Teraz należą do ciebie. Podobnie jak miejsce w Izbie Lordów, Grafton House i...

- I co?

- I ja.

Serce zabiło mu mocniej.

- A ty czego pragniesz? - zapytał.

Posłała mu blady uśmiech.

- Tego samego, co zawsze: być użyteczną.

- Jesteś użyteczna dla mnie.

Victoria zmarszczyła nos.

- Dziękuję, ale niezupełnie o to...

- Seenclair! *Mon amour!*

- Dobry Boże! - mruknął pod nosem.

Ściągnął wodze, żeby nie przejechać jasnowłosej kobiety, która wbiegła na alejkę.

- Panna L'Anjou. Jak się pani miewa?

- *Maintenant, je suis splendide! Comment vas tu? Je t'manque, mon amour.*

Jej towarzystwo, siedzące na kocach parę metrów od ścieżki dla powozów, przyglądało się im z ciekawością; większość oczywiście stanowili młodzi mężczyźni. Sinclair nie śmiał spojrzeć na żonę, ale wyczuł jej nagłe zainteresowanie rozmową. Niestety nie mógł się łudzić, że Vixen nie zna francuskiego.

- Dobrze, dziękuję, panno L'Anjou.

- *Qui est la femme?*

- Ona chce wiedzieć, kim jestem, Sinclairze - szepnęła Victoria z rozbawioną miną.

Sin znalazł się między młotem a kowadłem. Nie miał ochoty przedstawić żony swojej byłej kochance, nie mógł również zignorować Sophie. Pobiegłaby za faetonem, krzycząc ile sił w dobrze wytrenowanych płucach.

- Panno L'Anjou, oto lady Althorpe. Victorio, to jest panna L'Anjou, znana śpiewaczka operowa z Paryża.

- Dzień dobry, panno L'Anjou. Podziwialiśmy niedawno pani występ. Zazdroszczę talentu.

Sophie dygnęła.

- *Merci*, milady. Seenclair często chodzi na moje występy, a jeśli nie może, przysyła mi kwiaty.

- Wyjaśniłem lady Althorpe, że jesteśmy starymi znajomymi - wtrącił Sin pospiesznie.

Nie mógł uciec, bo Sophie stała na drodze faetonu. Tymczasem za nimi utworzyła się kolejka pojazdów, powiększając widownię.

- Skąd pani zna mojego Seena, lady Althorpe? - zapytała śpiewaczka łamanym angielskim.

- Sinclair jest moim mężem - oznajmiła Victoria, nim zdążył otworzyć usta.

Panna L'Anjou wytrzeszczyła oczy.

- Co? Jesteś żonaty, Seen?

- Od niedawna - odparł, siłąc się na lekki ton.

- Ale to niemożliwe. Mówiłeś, że nigdy się nie ożenisz. *Jamais*.

- Ludzie się zmieniają i okoliczności również, pan-no L'Anjou - stwierdził, patrząc na nią spokojnie.

- Ty się nie zmieniasz. Ja to wiem. Żartujesz sobie ze mnie, oui?

- Nie.

W tym momencie Victoria położyła mu dłoń na ramieniu.

- Sinclair nie miał okazji pani powiadomić. Nieoczekiwanie odziedziczył tytuł i majątek, a rodzina nalegała, żeby się ożenił.

Gniew płonący w oczach śpiewaczki trochę przygasał.

- Rozumiem. Szkoda, że straciłeś wolność, Seen. Wiem, jaka była dla ciebie ważna.

- Nie narzekam. A teraz wybacź, czekają na nas.

- Może się zobaczymy, zanim wrócę do Paryża.

Na pewno nie. Sophie za dużo wiedziała o jego niecznych postępkach, a za mało o powodach, dla których tak się zachowywał. Nie chciał ranić żony.

- Może - odparł wymijająco i zaciął konie.

Gdy znaleźli się w bezpiecznej odległości, Yictoria zerknęła na niego z ukosa.

- No więc, powiedz mi, czy ty...

- Przepraszam. Mam nadzieję, że nie wprawiłem cię w zakłopotanie.

- Nie, tylko chciałabym wiedzieć, czy świadomie zламаłeś jej serce.

- Nie zламаłem jej serca. Nie wątpię, że Sophie je ma, ale jest ukryte głęboko pod żądzą sławy i upodobaniem do młodych, bogatych mężczyzn.

- Ale ty... byłeś z nią, prawda?

Sposępniał.

- Potrzebowałem jej zaufania. Nic głębszego nas nie łączyło.

- W takim razie bardzo mi przykro.

- A z jakiego powodu, na litość boską?

- Z powodu tego wszystkiego, przez co musiałeś przejść. Powrót do Anglii nawet w normalnych okolicznościach byłby trudny, a tu jeszcze śmierć brata, odziedziczenie tytułu, nowe obowiązki...

- Nie jestem jedną z twoich sierotek, Vixen. Sam wybrałem sobie takie, a nie inne życie. Thomas był gotowy kupić mi stopień kapitana, ale odmówiłem.

Zajrzała mu w oczy.

- Zginął nie z twojej winy, przecież wiesz.

Jednak dostrzegła pęknięcie w jego zbroi i oczywiście wbiła w nie miecz, prosto w serce.

- Nie wiem. Jego śmierć mogła mieć coś wspólnego z projektem, który znalazłaś. Thomas najpierw chciał zapobiec wojnie, a później dążył do jej szybkiego zakończenia, bo ja byłem w samym środku wydarzeń.

Victoria nie wyglądała na zdeprymowaną jego gwałtownością. Na jej twarzy malowała się powaga i zamyślenie.

- Nie znałam dobrze twojego brata, ale wiem, że był bardzo mądrym i rozważnym człowiekiem. Skąd wiesz, że nie robiłby tego samego, nawet gdyby nie zaczął pracować dla ministerstwa wojny?

Sinclair milczał przez długą chwilę. W jego głosie kłębiło się tyle sprzecznych myśli, że nie potrafił znaleźć odpowiednich słów. W końcu westchnął głęboko.

- Nic nie rozumiem. Przedstawiam ci jedną ze swoich byłych kochanek, a ciebie bardziej obchodzi to, czy czuję się winny śmierci brata.

- Szczerze mówiąc, już wcześniej podejrzewałam, że znasz Sophie UAnjou lepiej, niż można by sądzić, więc mnie zbytnio nie zaskoczyłeś.

- Naprawdę?

- Tak. Czerwieniłeś się wtedy w operze.

Faeton zatrzymał się raptownie.

- Wcale nie.

Victoria z uśmiechem 'wyjęła mężowi wodze z rąk i cmoknęła na zaprzęg.

,' - Wyczułam, że coś cię dręczy.

Dobry Boże. Nie zdawał sobie sprawy, że tak łatwo go przejrzeć. Jednocześnie sobie uświadomił, że sam mało wie o żonie. Potrzebowałyby całego życia, żeby ją lepiej poznać. Miał nadzieję, że otrzyma tę szansę.

- Co najbardziej lubisz? - zapytał.

- Słucham?

- Co lubisz robić?

- Dlaczego pytasz?

Nie mógł winić jej za podejrzliwość. Do tej pory rzadko zadawał pytania bez ukrytego motywu.

- Z ciekawości. Jako świeżo upieczony mąż próbuję dowiedzieć się czegoś o własnej żonie.

Na jej twarzy pojawił się wyraz zastanowienia.

- Nie jestem pewna, czy tak właśnie postępują mężowie.

- Oboje wiemy, że nie spisuję się dobrze w tej roli.

Victoria zarumieniła się uroczo.

- Wcale nie.

- Dzięki. A teraz zaspokój moją ciekawość i powiedz, co lubisz najbardziej.

W tym momencie powóz skręcił w krzaki. Sinclair czym prędzej chwycił wodze i zawrócił faeton na drogę.

- Powożenie nie jest jedną z twoich ulubionych rozrywek, prawda?

Victoria pokazała mu język.

- Kiedy jestem na wsi, lubię jeździć konno. Mama zawsze twierdziła, że jestem łobuziakiem, bo nienawidziłam starej szkapy, którą z uporem dla mnie siodłali. Kazałam na niej jechać stajennemu, a sama brałam jego konia.

Sin zanotował w myślach, żeby przygotować jej w Althorpe wierzchowca z temperamentem... ale jednocześnie łagodnego.

- Co jeszcze?

- Oczywiście lubię zajmować się swoimi podopiecznymi.

Zerknęła na niego z ukosa. Sądząc po wyrazie twarzy, chyba się spodziewała, że zacznie z niej żartować jak wtedy, gdy po raz pierwszy wspomniała o obiedzie charytatywnym.

- Czy cię uprzedzałem, że od czasu do czasu zdarza mi się ślinić i wygadywać głupoty?

- Wcale się nie ślinisz.

- Cóż, zasłużyłem sobie na przyganę.

Roześmiała się.

- W porządku. Moją ulubioną rozrywką jest paplanie z przyjaciółmi... - Raptem spochmurniała.

- Jestem ci winien przeprosiny. Zrobiłem podejrzanych ze wszystkich twoich znajomych.

- To nie twoja wina. Niektórzy z nich... tak naprawdę nie byli moimi przyjaciółmi. Lepiej się tego dowiedzieć wcześniej niż za późno.

Jej wspaniałomyślność sprawiła, że Sinclair poczuł się jak ostatni drań.

- Zaprośmy na przyjęcie tych, których sama wybierzesz. Żadnych podejrzanych. Co ty na to?

Nachyliła się i cmoknęła go w policzek. Skorzystał z okazji i sięgnął ustami do jej warg. Usłyszał żartobliwe komentarze spacerowiczów, ale je zignorował. Victoria należała do niego. Pragnął, żeby wszyscy o tym wiedzieli.

- Zgoda, jeśli zaprosisz również swoich przyjaciół.

- Do licha, nie mogę ich zdemaskować! Ufasz mi czy nie?

- Wojna się skończyła. Zaproś ich albo nie, jak sobie życzysz. Ja tylko mam nadzieję, że kiedyś zechcą wrócić do normalnego życia.

Jej fiołkowe oczy wręcz błagały, żeby nie robił wielkiej sprawy ze zwykłego przyjęcia.

- Zaproszę ich - burknął.

- Dziękuję.

Chociaż raz ją uszczęśliwił i poczuł, że lżej mu na sercu. Wiedział jednak, że stan zadowolenia z siebie długo nie potrwa, bo właśnie naraził kolegów na niebezpieczeństwo, żeby sprawić przyjemność żonie. A oni szybko się tego domyśla.

Lucy Havers wierciła się na krześle w pokoju muzycznym, podczas gdy lady Prentiss szykowała swoją córkę Pauline Jeffries do występu w popołudniowym recitalu. Victoria gawędziła w przedpokoju z lordem Kilcairem.

Marley opierał się o marmurową kolumnę i obserwował gości. Przyszedł późno, ale zamierzał wyjść, nim Pauline zacznie znęcać się nad fortepianem.

Vixen wyglądała na bardzo zaabsorbowaną, a przerwa miała trwać tylko pięć minut. Rzuciwszy spojrzenie na drzwi, ruszył w stronę samotnej Lucy. Dotknął jej ramienia.

- Widzę, że też jesteś w pułapce - powiedział, siadając obok niej na wolnym miejscu.

Aż podskoczyła.

- O rany! Wystraszyłeś mnie. Co tu robisz? Myślałam, że nie znosisz recitali.

- Przegrałem zakład - wyjaśnił, zerkając przez ramię. - A ty?

- Victoria uwielbia takie okazje. Niedawno towarzyszyła mi u Almacków, więc musiałam się zrewanżować.

- Vixen tu jest? - spytał, udając zdziwienie.

- W drugim pokoju. Nie widziałeś jej?

- Nie - skłamał i przysunął się bliżej. - Althor-

pe'a nie ma, prawda? Już mi się znudziła jego wyniosłość i samozadowolenie.

- Co ty mówisz? - szepnęła. - Lord Althorpe jest bardzo miły, ale nie chciałabym, żeby się na mnie rozgniewał.

Trudno było o istotę bardziej łatwowierną niż Lucy Havers... chyba że Vixen Fontaine.

- Rzeczywiście potrafi być bardzo miły - przyznał Marley. - Jak większość mężczyzn, gdy czegoś chcą. Martwię się o Vixen, kiedy jest sama i bezbronna w jego domu.

- Nigdy by jej nie skrzywdził - zaprotestowała Lucy.

- Może nie fizycznie, ale całe szczęście, że w zeszłym tygodniu byłem u White'a i uciszyłem go, nim zaszkodził jej reputacji.

Panna Havers wytrzeszczyła oczy.

- A co mówił? - spytała szeptem.

- Rzeczy, których młoda dama nie powinna usłyszeć.

- O Vixen?

Marley z powagą skinął głową.

- Był pijany i tylko dlatego nie rzuciłem się na niego z pięściami. - Wziął dziewczynę za rękę. - Jeśli wyczujesz, że grozi jej jakieś niebezpieczeństwo, zawiadom mnie natychmiast. Boję się o nią. Jest... moją dobrą przyjaciółką.

- Muszę z nią o tym porozmawiać.

- Tak uważasz?

Ścisnęła jego palce.

- Tak. Powinna wiedzieć, czego się spodziewać. Na pewno istnieje jakieś rozsądne wyjaśnienie.

- Zależy mi na jej bezpieczeństwie. I brakuje mi naszych wspólnych zabaw.

- Ostatnio jest dużo poważniejsza - stwierdziła panna Havers w zamyśleniu. - Ale nie martw się, będę miała oczy otwarte.

Zabrał rękę i wstał.

- Dziękuję, Lucy. Zobaczymy się wkrótce.

Schował się za kolumną, zanim Victoria wróciła na swoje miejsce. Kiedy Lucy nachyliła się i zaczęła coś do niej szeptać, uśmiechnął się do siebie. Wymykając się ukradkiem z salonu, omal nie pogwizdywał.

- Sinclairze, nie musisz tego robić.

Victoria stała przy oknie, gdy jej mąż, w samej koszuli z podwiniętymi rękawami, przemeblowywał z armią lokajów gabinet na parterze. Właśnie wspólnymi siłami próbowali dźwignąć ciężkie mahoniowe biurko Thomasa.

- Mówiłaś, że przechodzą cię ciarki - wysapał Sin. - Ja też czuję się tu nieswojo. Unieś lewy róg, Henley!

- Wiem, ale... Uważajcie!

W ostatniej chwili złapała kryształowy wazon, który chwiał się na półce.

- Niezły refleks. Ale nadal nie zdecydowałaś, gdzie chcesz mieć biurko: pod oknem czy bliżej kominika?

- W Grafton House jest dwadzieścia pokojów. Naprawdę nie musisz tu wstawiać dwóch biurk.

Jakimś cudem udało się im wypchnąć wielki mebel do holu. Chwilę później Sin wsadził głowę do gabinetu.

- Poczekaj chwilę. - Zniknął za drzwiami. - No, chłopcy, chyba zasłużyliśmy na szklaneczkę piwa, nim załadujemy tego potwora na wóz.

Odpowiedziały mu entuzjastyczne okrzyki. Gdy w holu zrobiło się cicho, Victoria odstawiła wazon na półkę. Gabinet wyglądał teraz na dużo bardziej przestronny. W miejscu, gdzie stało biurko Thomasa, dywan był ciemniejszy, ale wolała się nie zastanawiać, czy to od krwi.

- Dużo lepiej, nie sądzisz? - zapytał Sinclair, otrzepując spodnie z kurzu.

On również powędrował wzrokiem ku ciemnej plamie. Zacisnął pięści.

- Tak - przyznała wesołym głosem. - Ale ta zmiana nie była konieczna.

Podszedł i objął ją w talii władczy gestem, od którego zaparło jej dech w piersiach.

- Już za późno. Chyba umieścimy cię przy oknie. Słońce będzie zabarwiało na brązowo twoje włosy.

- Mam swoje biurko na górze.

Ujął ją pod brodę.

- Tamto maleństwo? Nadaje się wyłącznie do pisania listów. Gabinet jest do prowadzenia interesów. Jeśli mam połowę życia spędzać na prowadzeniu ksiąg, chciałbym przynajmniej móc patrzeć na ciebie.

Do tej pory unikał mówienia o przyszłości, a tu raptem zaczął snuć plany. Victoria wzięła głęboki oddech.

- A co ja będę robić?

- Pracować. Babcia kieruje londyńskim komitetem edukacji.

- Augusta?

- Nie wiedziałaś?

- Nie. Wiem, że należy do kilku organizacji charytatywnych, ale...

- Służba publiczna zawsze cieszyła się wielkim uznaniem w mojej rodzinie, nie licząc oczywiście mnie. Babci Auguście zajmuje dużo czasu.

- A ryzykowanie życia dla kraju nie jest służbą publiczną?

- Dzięki za uznanie. W każdym razie babcia napomknęła, że chętnie zrezygnowałaby z części obowiązków. Jednym słowem potrzebuje zastępczyni.

Victoria uściskała męża.

- Dziękuję.

- Dla ciebie wszystko - wyszeptał jej do ucha.

Dla ciebie też, powiedziała w myślach Victoria. Już nie mogła się doczekać życia, o którym mówił.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, pójdę na obiad z Lucy i Marguerite, podczas gdy ty będziesz kończył urządzenie gabinetu. Nie chciałabym zostać zmiażdżona przez moje nowe biurko.

Sin się zaśmiał.

- Oczywiście. Zresztą muszę załatwić po południu jeszcze kilka spraw. - Pocałował ją w usta. - I zaprosić kilku dżentelmenów na przyjęcie.

Victoria obdarzyła go promiennym uśmiechem i pospieszyła na górę, żeby się przebrać w zieloną wizytową suknię. Z wczorajszej rozmowy z Lucy wynikało, że Marley koniecznie chce się z nią zobaczyć, a ona również miała do niego kilka pytań.

Sinclair z zadowoleniem obrzucił gabinet wzrokiem. Pokój wyglądał zupełnie inaczej z nowym

perskim dywanem i dwoma mniejszymi biurkami w miejsce mahoniowego olbrzyma. Konserwatywny gust Thomasa nie pasował do domu, w którym mieszkała Victoria ze swoją menażerią. Mimo wszystko Sina dręczyło sumienie, że pozbywa się pamiątek po bracie.

- Nie zapomnę - szepnął.

W tym momencie do gabinetu zajrzał Roman.

- Bardzo przytulnie - stwierdził.

- Czy nie miałeś przypadkiem pilnować Victorii?

- Właśnie wychodzi. Cały dzień będziesz się bawił w dom?

- Jeszcze jedna taka uwaga i stracę cierpliwość - warknął Sinclair. - Dziś czwartek. Kingsfeld wybiera się na aukcję koni, więc złożę mu niezapowiedzianą wizytę.

- Chyba nie myślisz, że to on!

- Vixen tak uważa, więc nie zaszkodzi mały rekonesans.

- Powodzenia.

- Nie spuszczaaj oka z mojej żony.

W Hovarth House Sinclair zjawił się przed dwunastą. Wcześniej obliczył, że gospodarz będzie nieobecny jeszcze co najmniej godzinę. Zaskoczony lekkim poczuciem winy, przekazał wierzchowca stajennemu i wszedł po frontowych stopniach. Minęła dłuższa chwila, zanim kamerdyner otworzył drzwi.

- Dzień dobry, Geoffreys.

- Lord Althorpe. Lorda Kingsfelda nie ma w domu. Sin zmarszczył brwi.

- Naprawdę? - Wyjął z kieszeni zegarek i otworzył wieczko. - Do diaska! Jeszcze nie wrócił z aukcji?

- Tak, milordzie. Czy...

- Mogę na niego zaczekać?

Twarz sługi pozostała nieprzenikniona.

- Przykro mi, milordzie, ale pan nie pozwala wpuszczać gości do domu w czasie jego nieobecności.

W głowie Sinclaira rozdzwoniło się kilka dzwonek alarmowych. W pierwszym odruchu chciał wymyślić jakiś powód, dla którego powinien zostać wpuszczony, ale szybko doszedł do wniosku, że jego natarczywość może się wydać podejrzana. Nie zamierzał niszczyć jednej z niewielu przyjaźni z powodu zwykłego przeczucia... albo ryzykować, że spłoszy Kingsfelda, gdyby okazało się, że Vixen ma rację.

- W takim razie znajdę go na aukcji. Dziękuję, Geoffreys.

- Do widzenia, milordzie.

Przeklinając pod nosem, Sin dosiadł Diable i skierował się ku Covent Gardens.

- Co za szczęśliwy zbieg okoliczności! - zawołał Marley, wyskakując z faetonu.

Gdy do niej podszedł, Victoria nie mogła się powstrzymać, żeby nie zerknąć w górę i w dół Bond Street. Każda plotkarka, która zobaczyłaby ją tutaj w towarzystwie wicehrabiego, z przyjemnością podzieliłaby się nowiną z połową Londynu.

- Jak się masz, Marley?

- Na twój widok od razu lepiej. Parrish uparł się wczoraj, żeby pójść do Society Club. Posłuchałem go i skończyło się na wiście z lordem Spenserem. Dobry Boże, co za nudy.

- Nauka cierpliwości wyjdzie ci na dobre.

Obok nich przeszły lady Munroe i panna Pladden. Victoria uśmiechnęła się i skinęła im głową. Do licha! Te kobiety nie wiedziały, co to dyskrecja.

- Dlaczego godzenie się z nieznośną nudą uważasz za cnotę? Ja zamierzam unikać jej zawsze i wszędzie.

- Nie wątpię.

- Mam pomysł - oznajmił Marley z szerokim uśmiechem. - W ogrodzie zoologicznym jest nowa klatka z małpami. Chodźmy je obejrzyć. Kupię ci loda cytrynowego.

- Nie mogę - odparła pospiesznie.

Zależało jej na krótkim spotkaniu, a nie na całym popołudniu z głównym podejrzanym.

- Nonsens - stwierdził wicehrabia, biorąc ją pod ramię. - Mówiono mi, że jedna z małp jest uderzająco podobna do Prinny'ego. Chodź, Vixen. Będzie niezła zabawa.

Przyszło jej do głowy, że jeśli go teraz urazi, może już więcej nie mieć okazji, żeby porozmawiać z nim w cztery oczy.

- Dobrze, ale niedługo muszę wracać.

Gdy wsiedli do faetonu, Marley powiedział:

- Słyszałem, że lady Franton zaczyna wszystkie rozmowy od słów: „No, wicie, ta katastrofa, która wydarzyła się w moim ogrodzie”.

- Katastrofa? - powtórzyła Victoria bez zdziwienia.

- Z pewnością dla całej męskiej populacji Mayfair. - Wicehrabia oderwał wzrok od zatłoczonej ulicy i zerknął na nią z ukosa. - Dla mnie również.

Zmusiła się do uśmiechu.

- Nie mogłam dłużej tak się zachowywać. Rodzice w końcu oddaliby mnie do klasztoru.

- Gdybyś wytrwała do czasu przejęcia dziedzictwa, żyłabyś potem tak, jak byś chciała.

- Beztróskie życie znudziłoby mi się prędzej czy później, nie sądzisz?

Marley wzruszył ramionami.

- Zawsze dobrze się bawiliśmy.

Wolała mu nie mówić, że już przestały ją interesować dzikie eskapady, które w rezultacie ściągały na nią kłopoty.

-Tak.

Jej towarzysz parsknął śmiechem.

- Pamiętasz, jak lord Edward i ja ukradliśmy sztuczne ognie z magazynu w Vauxhall?

- Tak. Omal nie spaliliście Tower Bridge, próbując je wystrzelić.

Wicehrabia raptem się nachylił i pocałował ją w usta. Victoria z trudem się pohamowała, żeby go nie odepchnąć.

- Marley! Jestem mężatką!

- I co z tego? Twój mąż w tej chwili pewnie robi to samo. Słyszałem, że Sophie L'Anjou była w Paryżu jego kochanką. Dziwne, że przyjechała do Londynu tuż po jego powrocie. Sądzisz, że to zbieg okoliczności?

Wierzyła Sinowi, ale mimo wszystko zapytała:

- A uważasz, że jest inaczej?

Teraz zrozumiała, jak przez ostatnie lata musiał się czuć jej mąż, zagłuszając własne sumienie.

- Wcale bym się nie zdziwił. Pomyśl o sobie, Vix. Kiedyś, jeszcze parę tygodni temu, lubiłaś, jak cię

całowałem. Nic nie musi się zmienić między nami.

już się zmieniło. Nie chciała, żeby całował ją lub dotykał inny mężczyzna niż Sinclair. Tylko przy nim mocniej biło jej serce, puls przyspieszał.

- Sama nie wiem. Może gdybyś mi powiedział, dlaczego tak bardzo go nie lubisz...

Marley zaśmiał się z goryczą.

- A potrzebny jest inny powód oprócz tego, że ukradł mi ciebie?

- Nie znosiłeś go już tamtego wieczoru u Frantónów, zanim doszło do tej... katastrofy.

Zmarszczył brwi.

- Nie sądzę, żeby cię to interesowało.

Dawna Vixen nie powinna być zbyt podejrzliwa ani bać się wiernego adoratora. Szturchnęła go w ramię.

- Oczywiście, że mnie interesuje. Mieszkam z nim pod jednym dachem, a ty jesteś moim najbliższym przyjacielem. Cenię twoją opinię.

Zawsze wiedziała, jak postępować z Marleyem. Teraz też osiągnęła zamierzony cel.

- Szkoda, że ją zlekceważyłaś, kiedy cię ostrzegałem, żebyś z nim nie tańczyła - powiedział, przysuwając się bliżej na wąskim siedzeniu.

- Następnym razem cię posłucham - obiecała.

- To znaczy, że będzie następny raz, Vix?

- Zależy, czy mnie przekonasz, żebym unikała Althorpe'a.

W duchu podziwiała się za swobodny, naturalny ton. Była wręcz zdumiona, że tak dobrze jej idzie.

- Nie ufam mu - rzekł Marley. - Brat przestaje go utrzymywać, a jemu mimo to żyje się we Francji całkiem nieźle. Później przez dwa lata nie kwa-

pi się z powrotem do domu i przejściem okazałego majątku.

- Został wydziedziczony?

Wicehrabia skinął głową.

- Wszyscy o tym wiedzą. Thomas chciał kupić mu stopień oficerski, ale Sin stanowczo odmówił. Chyba wiedział, że może znacznie mniejszym wysiłkiem zarobić pieniądze, w dodatku nie narażając się na śmierć.

Niewykluczone, że jej mąż sam wymyślił tę historijkę. Victoria stłumiła gniew i oburzenie. Sinclairowi zależało na utrzymaniu w tajemnicy prawdziwych powodów wyjazdu z Anglii.

- Jeśli nawet zbił w czasie wojny fortunę, to nie on jeden - zauważyła.

- Owszem, ale tylko jego brat tak gwałtownie sprzeciwiał się handlowi z Francją, że w Izbie Lordów zrzucił na podłogę skrzynkę doskonałego szampana.

Victoria wytrzeszczyła oczy.

- Myślisz, że Sinclair zabił Thomasa?

- Wcale bym się nie zdziwił. Poprzedni markiz bardzo niechętnie mówił o bracie.

Na szczęście znała przyczynę tej niechęci.

- Nie wiedziałam, że tak dobrze znałeś lorda Althorpe. Nigdy mi o tym nie wspominałeś.

Gdy dotarli do ogrodu zoologicznego, Marley stanął w długim rzędzie powozów, zeskoczył na ziemię, obszedł faeton i podał jej rękę.

- Byliśmy przyjaciółmi, póki nie zaczął się domagać, żeby wszyscy sprzedali swoje francuskie posiadłości. W końcu nie chciał nawet siadać z nami

do stołu. Muszę przyznać, że bardziej brakuje mi jego brandy niż jego samego.

On tego nie zrobił, stwierdziła Victoria. Tak naprawdę nie obchodziły go poglądy Thomasa, a jedynie je tolerował, bo lubił jego trunki. Poza tym był wiecznie zaabsorbowany sobą i jak ognia unikał zbędnego wysiłku. Na pewno nie chciałoby mu się knuć skomplikowanych intryg.

- Chyba zemdleję - powiedziała niepewnym głosem. - Sinclair Grafton mordercą? Dlaczego mnie nie uprzedziłeś, zanim poszłam z nim tańczyć?

- Próbowałem. A tymczasem, póki Sin kontynuuje znajomość ze swoją śpiewaczką, nie ma powodu, dla którego my nie moglibyśmy się spotykać.

- Tak sądzisz?

Czuła się jak aktorka na scenie.

- Oczywiście. A jeszcze lepiej, gdybyśmy przekonali Althorpe'a, żeby płacił nam... powiedzmy pięć tysięcy funtów rocznie za to, że zachowamy dla siebie nasze podejrzenia.

Przez chwilę korciło ją, żeby roześmiać mu się w twarz.

- A jeśli postanowi mnie uciszyć? Nie zapominaj, że mieszkam z nim pod jednym dachem.

- Nie odważy się. Wszyscy od razu by się domyślili, że zabił również Thomasa.

- Co dla mnie byłoby niewielką pociechą - stwierdziła sucho.

Gdy zmierzył ją badawczym wzrokiem, uświadomiła sobie, że kpiny nie są najlepszą taktyką. Nagle udała wielkie zainteresowanie bajecznie kolorowymi papugami z Ameryki Południowej.

- Potrzebuję cię, Vixen - szepnął Marley.
I moich pieniędzy. Spojrzała mu w oczy.
- Daj mi trochę czasu. Jak na jedno popołudnie
dużo się dowiedziałam. Chcę wszystko przemyśleć.
- Oczywiście, ale musisz mi zaufać. Jestem dla cie-
bie stworzony. Sin Grafton nigdy mi nie dorówna.
Nie miał nawet pojęcia, jak bardzo się mylił.

Astin Hovarth ściągnął wodze gniadego wałacha i zza dużego wozu pocztowego obserwował, jak Sin Grafton wraca do swojego wierzchowca i odjeżdża w stronę Covent Gardens. Uśmiechnął się do siebie i zastanawiał przez chwilę, czy go dogonić i przekazać nowo odkryty dowód w sprawie Thomasa, ale szybko zarzucił ten pomysł. Doszedł do wniosku, że fragment listu, użyty do zaznaczenia strony w książce, lepiej będzie wręczyć wieczorem przy kieliszku porto.

Gdyby wiedział, że po dwóch latach nowy markiz Althorpe zacznie grzebać w przeszłości, już dawno by się postarał, żeby znaleziono mordercę i doprowadzono go przed oblicze sprawiedliwości. Teraz musiał tracić czas i narażać się na kłopoty.

Upewniwszy się, że Grafton nagle nie wróci, ruszył ku Bolton Street. Do diabła z Thomasem! Dlaczego nie ujawnił, co jego marnotrawny brat robił w Europie? Byli przecież przyjaciółmi; mógł wspomnieć, że cholerny Sin pracuje dla cholernego ministerstwa wojny, że jest szpiegiem.

Nie sądził, żeby ta przywidła piękność Jane Netherby miała ochotę dzielić się podejrzeniami. Natomiast jeśli chodzi o tę ślicznotkę, żonę Sina, lepiej niech trzyma język za zębami. Inaczej będzie musiał zainteresować się jej przyjaźnią z Thoma-

sem albo Marleyem. Pikantne szczegóły z pewnością odwróciłyby uwagę Graftona od śledztwa, przynajmniej do czasu zebrania dowodów winy Madsena. Astin znowu się uśmiechnął. Ale niespodzianka czeka wicehrabiego!

Victoria poprosiła Marleya, żeby wysadził ją na rogu Bruton Street i Berkeley Place. Oczywiście próbował ją pocałować, ale uchyliła się przed jego ustami.

Idąc przez pół kwartału do Grafton House, zastanawiała się, jak powiedzieć Sinowi o swoich odkryciach, żeby nie wzbudzić jego gniewu. Nie mogła się przyznać, że spędziła pół popołudnia w towarzystwie wicehrabiego, zwłaszcza że na koniec chciała zapewnić męża o jego niewinności.

Gardziła wykrętami i kłamstwami, a poza tym zdawała sobie sprawę, że Sinclair ma większą wprawę w omijaniu prawdy niż ona.

- Dzień dobry, milady.

- Dzień dobry. Czy lord Althorpe wrócił?

Milo wziął od niej szal i kapelusz.

- Jeszcze nie, milady. Życzy sobie pani herbaty?

Nie było jej przez prawie cztery godziny, a o ile się orientowała, Sin nie miał tego dnia innych zajęć oprócz zaproszenia swoich trzech kolegów na przyjęcie. Poczuła lekkie ukłucie niepokoju. A jeśli jej mąż jest teraz z Kingsfeldem, obecnie głównym podejrzanym? Na pewno nie będzie się strzegł przed rzekomym przyjacielem.

Wyrwała kapelusz z rąk zdziwionego kamerdynera.

- Muszę załatwić jeszcze jedną sprawę - oznaj-

miła, zawiązując wstążki pod brodą. - Sprowadź Romana, proszę.

- Nie widziałem go przez cały dzień, milady.

- Pojechał z lordem Althorpe?

- Raczej nie. Coś się stało?

- Nie.

Wiedziała, że przyjaciele Sinclaira mieszkają na Weigh House Street. Może chociaż ich zdołałaby przekonać.

- Lady Althorpe?

- Czy ktoś przekazywał listy lady Stanton?

Milo poczerwieniał na twarzy.

- Nic mi nie wiadomo o prywatnej korespondencji lorda Althorpe. Ja...

- Mniejsza o to. Kto ją dostarczał tej osobie?

- Pewnie Hilson, milady. To dobry chłopak, ale trochę...

- Chciałabym z nim porozmawiać. Natychmiast.

Z coraz większym trudem nad sobą panowała. Tylko ona w całym domu miała świadomość zagrożenia.

- W tej chwili, lady Althorpe. - Kamerdyner uklonił się i pospieszył do kuchni.

Wkrótce w holu pojawił się młody służący, wyraźnie zdenerwowany.

- Milady? - wymamrotał, kręcąc guzik liberii.

Uśmiechnęła się łagodnie.

- Znasz adres lady Stanton, Hilson?

-Ja...

Milo trącił go w plecy.

- Tak, milady.

- To dobrze. Zawieź mnie tam, proszę.

Chłopak zbladł.

- Teraz, milady?

Kiedys musi opowiedzieć Sinclairowi, jak bardzo służba troszczy się o jej samopoczucie... albo raczej o jego romanse. Gdyby nie wiedziała, kim jest lady Stanton, bardzo by się rozgniewała. W koflcu jednak zdenerwowanie wzięło górę nad poczuciem humoru, tak że omal nie podniosła głosu.

- Nie powozisz, jak przypuszczam? Milo, wezwij dorożkę.

- Dorożkę, lady Althorpe?

Victoria zamknęła oczy i policzyła do trzech.

-Tak.

Kamerdyner się wyprężył.

- Oczywiście, milady. Zajmę się tym niezwłocznie.

- Dziękuję..

Wydawało się jej, że minęła godzina, ale w rzeczywistości czekała z Hilstonem na frontowych schodach nie dłużej niż pięć minut. Dorożka, która zajechała przed bramę, była z opłakanym stanie, a zabiedzonego konia Milo musiał niemal ciągnąć za ucho-

- Jest pani pewna, milady? Może lepiej każę Orserowi przygotować powóz lorda Althorpe- Będzie gotowy za dziesięć minut.

- Nie trzeba. Hilson, siądź obok woźnicy i wskaż mu drogę - poleciła Victoria, gramoląc się do małego, cuchnącego wnętrza.

- Lady Althorpe, co mam powiedzieć markizowi, gdy wróci do domu? - zapytał kamerdyner.

- Że pojechałam z wizytą do lady Stanton i niedługo wrócę.

Milo odsunął się od drzwi i dorożka z turkotem potoczyła się ulicą.

W Akademii Panny Grenville uczono dziewczęta, że prawdziwa dama zawsze jest cierpliwa, spokojna i opanowana. Wyglądając to przez jedno, to przez drugie okno powozu, Victoria doszła do wniosku, że ta zasada nie dotyczy młodych żon, których mężowie są byłymi szpiegami, obecnie szukającymi morderców. Gdyby coś stało się Sinclairowi...

Na samą myśl zrobiło się jej słabo, ale zaraz się pocieszyła, że Sin na pewno sobie poradzi. Ostatecznie przeżył pięć lat w kraju wroga. Teraz nie grozi mu większe niebezpieczeństwo tylko dlatego, że zabójcą jest prawdopodobnie jeden z najbliższych przyjaciół jego brata... Przynajmniej taką miała nadzieję.

Już miała się wychylić i zapytać Hilsona, czy nie pomylił drogi, gdy pojazd stanął.

- Jesteśmy na miejscu, milady - oznajmił służący.

- Odpraw dorożkę i zaczekaj na mnie.

- Ale...

Bez słowa pospieszyła w stronę niewielkiego domu i sięgnęła do ciężkiej kołatki. Gdy drzwi się otworzyły, wypuściła powietrze z płuc. Nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, że wstrzymuje oddech.

- Muszę się zobaczyć... - Urwała raptownie. - Pan jest Wally.

Krępy, łysiejący mężczyzna zerknął ponad jej ramieniem na ulicę, a następnie przeniósł na nią zdziwiony wzrok.

- Tak.

- Mogę wejść?

- Proszę.

Gospodarz usunął się na bok, wpuszczając ją do środka, po czym zamknął drzwi.

- Jest Sinclair?

- Nie wiem.

Z pokoju znajdującego się po lewej stronie korytarza dobiegły kroki, a po nich męski głos:

- No, no, interesujące.

Od razu poznała miękki szkocki akcent.

- Pan Harding. Szukam męża.

Jasnowłosa wielkolud skrzyżował ramiona na piersi i oparł się o futrynę.

- Nie ma go tutaj. Skąd pani wiedziała, gdzie nas szukać, lady Althorpe?

- Wzięłam ze sobą Hilsona, lokaja, który dostarczył lady Stanton listy od Sinclaira.

- Kogoś jeszcze? Pokojówkę albo któregoś z małych ulubieńców?

- Crispin! - syknął Wally.

- Nikogo. Wie pan, gdzie jest Sinclair, czy mam sama go poszukać?

- Uważam, że to sprawa Sina, dokąd się wybrał.

Gdyby była mężczyzną, rzuciłaby się na niego z pięściami. Jako kobieta musiała w inny sposób skłonić obu do pomocy.

- Oczywiście ma pan rację. - Westchnęła przeciągle. - Po prostu nie wiem, gdzie jeszcze mogłabym pojechać. Jesteście najbliższymi przyjaciółmi Sinclaira i trudno mi sobie wyobrazić, żeby zniknął, nic wam nie mówiąc.

- Od jak dawna go nie ma? - zapytał Harding z wyraźną niechęcią.

- Od paru godzin. Powiedział, że jedzie zobaczyć się z wami. Czy przynajmniej tu dotarł?

- Crispin siedział w domu przez całe popołudnie

- odezwał się Wally. - Nie widziałaś Sina, prawda?
Szkot nachmurzył się jeszcze bardziej.

- Nie. Zaparz herbaty dla lady Althorpe.

- Dobrze.

Wally oddalił się pospiesznie w głąb domu.

- Dziękuję. Nie wiedziałam, co robić dalej.

- Proszę pójść ze mną, milady.

Crispin zniknął w pokoju, z którego niedawno wyszedł. Victoria ruszyła za nim. W progu przystanąła.

Ogromny stół zajmujący środek pomieszczenia wskazywał, że to jadalnia, ale mieszkańcy najwyraźniej jedli posiłki gdzie indziej. W jednym końcu dębowego blatu leżały rozrzucone, papiery, a resztę powierzchni zajmowała kolekcja niedużych drewnianych pudełek i figur szachowych oznaczonych małymi flagami. Zaintrygowana podeszła bliżej i spojrzała na chorągiewkę przyczepioną do czarnego pionka.

- Lord Keeling, od ósmej do ósmej trzydzieści wieczorem - przeczytała na głos i podniosła wzrok na Szkota. - To mapa Mayfair, prawda?

- Tak.

Pochyliła się niżej.

- A to pudełko pośrodku to Grafton House. - Wolno obeszła stół. - Jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałam. Zaznaczyliście, gdzie kto był w noc zabójstwa Thomasa.

Harding skinął głową.

- Sin miał rację co do pani.

- W jakiej kwestii?

- Zapewniał, że jest pani bardzo bystra,

Victoria oblała się rumieńcem.

- Dlaczego zadaliście sobie trud sporządzenia tego planu?

- Tak jest łatwiej niż na papierze. Gdy dostajemy nową informację, po prostu przesuwamy obiekt obserwacji.

- Mogę zadać panu pytanie, panie Harding?

- Czy nie po to pani tu przyszła? - odparował, nie ruszając się ze swojego posterunku przy ścianie.

- Między innymi. Gdzie umieściliście lorda Marleya?

- Nigdzie.

- Jak to?

- O ósmej tamtego wieczoru był u White'a. Nie wiemy, dokąd stamtąd się wybrał. Wrócił do domu, po czym odjechał gdzieś swoim powozem. Zjawił się dopiero przed świtem. Wcześniej nikt go nie widział.

- A lord Kingsfeld?

Crispin przestąpił z nogi na nogę.

- Kingsfeld?

Victorię ogarnął gniew. Najwyraźniej Sinclair nie uznał za stosowne poinformować kolegów o jej wątpliwościach co do Astina Hovartha.

- No, tak, człowiek, który zawsze uchodził za przyjaciela Thomasa, jest poza wszelkim podejrzeniem.

- W pani tonie wyczuwam nutę sarkazmu - stwierdził Szkot, ale wyglądał raczej na zaintrygowanego niż poirytowanego. - Sin nie zgadza się z pani opinią.

- Istotnie. A ja nie chcę, żeby coś mu się stało tylko dlatego, że nie raczył mnie posłuchać. - *Głos* się jej załamał. - Nawet nie zamierza sprawdzić tego tropu.

- Sin zwykle się nie myli. W przeciwnym razie już dawno wszyscy byłibyśmy martwi.

- Wiem, ale dlaczego jest taki uparty?

- Dobrze mieć współników, bo kiedy człowiek patrzy w jednym kierunku, inni pilnują jego pleców - stwierdził Szkot enigmatycznie.

Victoria zrozumiała jego uwagę w ten sposób, że sam postanowił zająć się Kingsfeldem. W jej oczach zakręciły się łzy ulgi. Ostatnio stała się bardzo płacziwa.

- Dziękuję, panie Harding.

- Najlepiej, żeby pani teraz wróciła do domu. Wolałbym nie wyjaśniać Sinowi, co pani tu robiła.

- Ja również. - Zawahała się. - Panie Harding?

- Tak?

Podeszła do niego z wyciągniętą ręką.

- Sądzę, że pragniemy tego samego.

Ujął jej dłoń.

- Mam nadzieję. Ze względu na nas wszystkich.

W miarę jak mijało popołudnie, Sin coraz bardziej żałował, że jednak nie ogłuszył Geoffreysa i nie przeszedł do domu Kingsfelda. Earl nie pojawił się na aukcji koni ani w żadnym ze swoich klubów, nie wybrał się również na przejażdżkę do Hyde Parku.

Gdy Sinclair wrócił zmęczony do domu, nie był w nastroju do rozmowy, więc zwykłą mrukliwość kamerdynera przyjął z ulgą. Stwierdziwszy, że drzwi oranżerii są zamknięte, po chwili wahania ruszył do swoich pokojów.

- Kieliszek porto, jeśli łaska! - zawołał od progu. Lokaj wyszedł z garderoby.

- Zdaje się, że będziesz potrzebował czegoś mocniejszego, Sin.

- Dlaczego? Co się stało?

Roman podszedł do barku i nalał szklaneczkę whisky, przez cały czas mamrocząc coś pod nosem.

- Mów!

- Zgubiłem twoją żonę - wyznał lokaj, cofając się przeczornie.

- Co?!

- To nie była moja wina. Skąd miałem wiedzieć, że wsiądzie do powozu i...

Sin odstawił szklanekę z taką siłą, że połowa zawartości wylała się na stolik.

- Nie chcę słyszeć żadnych głupich wymówek. Gdzie ona jest? - Ogarnął go strach. - Gadaj natychmiast!

- Dobrze, dobrze. Ruszyła spacerkiem do domu panny Lucy, ale potem zmieniła kierunek i udała się na Bond Street. Dziesięć minut później obok niej zatrzymał się Marley i wyskoczył z faetonu. Minutę później ona wsiadła razem z nim i odjechali. Zanim złapałem dorożkę, zniknęli mi z oczu. Szukałem...

- Zamknij się - warknął Sinclair. - Muszę pomyśleć. - Gdy ruszył do okna, Roman przeczornie usunął mu się z drogi. - Jesteś pewien, że to był Marley?

- Oczywiście. Jaki szpieg...

- Taki, który nie potrafił przypilnować mojej żony!

- Sin...

- Sprawdziłeś, czy nie wróciła do domu, podczas gdy ty miotałeś się bez sensu?

- Pytałem twojego kamerdynera, ale tylko spiorunował mnie wzrokiem, jak zawsze.

-Milo!

Sinclair podbiegł do drzwi i otworzył je szarpnięciem. Dobry Boże, przecież ostrzegał ją przed Marleymem. Dlaczego, na Lucyfera, wsiadła z nim do powozu?

W tym momencie na szczycie schodów pojawił się kamerdyner.

- Milordzie?

- Widziałeś po południu moją żonę?

Milo łypnął na lokaja, który stał pośrodku sypialni z miną skazańca.

- Tak, milordzie.

- Gdzie i kiedy?

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, ty...

- Zamilcz, Romanie! Milo, mów.

- Lady Althorpe pojechała z Hilsonem do... lady Stanton, milordzie. Powiedziała, że niedługo wróci.

Sin zamknął oczy. Z ulgi niemal zakręciło mu się w głowie.

- Dzięki Bogu - wyszeptał. - Dzięki Bogu.

- Czy coś się stało, mi...

Grafton chwycił sługę za kłapy liberii i wciągnął go do pokoju.

- Dość tego! - huknął. - Możecie się nie lubić, ale nie wolno wam narażać mojej żony na niebezpieczeństwo. Będziecie tu siedzieć, póki nie dogadacie się ze sobą albo nie pozabijacie.

Wypadł na korytarz i zatrzasnął za sobą drzwi.

Victoria właśnie wchodziła na ostatni stopień schodów.

- Czyżbym słyszała twoje wrzaski?

Miał ochotę nią potrząsnąć, ale opanował się całą siłą woli i patrzył, jak idzie w jego stronę. Tak

mocno zaciskał szczęki, że nie wykrztusiłby ani słowa. Zresztą i tak nic nie przychodziło mu do głowy. Paraliżujący strach zmieszany z gniewem był dla niego zupełnie nowym uczuciem.

Vixen dotknęła jego policzka.

- Martwiłam się o ciebie - powiedziała cicho.

- Ty... martwiłaś się... o mnie? - powtórzył zduszonym głosem.

Opuściła rękę.

-Tak.

- Gdzie byłaś?

Wytrzymała jego wzrok.

- Musimy porozmawiać. Na osobności.

- Dobrze.

Gdy weszli do biblioteki, Victoria stanęła pod oknem.

- Opowiedz mi o obiedzie z Lucy i Marguerite.

- Chętnie, jeśli ty mi powiesz, czy twoi przyjaciele przyjdą na kolację.

- Więc to tak? Próbujesz moim drobnym opóźnieniem usprawiedliwić swoją przejażdżkę z Marleyem.

Pobladała.

- Skąd wiesz?

- Roman cię widział. I nie próbuj mi wmówić, że to nie byłaś ty.

- Niczego nie zamierzam ci wmawiać. Kazałeś mnie śledzić? Nie ufasz mi ani trochę, Sinclairze?

- Nie odwracaj kota ogonem. To ty pojechałaś z Marleyem, choć mówiłaś, że wybierasz się na obiad z przyjaciółkami.

- A ciebie nie było tam, gdzie miałaś być! - odparowała. - Szukałam cię!

Po co?

- Ha! Nic ci nie powiem. - Przez chwilę mierzyła go pałającym wzrokiem, po czym odwróciła się do okna. - I tak mi nie uwierzysz. Nigdy mi nie wierzysz.

Sinclair zrozumiał, że przegrał sprzeczkę w chwili, gdy pozwolił żonie otworzyć usta. Opadł na sofę z głębokim westchnieniem.

- Spróbuj.

Victoria tak mocno zacisnęła pięści, że kostki jej zbiały.

- Któregoś dnia Marley wyznał Lucy, że bardzo się o mnie martwi, i zasugerował jej, żeby ostrzegła mnie przed tobą. Zaaranżowałam więc przypadkowe spotkanie, żeby wy badać, o co mu naprawdę chodzi. Zrobiłam to w tajemnicy, bo wiedziałam, że nie pochwalisz mojego pomysłu.

- I słusznie przypuszczałaś - burknął. - Na Boga, Victorio! - Na moment głos uwiązł mu w krtań. - Mogła ci się stać krzywda.

- Byliśmy w miejscu publicznym. W każdym razie usiłowałam cię przekonać, że romansujesz z Sophie L'Anjou, i dlatego ja powinnam mieć romans z nim.

Sinclair zerwał się z sofy i podszedł do okna.

- I jak brzmiała twoja odpowiedź?

Rzuciła na niego spojrzenie z ukosa.

- Spytałam go, dlaczego radzi, żebym cię unikała. Odparł, że najprawdopodobniej zabił brata i że to wielka szkoda, bo Thomas Grafton zawsze miał zapas dobrej brandy. Dodał, że moglibyśmy zmusić cię do finansowania naszego romansu, szantażując oskarżeniem o morderstwo. - Zbliżyła się do niego wolno. - Nie wiem, jak cię przekonać,

Sinclairze, ale to nie Marley zastrzelił twojego brata. Jest zbyt leniwy, wygodny i niezdolny do głębszych emocji.

Przez długą chwilę mierzył ją wzrokiem.

- Dowody nadal wskazują na niego.

- Czyje dowody? Kingsfelda?

- Nie tylko. Po co pojechałaś do lady Stanton?

- Bo kiedy wróciłam, nie było cię w domu, a nie dawała mi spokoju myśl, że odwiedziłeś Astina Hovartha i grozi ci niebezpieczeństwo. Twoi koledzy powiedzieli mi, że w ogóle się u nich nie zjawiłeś.

- Wybierałem się do nich, lecz najpierw postanowiłem złożyć wizytę Astinowi i z rezultacie przez cały dzień uganiałem się za nim po Londynie.

- Po co?

- Bo chciałem, żeby mi pokazał resztę dokumentu, nad którym pracowali z Thomasem.

- Wierzysz mi - wyszeptała Victoria.

Ulga malująca się w jej oczach całkiem go rozbroiła.

- Trzeba sprawdzić każdy trop. Gdy nie mogłem znaleźć Hovartha, wstąpiłem do Kilcaina. On nie przypomina sobie, żeby zgłoszono w parlamencie projekt taki jak ten, który znalazłaś w gabinecie Thomasa.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że być może trafiłaś na właściwy ślad. Lecz nadal nie wiadomo, kto pociągnął za spust. Motyw Marleya znam, natomiast o pobudkach Kingsfelda nie mam pojęcia. - Zamknął oczy. - Ale się dowiem.

Victoria objęła męża i przytuliła twarz do jego piersi.

- Tak czy inaczej jesteś już blisko celu - szepnęła. - Tylko proszę, bądź ostrożny.

- Ty również. Żadnych więcej spotkań z Marleyem.

- Dobrze, ale ty przestań wysyłać Romana, żeby mnie szpiegował.

- W porządku.

Będzie musiał przydzielić to zadanie Wally'emu, póki wszystko się nie skończy.

Otoczył żonę ramionami.

- Na kogo wrzeszczałeś? - zapytała.

- Na Romana i Milo. Kazałem im się zaprzyjaźnić albo pozabijać.

Victoria wybuchnęła śmiechem.

- Stawiam pięć funtów na Romana.

- No, nie wiem. Milo potrafi być wojowniczy i ma dłuższe ręce.

- A jeśli rzeczywiście się pozabijają?

- Oszczędzi mi to wielu kłopotów. - Niechętnie wypuścił ją z objęć. - Widziałaś gabinet?

- Nie. - Wzięła go za rękę. - Pokaż mi.

Kiedyś wyciągnąłby z niej najdrobniejszy szczegół rozmowy z Marleyem i dokładnie go przeanalizował. Crispin na pewno by mu zarzucił, że robi się miękki. Lecz nowy Sinclair wierzył, że Victoria powiedziała mu wszystko, co uznała za istotne. I bardziej go interesowało, czy żonie spodoba się nowe biurko.

Drzwi jego sypialni były nadal zamknięte, ale w środku panowała cisza. Albo dwaj słudzy toczyli kulturalną rozmowę, albo obaj leżeli nieprzytomni.

- Jak myślisz? - szepnęła Victoria.

- Za wcześnie, by coś stwierdzić. Zajrzę do nich, jeśli nie wyjdą do zmierzchu.

- A właściwie dlaczego tak się na nich zdenerwowałaś?

Na wspomnienie przeżytego strachu mocniej ścisnął jej rękę.

- Ich niechęć do komunikowania się ze sobą naraziła cię na poważne niebezpieczeństwo.

Victoria zatrzymała się i spojrzała mu w oczy.

- A ja bałam się o ciebie.

- Naprawdę?

Wydawała się taka silna i zarazem krucha. Sama potrzebowała opieki, a jednocześnie była zdecydowana bronić go jak lwica.

- Oczywiście. Przecież jesteś moim mężem, Sinclairze Grafton. Bardzo dużo dla mnie znaczysz.

Objął ją i mocno przytulił. Nowe życie wydawało mu się bardzo kuszące, ale drogę do szczęścia zagradzała im poważna przeszkoda. Wiedział, że najpierw musi ją usunąć.

Ponieważ sypialnia pana domu była zajęta, Victoria zwabiła Sinclaira do swojego prywatnego saloniku. Lord Baggles w ostatniej chwili czmychnął z sofy, ratując się przed zmiążdżeniem. Dobrze, że Mungo Park gdzieś się zapodział. W ciągu zaledwie kilku tygodni nieznośne ptaszysko wydatnie rozszerzyło swój zasób słów.

Gdy po jakimś czasie wyszli z pokoju, zbliżała się już już pora kolacji.

- Przestań - powiedziała Victoria, odsuwając ręce Sina od swoich włosów, luźno związanych wstążką.

Roześmiał się i chwycił ją w ramiona.

- Powinnaś zawsze tak je nosić. Wyglądasz jak księżniczka z bajki.

- O, tak. Już widzę się u Almacków z rozpuszczonymi włosami. Pomyśleliby, że kompletnie zdziczałam.

Sinclair odgarnął długie sploty i pocałował ją w kark.

- Więc chodź tak po domu. Ja przecież wiem, że jesteś dzikuską.

Victoria parsknęła śmiechem i poklepała męża po policzku.

- Całkiem oszalałeś.

Kamerdyner już stał na swoim posterunku w drzwiach jadalni. Lewe oko miał podbite i spuchnięte, ale wyraz twarzy niemal wesoły.

- Dobry wieczór, Milo. Wszystko w porządku?

- Tak, lady Althorpe.

- A jak Roman? - zainteresował się Sinclair.

- Musiałby pan jego spytać, milordzie. - Wargi służącego lekko drgnęły. - Okazał się... ustępliwym człowiekiem. Zgodnie z pańskim życzeniem, już nie będzie między nami żadnych nieporozumień.

- Cieszę się, że to słyszę.

Gdy mąż podsunął jej krzesło, Victoria musnęła ustami jego policzek.

- Myślę, że jesteś w stanie dokonać wszystkiego, skoro udało ci się pogodzić tych dwóch.

Bursztynowe oczy Sina rozjaśnił uśmiech.

- Dziękuję. Prawie ci wierzę.

Wieczorem lord Kingsfeld już wychodził z domu, żeby złożyć wizytę Sinclairowi Graftonowi, gdy on sam zapukał do jego drzwi.

- Wprowadź go - polecił Geoffreysowi i zasiadł w bibliotece z tomikiem poezji.

Chwilę później do pokoju wszedł markiz.

- Cieszę się, że zastałem cię w domu, Astinie.

- Rozgość się, chłopcze. CO tnoęg dla ciebie zrobić?

Lord Althorpe zagłębił się w fotelu stojącym po drugiej stronie kominka.

- Zastanawiałem się, czy masz resztę tego projektu, na który Marley rozlał brandy.

- Chyba tak. Właściwie to Thomas go pisał, a ja tylko nanosiłem uwagi.

- Przedstawiono go Izbie?

Mądrze zrobił, że pokazał mu część dokumentu. Gdyby Sinclair sam go znalazł, zaczęłby stawiać bardziej dociekliwe pytania.

- Niestety nie. Jeszcze nie był gotowy, a gdy zabrakło Thomasa... Cóż, straciłem do niego serce.

Sin spochmurniał.

- Nic dziwnego. Tak czy inaczej każdy drobiazg może się okazać pomocny.

Hovarth udał, że się waha, po czym odłożył książkę.

- Przez zupełny przypadek wpadło mi w ręce coś jeszcze. Nie wiem, czy się przyda, ale najlepiej, jak sam to ocenisz. - Zaczął szukać po kieszeniach. - Używałem go jako zakładki - wyjaśnił przeproszającym tonem, podając Sinclairowi nierówno oddarty kawałek kartki. - Dobrze, że postanowiłem jeszcze raz przeczytać Homera.

Gość rozwinął świstek i przebiegł go wzrokiem. Obserwując jego twarz, Astin pozwolił sobie na krótki uśmiech. Biedny Marley. Niechybnie zostanie powieszony, jeśli wcześniej Sin go nie zastrzeli.

- To pismo Marleya - stwierdził Althorpe. - Co to jest? List?

- Tak. O ile sobie przypominani, śmialiśmy się z niego w swoim czasie. Teraz już nie wydaje się zabawny.

- Brakuje większej części, ale od razu widać, że to pogróżka.

- W tamtym okresie atmosfera była bardzo napięta i prawie wszyscy pisali do siebie niemiłe listki. Ten może nic nie znaczyć.

- Albo dużo.

Gospodarz odchylił się na oparcie fotela i potrząsnął głową.

- Dziwne. Nigdy nie podejrzewałbym Marleya, ale kiedy wspomniałeś o swoich wątpliwościach co do niego, różne drobiazgi zaczęły się układać w pewną całość.

- W poniedziałek idę do sędziego. Jeśli sprawa pomyślnie się zakończy, będę miał wobec ciebie wielki dług, Astinie.

- Twój brat był moim najdroższym przyjacielem, Sin. Nic mi nie jesteś winien.

Młody Althorpe był tak wdzięczny za nowy dowód, że całkiem zapomniał o dokumencie, po którym przyszedł. Po jego wyjściu Kingsfeld nalał sobie brandy. Do aresztowania Marleya zostały tylko dwa dni, a potem nareszcie spokój. W sobotę czekało go jeszcze przyjęcie w Grafton House. Zapowiadał się miły weekend.

- Próbował odwrócić moją uwagę. - Sinclair chodził wokół stołu w Kerston House przy Weigh House Street. - Vixen miała rację. Nie zachowały się żadne kopie tego przeklętego projektu, bo Astin wszystkie zniszczył.

- A dowody? - zapytał Crispin, oglądając świstek. - Wystarczy ich, żeby skazać Marleya, ale Kingsfelda nie ruszysz.

- Tak. I to jest najgorsze. Miesiąc temu poszedłbym do Marleya i osobiście go zastrzelił.

- Co twoja Vixen wie na pewno? Nie możesz wszystkich jej opinii traktować równie poważnie i kierować się wyłącznie jej podejrzeniami. Szybko od tego oszalejesz.

- Ona dobrze zna Marleya. - Wyrwał Hardingo wi z ręki fragment listu. - Uważa, że nie jest zdolny do tak głębokich uczuć, żeby kogoś zamordować.

- Do tego nie trzeba głębi uczuć. Wystarczy chciwość albo strach.

- Sam rozważałem ten argument, Crispinie. Powiedz mi coś nowego.

- Po dwóch latach od zabójstwa nie znajdziesz niczego nowego. Na tym polega kłopot.

Sinclair pokiwał głową i zaczął znowu spacerować.

wać po pokoju. Wiedział, że coś jest nie w porządku. Dwa lata dreptania w miejscu i mylnych tropów, a tu nagle Kingsfeld znajduje dowody wskazujące na Johna Madsena.

- Astin twierdzi, że nie podejrzewał Marleya, póki nie wspomniałem mu o swoich wątpliwościach. Możliwe, że podałem mu go na widelcu.

Harding z ciężkim westchnieniem pochylił się nad stołem i przesunął jedną z figur szachowych.

- Kingsfeld był tamtej nocy u White'a co najmniej do jedenastej.

- A potem?

- Nie mam pojęcia. Jeśli trafił do jakiejś damy, nigdy się tego nie dowiemy, chyba że łaskawie nas o tym poinformuje.

- Uważam, że to bardzo interesujące, chłopcy - odezwał się Wally od drzwi.

Sinclair nie słyszał jego nadejścia. Był coraz bardziej zmęczony i sfrustrowany. W tym stanie rzeczywiście mógł przegapić ważny ślad i narazić wszystkich na niebezpieczeństwo.

- Co takiego? - spytał.

- Wiem, z którą damą Kingsfeld na pewno nie spędził tamtej nocy. - Wally podszedł do mapy Mayfair i wziął do ręki jedną z figurek. - Lady Jane Netherby opuściła Londyn dzień przed morderstwem i nie wróciła do końca sezonu.

Sin zatrzymał się w pół kroku.

-I?

- Jej urocza pokójówka Violet twierdzi, że przez miesiąc pani ubierała się na czarno i płakała.

- Nic dziwnego, skoro przyjaźniła się z Thomasem.

- Pojechały prosto do Szkocji, do babci lady Jane. Violet mówi, że jej pani dostała „London Timesa” z wieścią o śmierci twojego brata dopiero tydzień po przyjeździe do zamku McKairn.

Sinclairowi przebiegł po plecach zimny dreszcz.

- Chyba muszę złożyć wizytę lady Jane Netherby. Czy ktoś będzie mi towarzyszył?

- Za kilka dni Marley znajdzie się w więzieniu - rzekł Crispin. - Jesteś pewien, że chcesz zaczynać wszystko od nowa? Możesz powiedzieć żonie, że się pomyliła.

Althorpe przystanął w połowie drogi do drzwi.

- Myślisz, że śledzę Kingsfelda tylko ze względu na Victorię?

Wally odchrząknął.

- Sam musisz przyznać, Sin, że odkąd się ożeniłeś, coraz mniej czasu spędzasz na zbieraniu dowodów, a coraz więcej w sypialni.

W Sinclairze rozgorzał gniew i uraza.

- Słucham?

- Cóż, jesteś młodym żonkosiem...

- Sądysz, że lubię spotykać się z tymi nadętymi osłami? Że lubię chodzić na przyjęcia i tańczyć z ich córkami, wiedząc, że któryś z nich zabił mi brata?

- Ale poślubiłeś jedną z tych córek.

Sin ruszył ku Wally'emu. Nie dość że przez cały czas dręczyły go podobne wątpliwości, to jeszcze teraz najbliżsi przyjaciele czynili mu zarzuty.

- Może to powtórzysz?

Wally zbladł lekko i przysunął się do Crispina.

- Raczej będą od tej chwili milczał jak grób.

- Dobry pomysł - skwitował Szkot. - Jeśli kiedyś

zechcę popełnić samobójstwo, zwrócę się do ciebie po radę, Wallace.

- No, śmiało, zrzuć całą winę na mnie. Ja tylko cię poparłem.

- Niepotrzebnie.

- Mów, Harding - zażądał Sinclair.

Crispin wstał z krzesła.

- Przez pięć lat pilnowaliśmy nawzajem swoich pleców. Wiedzieliśmy, że możemy ufać tylko sobie. - Wzruszył ramionami. - Tak było najbezpieczniej.

- Co masz na myśli, do diabła?

- Dasz mi skończyć? - warknął Szkot.

Zaskoczony Sin umilkł.

- Słucham uważnie.

- Dziękuję. Po prostu przyszło mi do głowy, że szukasz sposobu, by wszystko pozostało po staremu.

- Zwlekając z dokończeniem sprawy?

- Tak. Trzy dni przed aresztowaniem zabójcy postanawiasz śledzić kogoś innego.

- Ja tylko chcę zyskać pewność. Muszę sprawdzić Kingsfelda. Z każdą chwilą wydaje mi się coraz bardziej podejrzany.

Crispin z westchnieniem wskazał na drzwi.

- Więc się upewnijmy.

- Nie oczekuj jednak, że zrezygnuję z Victorii Fontaine. Tak się składa, że mi na niej zależy. Przyznaję, że ogarnia mnie niepokój na myśl, że dawne życie się skończy, ale jednocześnie chcę spróbować nowych rzeczy.

Po dłuższej chwili Harding skinął głową.

- Porozmawiajmy z lady Jane Netherby.

- Czy ktoś łaskawie mi wyjaśni, o co chodzi? - ode-

zwał się Wally, idąc za nimi do drzwi wyjściowych,
- Właśnie ustaliliśmy, że Sin jest zakochany w żonie i chce dokończyć śledztwo, żeby się wreszcie zająć powiększaniem rodziny.

- Tak myślałem.

- Bardzo wątpię, baranie.

Sinclair zwolnił kroku. Do tej pory miał tylko jeden cel i wszystko, co nie pomagało w jego osiągnięciu, traktował jak przeszkodę. Teraz, dzięki żonie, zrozumiał, że oprócz wymierzenia sprawiedliwości zabójcy Thomasa istnieją w życiu inne ważne rzeczy.

- Idziesz, Sin? - zawołał Wally.

- Tak.

Dosiedli koni i ruszyli ku Bolton Street.

- Jak chcesz to rozegrać? - zainteresował się Crispin, gdy zaczęli wchodzić po wąskich frontowych schodach.

- Spytać wprost o Thomasa - odparł Sinclair, sięgając do kołatki.

- To coś nowego - szepnął Wally.

- Tak - zgodził się Harding. - Bezpośredni atak.

- Podoba mi się.

W progu stanęła kobieta w średnim wieku. Na jej twarzy odmalowało się zaskoczenie.

- Czym mogę panom służyć?

Sinclair nie pomyślał wcześniej o tym, żeby sprawdzić godzinę.

- Mam pilną sprawę do pani domu. Proszę jej przekazać, że lord Althorpe chce się z nią zobaczyć.

- Proszę zaczekać - bąknęła ochmistrzyni i zamknęła im drzwi przed nosem.

- To było niegrzeczne - stwierdził Wally. - Nawet nie raczyła wprowadzić nas do saloniku.

- Ja również bym tego nie zrobił na jej miejscu. Wyglądamy niezbyt sympatycznie.

Drzwi otworzyły się ponownie.

- Proszę, milordzie. Niestety pańscy przyjaciele muszą odejść.

- Zostaną przed domem.

Kobieta zawahała się, po czym skinęła głową.

- Proszę iść na górę, milordzie. Pierwsze drzwi na prawo.

- Dziękuję.

Bawialnię oświetlała jedna lampa stojąca w kącie, a pani domu siedziała w fotelu daleko od źródła światła. Gdyby nie miała na sobie zwykłej niebieskiej sukni, tylko powłóczystą białą szatę, Sinclair pomyślałby, że trafił do teatru. Tylko strach w jej oczach był całkiem realny.

- Lord Althorpe - powiedziała cichym, melodyjnym głosem. - Co pana do mnie sprowadza?

- Mam kilka pytań. Może potrafi pani na nie odpowiedzieć.

- Nie wiem, czego pan ode mnie oczekuje. Jestem dzisiaj bardzo zajęta. Moja babcia nagle zachorowała i jutro wyjeżdżam do Szkocji, żeby się nią zająć.

Na zewnątrz Sin zachował spokój, ale jego umysł pracował gorączkowo.

- Bardzo mi przykro. Czy dwa lata temu, kiedy został zamordowany mój brat, wyjechała pani z Londynu także z powodu babci?

Jane Netherby gwałtownie wciągnęła powietrze, a jej blada twarz poszarzała.

- Nie chcę rozmawiać o smutnych rzeczach.
- A ja owszem. Jak się pani dowiedziała o śmierci Thomasa?

Lady Jane przycisnęła dłoń do piersi i wstała z fotela.

- Proszę wyjść. Nie pozwolę się przesłuchiwać we własnym domu. A już na pewno nie panu.

- Chyba wiem, kto zabił mojego brata - ciągnął Sinclair, nie zważając na jej protest. - Jeśli teraz wyjdę, będzie pani musiała odpowiadać na pytania sędziego i adwokatów.

Kobieta opadła na sofę, jakby nagle straciła władzę w nogach.

- Nie mam dowodów, a on wszystkiego się wyprzeszepnęła. - Dzisiaj znowu mi o tym przypomniał.

Sinclair zrobił krok w jej stronę. Serce mu łomotało.

- Lord Kingsfeld jest szanowany, ale nie bezkar-ny.

Gospodyni zaśmiała się ironicznie.

- Ha! To pan tak uważa. Ja wiem lepiej.

- Jest pani winna Thomasowi prawdę.

- On nie żyje. Powinien być mądrzejszy.

Sin przymknął oczy.

- Mądrzejszy?

- Niepotrzebnie rozsierdził swoich kolegów z parlamentu. Proszę już iść. Nie powiem nic więcej. I lepiej, żeby ten człowiek się nie dowiedział, że pan go podejrzewa.

Zaczęła drżeć i Sinclair zrozumiał, że już nie wydobędzie z niej jednoznacznej odpowiedzi. Bardziej bała się mordercy niż jego.

- Dziękuję, lady Jane. Proszę przekazać babci życzenia powrotu do zdrowia.

Uciekła spojrzeniem w półmrok.

- Niech pan już idzie.

Przyjaciele cierpliwie czekali na niego przed domem.

- Chodźmy - rzucił, mijając ich szybkim krokiem. Ruszyli za nim.

- Co powiedziała? - spytał Wally.

- Że nic mi nie powie. Sprawca już wtedy ją postraszył, a dzisiaj znowu odwiedził i powtórzył groźby. Wymieniłem w rozmowie nazwisko Kingsfelda, a ona nie zaprotestowała.

- Niewiele nam pomogła - stwierdził Crispin, wyraźnie zniechęcony.

- Przeciwnie. Wiem, że Marley dużą część dnia spędził z moją żoną, w związku z czym nie mógł grozić samotnym, bezbronny kobietom.

- Chyba nie zrobisz niczego pochopnie? - zaniepokoił się Harding, chwytając go za ramię. - Sin?

- Nie - warknął Althorpe, uwalniając się z żelaznego uścisku.

Jego umysł nie chciał przyjąć do wiadomości, że Astin Hovarth zastrzelił Thomasa. Byli przyjaciółmi, na litość boską. Przyjaciółmi.

- Twoja żona będzie zadowolona, gdy się dowie, że miała rację - zauważył Wally.

- Na razie się nie dowie.

- Dlaczego?

Sinclair zmełł w ustach przekleństwo. Victoria nie potrafiła kłamać. Astin natychmiast by się zorientował, że go podejrzewają.

- Jutro jest u nas przyjęcie. Moja żona łątwo mogłaby się zdradzić. Nie wolno nam ryzykować. Kingsfeld już raz zabił bez skrupułów.

- Może więc skorzystam z okazji i odwiedzę Howarth House podczas nieobecności gospodarza? - zaproponował Crispin.

Sin potrząsnął głową.

- Obiecałem Vixen, że przyjdiesz. I tak będę musiał tłumaczyć nieobecność Batesa, bo pewnie nie zdąży wrócić. - Dostrzegłszy wymianę spojrzeń między przyjaciółmi, zmarszczył brwi. - Wracajcie do Kerston House i poszukajcie czegoś na Kingsfelda.

- A ty gdzie się wybierasz?

- Do domu. Znowu okłamywać żonę.

I modlić się, żeby kiedyś mu wybaczyła.

- Przyjęli zaproszenie? - ucieszyła się Victoria.

Sinclair nie wyglądał na równie szczęśliwego, ale doszła do wniosku, że jego brak entuzjazmu wynika z ostrożności.

- Bates chyba nie zdąży wrócić, ale Wally i Crispin będą. Muszę...

W tym momencie do pokoju wszedł Milo z trzema porcelanowymi talerzami.

- Każdy ma jakiś zielony element, milady.

- Który, twoim zdaniem, wygląda najbardziej przyjaźnie, Sin?

Mąż spojrział na nią ze zdziwieniem.

- Najbardziej przyjaźnie?

- To ważne. Chcę, żeby kolacja się udała.

Uśmiechnął się blado.

- Ja również. Wszystkie wydają mi się symp-

tyczne. Nie przypuszczam, żeby któryś źle się zachował.

Żona klepnęła go po kolanie.

- Drań! Milo, najbardziej podoba mi się ten z różami.

- Zaraz każę nakryć do stołu, milady.

Kamerdyner ukłonił się sztywno i wyszedł, a Victoria po raz kolejny spojrzała na listę gości. Na szczęście większość zaproszonych już dobrze się знаła.

- Masz coś przeciwko temu, żeby posadzić Crispina obok Luciena? A może lepiej nie drażnić niedźwiedzia?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, podniosła wzrok i zobaczyła, że mąż patrzył na nią z miną uczniaka, który spłatał figla nauczycielowi.

- O co chodzi?

Przysunął się i ujął jej dłoń.

- Wiem, że go nie lubisz i podejrzewasz, ale...

- Zaprosiłeś lorda Kingsfelda, tak? - Spuściła oczy, żeby nie dostrzegł w nich urazy. - Sam mówiłeś: „żadnych podejrzanych”. Wiem, jak ważne jest dla ciebie śledztwo, ale chciałam... żeby ten wieczór był nasz.

Musnął wargami jej palce.

- Nie mogłem go pominąć. - Pocałował wnętrze jej nadgarstka. - Obiecuję jednak, że dzisiaj nie będę szpiegował.

Victoria dobrze wiedziała, że Sin próbuje odwrócić jej uwagę, ale mimo wszystko patrzyła, zahipnotyzowana i drżąca, jak wolno sunie ustami w górę jej przedramienia.

- Ale wierzysz, że to może być Kingsfeld? - zapytała zduszonym szeptem.

- Wierzę, że zaraz będę się kochał ze swoją żoną - odparł niskim, uwodzicielskim głosem, wyjmując spinki z jej włosów.

- Drzwi są otwarte. I nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

Przesunął wargami w górę jej szyi.

- Pocałuj mnie.

- Ale... Och, jakie to przyjemne!... Nie obchodzi cię, że człowiek, który zabił twojego brata... będzie siedział dziś z nami przy stole?

Sinclair zamknął jej usta gorącym pocałunkiem. Ogarnięta namiętnością Victoria zaczęła pieścić szerokie ramiona i tors męża, drżąc od jego dotyku i słów szeptanych do ucha. Nie mogła wydobyć z siebie głosu. Wyciągnęli się na sofie.

- Sin...

Oboje drgnęli. W drzwiach stał Roman.

- Mniejsza o to - wymamrotał zmieszany i pośpiesznie cofnął się na korytarz.

- Wiedziałem, że jednak do czegoś się nadaje - mruknął Sinclair i spokojnie rozpiął żonie suknię.

Zsunął ją do pasa i przez chwilę całował nagie piersi Victorii, po czym sam zrzucił surdut, kamizelkę i koszulę. Victoria pomagała mu trzęsącymi się rękami, trawiona niecierpliwością.

W chwili największego uniesienia spojrzeli sobie w oczy pociemniałe od żądz. Potem długo leżeli bez ruchu, kompletnie wyczerpani.

- Pognietliśmy listę gości - stwierdził w końcu Sin.

Victoria się roześmiała, odgarnęła mu włosy z czoła i pocałowała czule.

- Niewielka strata. - Objęła go ramionami i wes-

tchnęła. - No, dobrze. Skoro zadałeś sobie tyle trudu, spróbuję przez jeden wieczór tolerować Kingsfelda.

- Dziękuję. Postaram się trzymać go z dala od ciebie.

- Lepiej nie. Przecież nie chcesz, żeby ktoś nabrał podejrzeń. Ostatecznie jesteśmy grupką beztro-skich, szczęśliwych hedonistów, prawda?

- Bardzo szczęśliwych - szepnęła jej do ucha.

Czy kiedyś odważy się wyznać, że ją pokochał? Wkrótce. Gdy tylko dopadnie Kingsfelda. Gdy wypełni swój obowiązek wobec Thomasa i zyska pewność, że już nic jej nie grozi.

- Jesteś bardzo przekonujący.

Musnął palcem miękkie, gładkie policzki.

- Cieszę się, że tak uważasz. Niestety muszę już iść. Mam dzisiaj jeszcze jedną sprawę do załatwienia. Victoria usiadła.

- Obiecuj, że zachowasz ostrożność.

- Tęskniłabyś za mną?

- Tak. A poza tym trzeba by inaczej usadzić gości. Sinclair zaśmiał się i schylił po rozrzucone ubranie.

- Nie możemy do tego dopuścić.

Jako tako doprowadziwszy się do porządku, pojechał do Izby Lordów. Dzięki jednej z pięciu butelek przedniej brandy Thomasa nakłonił urzędnika, żeby przyniósł mu odrzucone projekty sprzed dwóch lat. Poświęcił dwie godziny na przejrzenie pięciu pudeł i stwierdził, że brat napisał kilka nieudanych ustaw, ale żadna z nich nie była tak groźna dla portfeli jego kolegów parów jak szkic, który znalazła Victoria.

Gdy znudzony urzędnik przestał go pilnować,

Sinclair wśliznął się do drugiego pomieszczenia. Tym razem dokładnie wiedział, czego szuka, więc znalezienie odpowiedniego dokumentu zajęło mu niewiele czasu.

Hrabia Kingsfeld rzeczywiście pozbył się udziałów w kilku mniejszych spółkach związanych z Francją. Zatrzymał jednak należącą w całości do niego firmę, która mieściła się kilka mil od Paryża i wyrabiała części do gazowych lamp ulicznych.

Sin zmełł w ustach przekleństwo. Dobrze znał ten zakład. Odwiedził go nawet w towarzystwie jednego z generałów Bonapartego. Wątpił jednak, czy ze zmagazynowanych w widocznym miejscu rur i innych elementów zrobiono w czasie wojny choć jedną lampę. Fabryka zajmowała się bowiem produkcją broni. Muszkietów dla żołnierzy Napoleona.

Szybko odłożył papiery na miejsce, jeszcze chwilę pokręcił się po archiwum, podziękował urzędnikowi i wyszedł. Z wolna narastały w nim gniew i odraza. Widział w życiu niejedną zdradę, sam przed nią się nie cofał, gdy wymagało tego zadanie, lecz Astina Hovartha uważał za przyjaciela, ufał mu. Dzisiaj ten łajdak zasiądzie przy stole, który kiedyś należał do Thomasa, a on będzie musiał z nim konwersować i śmiać się z jego żartów. Wkrótce jednak znajdzie dowody, że to on zamordował mu brata, i wtedy zabije drania.

Coś było nie w porządku. Victoria usiadła na sofie, żeby pogawędzić z Lucy i Lionelem, ale prawie całą uwagę skupiła na wesołej rozmowie, która toczyła się w drugim końcu pokoju. Sinclair, Christo-

pher i Kingsfeld zachowywali się jak gdyby nigdy nic. Kit, owszem, w jego beztroski i radosny nastrój mogła uwierzyć, ale tamci dwaj?

- ...i oczywiście, kiedy Almack wybuchnął gniewem, nikt nie chciał powiedzieć o tym lady Jersey.

Victoria z roztargnieniem spojrzała na Parrisha.

- O czym?

- Miałaś rację - stwierdziła Lucy Havers z ciężkim westchnieniem. - Wcale cię nie słuchała.

- Przepraszam.

Przyjaciółka się roześmiała.

- Już dobrze. Gdybym miała takiego męża jak Sinclair Grafton, też przez cały czas bym się na niego gapiła.

Lionel uniósł brew.

- Chyba zaraz poczuję się urażony.

Lucy oblała się rumieńcem.

- Och, ja wcale nie...

- Nic z tego. Nie dam się udobruchać. Jutro porozmawiam z twoim ojcem.

- Co?!

Parrish cmoknął ją w policzek i wstał z sofy.

- I kto teraz gapi się na kogo? - zapytał i ruszył do innej grupki gości.

- O rany! - szepnęła Lucy.

Victoria ją uściskała.

- Wspaniała nowina. Ale jeśli Lionel tylko się z tobą drażni, nigdy mu nie wybaczę.

- Ja też. Poprosimy Marguerite, żeby zagrała?

- Świetny pomysł. Chętnie zatańczę.

W przeciwieństwie do Sinclaira nie obiecywała, że dzisiaj nie będzie nikogo szpiegować. Wiedziała, że

Kingsfeld w końcu popełni błąd, ale nie chciała czekać i zamartwiać się o męża podczas każdej jego nieobecności ani obawiać się o bezpieczeństwo Augusty i Kita. Może uda się jej sprowokować Astina Hovarth'a do popełnienia błędu i zdobyć dowód jego winy.

Marguerite nie trzeba było długo namawiać do gry, zwłaszcza kiedy Kit na ochotnika zgłosił się do przewracania nut. Victoria podeszła do grupki mężczyzn.

- Lordzie Kingsfeld, postanowiłam dać panu kolejną szansę - powiedziała, nie zwracając uwagi na Sinclair'a, który zrobił krok w jej stronę.

Hrabia się uśmiechnął.

- To będzie dla mnie przyjemność.

Gdy rozbrzmiały pierwsze takty walca, ruszyli na środek pokoju. Victoria z trudem pohamowała dreszcz obrzydzenia, kiedy partner objął ją w tali. Robię to dla Sinclair'a, pomyślała. Uniosła wzrok i popatrzyła w chłodne brązowe oczy Kingsfeld'a.

- Przeważnie się nie zgadzamy, więc może powinniśmy zrezygnować z wszelkich dyskusji - zagaił hrabia, odwzajemniając spojrzenie.

- Też się nad tym zastanawiałam i doszłam do wniosku, że jest temat, na który moglibyśmy rozmawiać bez obaw: Thomas Grafton.

Hovarthowi nawet nie drgnęła powieka.

- Byle nie o jego rysunkach - powiedział.

Znowu musiała sobie przypomnieć, że ma być czarująca. Z uśmiechem skinęła głową.

- Właśnie. Wyłącznie o nim samym.

- Zgoda. Od czego więc zaczniemy tę miłą konwersację?

- Otóż zauważyłam, że nigdy nie tańczył, pod-

czas gdy jego bracia robią to chętnie i dobrze. Wie pan, czy miał jakiś szczególny powód, żeby nie wychodzić na parkiet?

- Cóż, moja droga, Thomas uważał, że walc jest zbyt śmiały. Pani zapewne rzadko bywała na statecznych przyjęciach, gdzie daje się pierwszeństwo bardziej dostojnym tańcom.

- To prawda. Ale pan tańczy walca, i to doskonale.

- Ja nie jestem taki konserwatywny.

Skwitowała uwagę śmiechem i dyskretnie rozejrzała się po pokoju. Zobaczyła, że jej mąż rozmawia z Lucieniem i z Crispinem Hardingiem, a na nią na pozór nie zwraca uwagi.

- Sinclair twierdzi, że Thomas był najbardziej konserwatywnym człowiekiem, jakiego znał. Aż dziw, że się przyjaźniliście.

- Dlaczego?

Chyba mocniej ścisnął jej rękę, ale wyraz jego twarzy się nie zmienił.

- Rzecz w tym, że pańskie upodobania wydają się bardziej... liberalne. Prędzej pan i Sinclair powinniście zostać przyjaciółmi.

- Sin nie był liberalny, tylko lekkomyślny, co niezbyt mi się podobało. - Kingsfeld musiał coś wyczytać w jej oczach, bo się uśmiechnął. - Na szczęście zmałdzał z wiekiem.

- Ma pan zapewne na myśli jego przygody w Europie. - Właśnie zaczęła się ostatnia część walca i Victoria uświadomiła sobie, że czas ucieka. - Ja też uważałam go za hulakę i lekkoducha, póki nie zdradził mi powodów, dla których prowadził takie życie.

- A teraz?

- Teraz jestem zadowolona, że pomaga mi pan w ściganiu mordercy Thomasa. Przyznam jednak, że mam wątpliwości co do winy Marleya.

- Naprawdę?

- Tak. Zabójca zostawił pewne dokumenty, a Marley jest na to za sprytny.

Rozgniewała go. Dostrzegła to w jego oczach i lekkim skrzywieniu warg. Wstrzymała oddech, czekając w napięciu, żeby Marguerite powtórzyła ostatnie takty ze słynnym ozdobnikiem.

- Zabójca przez dwa lata nie dał się schwytać, moja droga, a te dokumenty, o których pani wspomniała, są chyba mało ważne, bo inaczej morderca już dawno stanąłby przed sądem.

- Myślę, że one są kluczem sprawy - szepnęła Victoria konspiracyjnym tonem. - To ja je znalazłam. Sinclair jeszcze ich nie widział. Zamierzam pokazać mu je rano jako niespodziankę.

Kingsfeld otworzył usta, ale zaraz je zamknął.

- Bardzo bym chciał, żeby pani przypuszczenie okazało się słuszne - rzekł w końcu. - Ale radzę nie łudzić się nadzieją. Może powinna pani pokazać te papiery najpierw mnie. Wolałbym, żeby Sinclair nie pomyślał, że próbuje pani bronić Marleya.

- Nie mam powodu go bronić, milordzie.

- Oczywiście, że pani ma. Sin wyznał mi, że tamtej nocy zniszczył pani reputację tylko po to, żeby sprowokować Marleya. Wyobrażam sobie jego zaskoczenie, kiedy się przekonał, że mu się nie udało, i sam wpadł we własne sidła.

Serce Victorii na chwilę się zatrzymało.

- Myli się pan - wykrztusiła.

- Nie sądzę. Może jednak pokaże mi pani te papiery?

Aż podskoczyła, gdy czyjaś ręka chwyciła ją za łokieć.

- Przepraszam, Vixen, ale wyglądasz, jakbyś potrzebowała łyka świeżego powietrza - rozbrzmiał za nią wesoły głos Alexandry Balfour.

- Tak.

Skwapliwie wzięła przyjaciółkę pod ramię. Wiedziała, że Kingsfeld starał się ją wzburzyć, ale jeśli mówił prawdę...

- Chodź, kochanie, jesteś blada jak płótno.

Pozwoliła się zaprowadzić do oranżerii. Kiedy Lex otworzyła duże przeszklone drzwi, do pomieszczenia napłynął wieczorny chłód.

- O, tak lepiej.

Victoria opadła na fotel, a Lord Baggles natychmiast skorzystał z okazji i wskoczył jej na kolana. Przytuliła policzek do miękkiego futerka.

- To nie tylko zmęczenie - stwierdziła Alexandra, siadając w drugim fotelu. - Co się stało?

- Nic. Gorąco mi.

- Oczywiście. Przecież jesteś delikatna jak mimosza. Nigdy nie wytrzymałaś więcej niż jeden taniec przez cały wieczór.

- Och, daj mi pomyśleć, Lex!

- Chcesz, żeby wszyscy sobie poszli? Lucien przegoni gości w ciągu niecałej minuty. Wierz mi. Kiedyś widziałam go w działaniu.

Victoria chwyciła przyjaciółkę za rękę.

- Nie odchodź.

- Dobrze, ale musisz mi powiedzieć, co tak bardzo cię zdenerwowało.

Mungo Park sfrunął z lampy i usiadł na oparciu fotela.

- „Pocałuj mnie, Victorio” - zaskrzeczał, naśladowując głos Sinclaira.

Jego pani wybuchnęła płaczem.

- Co się stało, kochanie? - zapytała Alexandra z troską.

- Sin ożenił się ze mną, żeby zrobić na złość Marleyowi - odparła, szlochając.

- Kingsfeld ci to powiedział?

- Tak. Wiem, że Sinclair nienawidzi Marleya i jest zdolny do wszystkiego, ale ja...

- Ty go kochasz.

- Byłabym głupia, gdybym się w nim zakochała, nawet gdyby nie miał ukrytego powodu, by mnie poślubić.

- Oczywiście, że miał powód. Dlaczego Kingsfeld mówi takie okropne rzeczy? I dlaczego Sinclair nienawidzi Marleya?

- Nie mogę ci powiedzieć!

- W porządku. Ale komu bardziej ufasz: Kingsfeldowi czy mężowi?

Victoria otarła oczy.

- Sinowi - wyszeptwała.

- No właśnie. Oddychaj głęboko. Nie powinnaś się denerwować.

- Od kiedy tak się martwisz o moje zdrowie? Wiesz, że jestem zahartowana.

Alexandra przez długą chwilę mierzyła ją wzrokiem.

- Może w takim razie się myłę.

Vixen łypnęła na nią podejrzliwie.

- W jakiej kwestii?

Przyjaciółka westchnęła, ale w jej oczach czaiła się radość.

- Kiedy ostatni raz miałaś... no wiesz?

- Oczywiście przed ślubem.

Lex uśmiechnęła się szeroko.

- O co chodzi? - zdziwiła się Victoria. - Sądzę, że po nocy poślubnej już nie...

- Niewiele wiesz, gąsko. Będziesz miała dziecko.

16

Gdy Sinclair zobaczył żonę tańczącą z Astinem Hovarthem, ogarnęły go gniew i niepokój. Nie usłyszał, co do niego powiedział Wally. Nie był zazdrosny, tylko przerażony. Kochał Thomasa, ale mylił się, twierdząc, że zrobi wszystko, żeby doprowadzić swoją misję do końca. Teraz wolałby zrezygnować z szukania zabójcy, niż stracić Victorię. Nie tylko ją podziwiał, ale kochał całym sercem. Nie zamierzał dopuścić, żeby stała się jej krzywda.

Czyjaś dłoń zacisnęła się na jego ramieniu.

- Co robisz? - syknął Crispin.

- Idę po żonę...

- Tutaj nic jej nie grozi. Poczekaj.

- Nie chcę czekać.

- Nie możesz teraz popełnić błędu.

Harding miał rację. Sin zacisnął szczęki i przez dłuższą chwilę obserwował tańczących. Dopiero kiedy zobaczył, że jak zwykle zaczęli się spierać, poczuł ulgę. Gdy Alexandra wyprowadziła Victorię z pokoju, otrząsnął się i wrócił do rozmowy. Jest bezpieczna, powtarzał sobie w duchu, patrząc, jak Kingsfeld idzie w jego stronę.

- Twoja żona jest świetną tancerką - powiedział hrabia, biorąc kieliszek porto od lokaja.

- Ty też nieźle sobie radzisz, Astinie - stwierdził

Kit z szerokim uśmiechem. - Chyba ani razu nie nadepnąłeś jej na palce.

Hovarth zerknął ku drzwiom, za którymi zniknęła lady Althorpe, i położył dłoń na ramieniu przyjaciela.

- Mogę zamienić z tobą słowo, Sin?

- Oczywiście. Wybaczcie na chwilę. I nie zakładaj się o nic z Kitem, Wally.

- Do licha! Przestań ostrzegać moje ofiary.

Sinclair z rosnącym niepokojem ruszył za Astinem w stronę rzędu okien. Jest bezpieczna, a on wkrótce złapie mordercę, powtarzał sobie w duchu. Tego wieczoru będzie jednak musiał złamać obietnicę, lecz Vixen go zrozumie.

- Wahałem się, czy o tym powiedzieć, ale w końcu uznałem, że to ważne - zaczął Kingsfeld ściszym głosem.

Serce Sinclaira zabiło mocniej.

- O co chodzi?

- Wiem, że chciałeś utrzymać swoje śledztwo w tajemnicy, ale kiedy tańczyliśmy, twoja żona wciąż mówiła o Marleyu. Twierdziła, że on nie jest zabójcą. Wspomniała również o jakichś tajemniczych dokumentach, które podobno wskazują prawdziwego mordercę. Nie muszę mówić, że się zaniepokoiłem. Gdyby w ten sposób rozmawiała nie ze mną, tylko z kimś innym, mogłaby zaprzepaścić twoją ciężką pracę oraz narazić na niebezpieczeństwo siebie i całą rodzinę.

Sina ogarnęła wściekłość i strach, jakich jeszcze nigdy nie doświadczył. Zacisnął pięści, żeby nie udusić Kingsfelda na oczach gości. Przeklęty drań

był tak pewny siebie, że śmiał mu grozić. Gniew wzbudziła w nim również nieostrożność Vixen.

- Zaraz z nią porozmawiam - warknął. - Głupia dziewczyna.

Tę ostatnią uwagę rzucił na użytek Hovartha i wymaszerował z pokoju. Nie znalazł Victorii w salonie ani w sypialni, więc bez pukania otworzył drzwi oranżerii. Jego żona siedziała w fotelu i szlochała, a Ałexandra Balfour głaskała ją po policzku. Obie aż podskoczyły na jego widok.

- Muszę zamienić słowo z Vixen - rzucił od progu. Lady Kilcairn wstała.

- Jest zmęczona, milordzie. Czy ta sprawa nie może poczekać?

- Nie.

- W porządku, Lex - wykrztusiła Victoria łamiącym się głosem.

Alexandra posłała Sinclairowi ostrzegawcze spojrzenie i wychodząc, cicho zamknęła za sobą drzwi.

- Chciałbym wiedzieć, co, na litość boską, sobie myślałaś, dzieląc się z Kingsfeldem swoimi podejrzeniami - zaczął Sin, ledwo nad sobą panując.

Miał ochotę biegać po oranżerii, żeby wyładować gniew, ale wszędzie pętały się koty, psy, wiewiórki i króliki.

Victoria spojrzała na niego załzawionymi oczami.

- Próbowałam ci pomóc...

- Pomóc? Wiesz, ile kłopotów mogłaś na nas sprowadzić?

Omam nie palnął, że naraziła się na niebezpieczeństwo. Przyznałby w ten sposób, że znowu ją okłamał, ukrywając swoje podejrzenia wobec

Kingsfelda. Gdyby wiedziała, jak bliska jest prawdy, nie by jej nie powstrzymało przed mieszaniem się do śledztwa.

- Czy to prawda, że ożeniłeś się ze mną tylko po to, żeby dokuczyć Marleyowi? - zapytała szeptem.

Sinclair zbladł. Nie miał w zanadrzu żadnych kłamstw - ani prawd - żeby ją uspokoić.

- Kto...

- Kingsfeld mi powiedział. Czy to prawda?

Astin Hovarth chyba pilnie studiował historię rzymskich wojen. Rozdzielił ich na kilka minut walca. Pomieszał mu szyki i nie zostawił czasu na żadne wyjaśnienia. Zresztą Victoria i tak by teraz nie uwierzyła w zapewnienia miłości.

- Chcę, żebyś zaraz z rana wyruszyła z Augustą i Kitem do Althorpe. Jeśli...

- Nie! Nigdzie nie pojedę!

- Nie możesz tu zostać, bo opowiadasz podejrzanym głupoty, żeby ich sprowokować. Nie będę spokojnie patrzeć, jak próbujesz sama schwytać mordercę.

Na widok bólu, oszołomienia, rozczarowania i gniewu w jej oczach zapragnął chwycić ją w ramiona i wytłumaczyć, że się o nią panicznie boi i nie zniósłby jej straty. Uznał jednak, że lepiej będzie ją tak zranić, żeby wyjechała bez protestu, niejako z własnej woli.

Jej intryga rzeczywiście mogła spłoszyć Kingsfelda. Z drugiej strony gdyby earl wpadł w panikę, mógłby nawet ją zabić. Sinclair nie zamierzał ryzykować.

- Wyjeżdżasz rano - powtórzył ostrym tonem. - Czy to jasne?

Po jej policzku spłynęła łza.

-Tak.

- To dobrze.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju. Nie próbował ukrywać, że pokłócił się z żoną. Doszedł do wniosku, że ich sprzeczka doskonale będzie tłumaczyć nagły wyjazd Victorii z Londynu. Na wszelki wypadek postanowił zadbać również o bezpieczeństwo babci Augusty i Christophera. Gdyby coś im się przytrafiło... Na samą myśl oblewał się zimnym potem.

Kiedy goście wyszli, postawił Miło na straży przed apartamentem Victorii, a sam udał się do stajni, gdzie już czekali na niego przyjaciele.

- Co się stało, do diabła? - zapytał Wally.

- Moja żona chce cię udusić - dobiegi z ciemności głos Luciena Balfoura.

- Świetnie ją rozumiem - odparł Sin. - Dzięki, że się do nas przyłączyłeś.

- Powiedzmy, że wzbudziłeś moją ciekawość.

- Crispinie, co zrobił Kingsfeld po wyjściu z sali balowej?

- Poszedł pogawędzić z twoją babcią. O niczym ważnym. Omawiali kalendarz spotkań towarzyskich przewidzianych na resztę tygodnia.

Sinclaira przebiegł dreszcz.

- Dobrze, że nie słyszałeś, jak obiecywałem, że powstrzymam się dzisiaj od szpiegowania. Astin myśli, że Victoria wie o morderstwie coś, czego my nie wiemy. Próbuje ustalić, gdzie wszyscy będą przez kilka następnych dni.

- Więc każdy powinien zmienić plany - stwierdził Kilcairn.

- Jutro wysyłam rodzinę z Londynu.
- To nie moja sprawa, ale jak zmusisz Vixen do wyjazdu? - zapytał hrabia.
- Celowo ją rozgniewałem. Na pewno pojedzie.
- A czego od nas oczekujesz?
- Sin wziął głęboki oddech.
- Gdybyś rozpuścił plotki, że Vixen mnie zostawiła, a ja się upiłem do nieprzytomności, byłbym ci bardzo wdzięczny.
- Nic trudnego. Domyślam się, że jutro nie będzie cię w parlamencie?
- Przyjdę, by się upewnić, że Kingsfeld tam jest.
- Odwiedzimy Hovarth House? - spytał Roman z wojowniczym błyskiem w oku.
- Ty zaopiekujesz się moją rodziną.
- Lokaj popatrzył na niego sceptycznie.
- Jak to wyjaśnisz?
- Tylko Vixen zna prawdę. Dla innych jesteś po prostu służącym.
- Właśnie twojej żony najbardziej się obawiam.
- Sin na moment zamknął oczy. Jeśli nawet będzie musiał do końca życia błagać Victorię o przebaczenie, uzna to za niewielką cenę za jej bezpieczeństwo.
- Nie sądzę, żeby zwracała dużą uwagę na otoczenie - powiedział. - Staraj się schodzić jej z oczu.
- To nie będzie łatwe - mruknął lokaj.
- Wally poklepał Romana po ramieniu.
- A Hovarth House?
- Właśnie. Jeśli zachowają zbytnią ostrożność, stracą czas, jeśli zbytnią śmiałość, zaalarmują Kingsfelda. Ale on i tak już był czujny.
- Na pewno nie trzyma w domu niczego, co wią-

załoby go z morderstwem. Chcę jedynie go nastraszyć.

Harding zaklął pod nosem.

- Sin...

- Nie dajcie się przyłapać, ale niech Kingsfeld wie, że ktoś grzebał w jego rzeczach.

- Gdy znikniesz z parlamentu, domyśli się, że to ty - zauważył Crispin. - Nadstawiając karku, nie rozwiążesz zagadki ani nie ochronisz swoich bliskich.

- Nie zamierzam ryzykować. Przynajmniej nie teraz.

- Więc gdzie będziesz?

- Przy aresztowaniu Marleya.

Z mroku dobiegł śmiech Luciena.

- Cieszę się, że zostaliśmy sojusznikami, Althorpe.

- Kingsfeld do mnie przyjdzie, żeby wybadać, co się stało. Wymyślę jakąś opowieść.

- Lepiej żeby była wiarygodna, bo inaczej cię zabije.

- Chyba że ja zrobię to pierwszy.

- Ale...

- Poczuj ulgę, gdy Marley trafi do aresztu. Natomiast gdy stwierdzi, że przeszukano jego gabinet, będzie zdezorientowany. Zjawi się u mnie, a ja uraczę go swoją historyjką i poproszę o jeszcze jakiś dowód przeciwko Marleyowi. Na przykład o resztę liściku z pogrózkami. Nie bierzcie go, jeśli znajdziecie. Niech sam go pokaże. Wtedy dopadniemy drania.

- Jezu! - westchnął Harding. - Mam nadzieję, że Bates wróci, nim zabawa się skończy.

- Ja również. Muszę wysłać go do archiwów parlamentu, żeby przypadkiem nie zniknęło z nich pa-

rę dokumentów. Dam wam listę tego, czego powinniście szukać.

- Więc lepiej już chodźmy. Musimy z Wallace'em zrobić przed świtem kilka rzeczy.

- Ja też - stwierdził Kilcairn. - Powodzenia, Althorpe.

- Zobaczymy się jutro.

Victoria zastanawiała się, czy ktoś umarł z powodu złamanego serca. Przez całą noc siedziała w oranżerii i rozmyślała, jak wszystko naprawić. A może nie miała co ratować? Może Sinclairowi nigdy na niej nie zależało? Zakochała się w mężczyźnie, który nic nie wiedział o miłości.

Musiał jednak coś do niej czuć. Nie potrafiła uwierzyć, że wszystkie miłe słowa, czułe dotknięcia, spojrzenia były kłamstwem. W dodatku nie tylko ona odczuje skutki swojej naiwnej wiary i zaufania. Wczoraj płakałaby z radości na wieść, że nosi jego dziecko. Teraz ścisnęło ją w gardle z żalu i rozczarowania.

Nagle cicho otworzyły się drzwi.

- Milady? Jego lordowska mość kazał mi spakować pani rzeczy.

- Dobrze.

- Ale... jak długo pani nie będzie?

Victoria zdjęła z kolan śpiącego Lorda Bagglesa.

- Nie wiem, Jenny.

Kiedy Sinclair zakończy śledztwo, w ogóle nie będzie jej potrzebował. Całkiem możliwe, że zostawi ją w Althorpe albo w jednej ze swoich mniejszych posiadłości.

Wstała z fotela, żeby zdjąć wieczorową suknię i za-

łożyć strój podróżny. Mogłaby tupnąć nogą, zrobić scenę i odmówić wyjazdu, ale po co, skoro jej nie kochał. Była na siebie zła, że wbrew rozsądkowi obdarzyła uczuciem Sina Graftona, i teraz kilka ostrych, nieczułych słów wyróciło jej świat do góry nogami.

- A co z pani małżeństwami?

Victoria drgnęła.

- Właśnie...

- Powiem Milo, żeby się nimi zajął - uspokoił ją Sinclair, stając w drzwiach.

W przeciwieństwie do niej wyglądał na całkiem opanowanego i wcale nie zmartwionego jej wyjazdem. Nic dziwnego, skoro jej tu nie potrzebował.

- Chciałabym wyjechać już teraz - oznajmiła.

- Powóz czeka.

Na znak markiza kilku lokajów wbiegło do pokoju i wzięło jej bagaże. Sinclair nie ruszył się z miejsca, tylko na nią patrzył. W Victorii rozgorzał gniew. Na pewno nie będzie płakać, nie przy nim.

Dumnym krokiem wyszła na korytarz. Na podestwie mąż podał jej ramię.

- Prędej złamię kark - mruknęła i sama ruszyła w dół po schodach.

Gdyby jej dotknął, zrobiłaby coś głupiego i upokarzającego, na przykład objęła go za szyję i zaczęła błagać, żeby pozwolił jej zostać.

- To dla twojego dobra.

- Raczej dla twojej wygody.

Po raz drugi zlekceważyła jego wyciągniętą dłoń i przy wsiadaniu do powozu skorzystała z pomocy Milo. Wiedziała, że powinna przekazać mężowi nowinę o dziecku, ale nie była to odpowiednia pora.

Mógłby uznać, że próbuje wzbudzić w nim litość i nakłonić do zmiany decyzji.

- Augusta i Kit czekają na ciebie w Drewsbury House. Z Londynu do Althorpe są dwa dni drogi. - Sinclair wyciągnął rękę, jakby chciał dotknąć jej policzka, ale zaraz ją opuścił. - Już niedługo, Victorio.

- Tak. Teraz nic nie powinno cię rozpraszać i odciągać od najważniejszej sprawy.

Szywno skinął głową i zamknął drzwi. Gdy powóz ruszył, Victoria uświadomiła sobie, że może go już nigdy nie zobaczyć. Odchyliła głowę na oparcie siedzenia i zapłakała.

Pójdiesz za to do piekła, pomyślał Sinclair, patrząc, jak karoca znika w oddali. W głębi duszy chciał, żeby Victoria wpadła w szal, wróciła i zaczęła okładać go pięściami. Nie broniłby się przed razami. Widać jednak skutecznie udało mu się rozgniewać i upokorzyć żonę. Będzie miał wielkie szczęście, jeśli w ogóle zdoła przekonać ją do powrotu.

- Cholera! - zaklął pod nosem i ruszył w stronę domu.

Kamerdyner i lokaje łypali na niego jeszcze bardziej nieprzyjaźnie niż wtedy, gdy wprowadził się do Grafton House.

Już tęsknił za Victorią, marzył o tym, żeby wziąć ją w objęcia. Musiał szybko dokończyć sprawę, najlepiej zastrzelić Astina Hovartha.

- Jakies polecenia, milordzie? - zapytał Milo oficjalnym tonem.

- Jadę do parlamentu, ale zamierzam wrócić na obiad.

- Dobrze, milordzie.

W Izbie Lordów zjawił się dokładnie dwadzieścia siedem minut później. Wchodząc chwiejnym krokiem do głównej sali, zauważył, że Kilcairn i Kingsfeld już są. Marleya oczywiście nie było.

- Dzień dobry, panowie - wybełkotał i zataczając się, ruszył przejściem między ławami.

W spojrzeniach parów malowała się raczej wyrozumiałość niż oburzenie czy niesmak, co oznaczało, że Kilcairn dobrze wypełnił zadanie.

- Coś przegapiłem? - zapytał Sinclair, opadając na wolne miejsce obok Kingsfelda.

Sąsiedzi natychmiast go uciszili syknięciami.

- Nic ważnego - powiedział szeptem hrabia. - Co się stało, Sin?

- Przez ciebie Vixen myśli, że ożeniłem się z nią na złość Marleyowi - odwarknęła.

Nie musiał udawać gniewu. Hovarth zabił mu brata, a teraz przekreślał szanse na szczęśliwe życie z Victorią.

- My tylko żartowaliśmy. Nie sądziłem, że twoja żona potraktuje moje słowa poważnie.

- Ale potraktowała. Dziś rano wyjechała.

- Cii!

- Wyjechała? Dokąd?

Sinclair wzruszył ramionami.

- A kto to wie? Nie raczyła mi powiedzieć. - Przynął się bliżej. - Nie widziałaś Marleya?

- Nie. Nie masz pojęcia, dokąd uciekła twoja żona? Do diabła, Kingsfeld naprawdę zamierzał zrobić jej krzywdę. Sinclair sposepniał.

- Nawet nie pytałem i nie chcę o tym rozmawiać.

- Rozumiem, chłopcze. Oczywiście. Więc planujesz doprowadzić do aresztowania Marleya?

- Na pewno nie pozwolę, żeby ten drań kręcił się na wolności, kiedy nie wiem, gdzie jest moja żona. - Choć z trudem hamował furię, rozmowa szła mu lepiej, niż się spodziewał. Postarał się, żeby Hovarth poczuł whisky, którą przed wyjściem obficie skropił sobie krawat. - Zamierzałem cię wczoraj spytać, czy nie masz reszty tego świstka z pogrózkami. Nie chcę, żeby potem jakiś cholerny adwokat stwierdził przed sądem, że to list Marleya do ukochanej chorej cici.

- Możliwe, że wykorzystałem go do zaznaczenia strony w innej książce - odszepnął Kingsfeld. - Spróbuję go odszukać.

- Bardzo by się przydał.

- Lordzie Althorpe!

Sinclair spojrział na dolne rzędy. Hrabia Liverpool piorunował go wzrokiem, zaciskając usta w wąską kreskę.

- Słucham, milordzie.

- Debatujemy o sprawach podatkowych - rzucił premier ostrym tonem. - Ma pan coś ważnego do dodania?

Od czasów szkolnych nie przemawiano do niego w taki sposób, ale był gotów wiele znieść, żeby osiągnąć swój najważniejszy cel. Uśmiechnął się półgębkiem.

- A co chcemy opodatkować? Niech zgadnę. Hm. Zresztą to nieistotne. Tak czy inaczej chodzi o spłacenie kolejnych długów Prinny'ego.

W konserwatywnej części Izby rozległy się groźne pomruki, które szybko przybrały na sile, tak że

krzyk Liverpoola z trudem przebijał się przez ogólną wrzawę.

- Nie będziemy tolerować pana pijackich wybryków! To parlament, a nie burdel!

Sinclair wstał.

- Łatwo się pomylić - stwierdził z szerokim uśmiechem i ruszył do drzwi. - Miłego dnia, panowie.

Wychodząc, obejrzał się i zobaczył, że Kingsfeld spogląda na zegarek. Siedzący trochę dalej lord Kilcairn udawał, że drzemie, ale obserwował scenę spod przymrużonych powiek.

- No, dobrze, przyjmijmy, że Sin wysłał cię z domu, bo się posprzeczałyście. - Z każdą kolejną miłą Kit wyraźnie tracił humor. - Dłaczego w takim razie się uparł, żebyśmy jechali razem z tobą? My się z nim nie kłóciliśmy.

Victoria wystawiła twarz przez okno, żeby owiał ją wiatr. Nie chciała rozmawiać o powodach nagłego wyjazdu, ale Christopher okazał się równie uparty jak brat.

- Po prostu próbuje was chronić - odparła, zamykając oczy.

Szybko je otworzyła, bo kołysanie powozu omal nie przyprawiło jej o mdłości.

- Przed czym? Przed niebezpieczeństwami londyńskiego sezonu? Jutro wybierałem się na piknik z panną Porter.

- Hampshire jest takie ładne - stwierdziła raptem Augusta. - Zawsze je lubiałam.

Victoria usiadła prosto.

- Gdzie dokładnie teraz jesteśmy?

- Droga do Althorpe biegnie przez południową część hrabstwa - wyjaśnił Christopher i spochmurniał jeszcze bardziej. - Naprawdę chciałbym wiedzieć, przed czym Sin próbuje nas ochronić. To śmieszne. Nie widzieliśmy go od pięciu lat i już ma nas dosyć?

Dobrze rozumiała jego urazę. Sama ją czuła. Z drugiej strony wiedziała, że Sinclair, który obwiniał się za śmierć Thomasa, jest gotów na wszystko, żeby jego rodziny nie spotkała więcej żadna krzywda.

Na wszystko? Również na utratę żony?

Poprzedniego wieczoru sprawy ułożyły się po myśli Sina. Jeśli nawet nie wysiał Kingsfelda, żeby ją obraził i zdenerwował, to nie przepuścił nadarzącej się okazji, aby odesłać ją na wieś. Ale ona nie była bojaźliwą osóbką, która się podda.

- Zatrzymajcie powóz!

- Jesteśmy niecałą milę od gospody - powiedziała Augusta. - Tam odpoczniemy.

- Nie, teraz. Niedobrze mi.

Kit zerwał się z miejsca.

- Woźnica, stać! - ryknął i zabębnił pięściami w dach.

Gdy karoca stanęła, otworzył drzwi, zeskoczył na ziemię i podał jej rękę. Po wyjściu z dusznego pojazdu Victorii od razu przeszły mdłości, ale jej umysł nadal pracował gorączkowo.

Przez kilka minut spacerowała po trakcie zrytym koleinami, a Christopher dotrzymywał jej towarzysstwa. Wkrótce nadjechał drugi powóz ze służbą i bagażami.

- Już lepiej? - zapytał Kit.

- Chyba tak.

Dla zachowania pozorów nadal trzymała się za

brzuch i od czasu do czasu wydawała z siebie cichy jęk. Ile z tego, co powiedział jej Sinclair, było kłamstwem, a ile prawdą? Czy rzeczywiście usiłował ją chronić, czy po prostu chciał się jej pozbyć?

- Możemy jechać dalej?

Nie mogła w nieskończoność chodzić po gościńcu. Skinęła głową i ruszyła w stronę karocy. Po dwóch krokach zatrzymała się tak raptownie, że Christopher na nią wpadł.

- Przepraszam! - wymamrotał, chwytając ją za łokieć. - Chyba nam nie zemdlejesz, co?

- Nie wiem.

Woźnica odwracał głowę i zasłaniał twarz ręką, ale Victoria nie miała żadnych wątpliwości. Omal nie zaczęła śpiewać. Zaraz jednak naszała ją chłodna refleksja. To, że Sinclair wysłał razem z nimi Romana, nie oznaczało, że jego głównym celem nie było wyprawienie jej z domu.

- Woźnico! Muszę zamienić z tobą słowo.

Roman aż podskoczył na koźle.

- Woźnico!

- Tak, milady - mruknął lokaj i niechętnie zszedł na ziemię.

- Vixen...

- Wybacz, Kit. To potrwa tylko chwilę. - Podeszła do Romana i spytała: - Co tu robisz?

- Powożę, milady. Jeśli będzie pani taka miła i wróci na miejsce, pojedziemy do gospody Red Lion.

Red Lion. W umyśle Victorii zaczął się formować pewien plan. Najpierw jednak musiała zadać kilka pytań.

- Dlaczego Sinclair nie odesłał mnie do rodziców?

Lokaj odchrząknął.

- Nie wiem, milady.

- I dlaczego wypędził razem ze mną swoją rodzinę i oddał nas wszystkim pod twoją opiekę?

- Nie...

- Wracamy.

Roman zbladł.

- Nie zawiozę pani do Londynu - oznajmił stanowczo. - Dostałem inne polecenie.

Victoria nabrała przekonania, że Sinclair wcale się nią nie znudził. Rozejrzała się po pięknej okolicy, myśląc intensywnie, co zrobić z Augustą i Christopherem. Nie mogła narażać ich na niebezpieczeństwo tylko z powodu przecucia.

W końcu powzięła decyzję. Po nocy bezsenności i rozpaczycy łzy same napłynęły jej do oczu. Szlochając, podeszła do karocy.

- Co się stało, moja droga? - wykrzyknęła baronowa na jej widok.

- Nic. Po prostu jestem zmęczona.

- To zrozumiałe.

- Znajdujemy się bardzo blisko mojej dawnej szkoły.

- Akademii Panny Grenville? - Między brwiami lady Drewsbury pojawiła się lekka zmarszczka.

- Tak. Dyrektorką jest teraz moja dobra przyjaciółka Emma. Chciałabym ją odwiedzić, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Dojadę do Althorpe pod koniec tygodnia.

- Wykluczone, moje dziecko! Jeśli chcesz odwiedzić przyjaciółkę, pojedziemy z tobą.

Kit pokiwał głową.

- Nie opuścimy cię, zwłaszcza po tym, jak potraktował cię Sin.

- Dziękuję, ale potrzeba mi jedynie paru dni samotności. - Dostrzegłszy urazę w oczach szwagra, uśmiechnęła się i dodała: - Zresztą to szkoła dla dziewcząt i mężczyźni nie są do niej wpuszczani.

Augusta przyglądała się jej przez dłuższą chwilę.

- Mam nadzieję, że nie robisz tego z powodu zachowania Sinclaira - rzekła w końcu. - Myślę, że on bardzo cię kocha.

Victoria pociągnęła nosem.

- Chciałabym w to wierzyć.

- W porządku. Christopherze, powiedz woźnicy, żeby zawiózł nas do Akademii Panny Grenville.

- Dobrze, babciu.

Śledzenie Marleya zabrało Sinclairowi więcej czasu, niż przypuszczał. Wypytał kamerdynera, zajrzał do połowy klubów przy Pall Mail i wreszcie doszedł do wniosku, że "wicehrabia mógł pojechać do swojej wiejskiej posiadłości.

Wiedział, że póki John Madsen nie znajdzie się w areszcie, Kingsfeld nie poczuje się pewnie i Victorii nadal będzie grozić niebezpieczeństwo.

Postanowił wrócić do Madsen House i zmusić kamerdynera, żeby zdradził miejsce pobytu swojego pracodawcy, gdy nagle na granicy Hyde Parku dojrzał wierzchowca Marleya.

- Dzięki Bogu - mruknął pod nosem i puścił Diable w galop.

Chciał, żeby aresztowanie nastąpiło w miejscu publicznym, i wyglądało na to, że jego życzenie się

spełni. Parkowe alejki właśnie zaczynały napełniać się popołudniowymi tłumami, sprzedawcy oferowali lody i ciastka.

Galop w Hyde Parku był zabroniony, a w dodatku prawie niemożliwy, ale Sinclair nie zamierzał ryzykować, że straci z oczu tropioną zwierzynę. Wbił pięty w boki konia, przeskoczył ławkę i w pędzie ominął grupki siedzących na trawie.

Nie zważając na chóralne: „Hej, człowieku!”, „To ten cholerny Althorpe”, pognął dalej.

- Marley!

Wicehrabia obejrzał się, ale nie zdążył zareagować, bo Althorpe skoczył na niego prosto z końskiego grzbietu. Obaj runęli na ziemię. Sinclair zerwał się pierwszy i podniósł Marleya, chwytając go za klapy surduta.

- Co to ma znaczyć? - wybuchnął Madsen, odpychając napastnika.

- Chyba nie myślałeś, że uda ci się umknąć kary za zabicie mojego brata? - ryknął Grafton, wyciągając pistolet.

- Nie wiem, o czym mówisz!

- Nie? - Sin dzielił go łokciem w żebra i kiedy nieszczęśnik zgiął się wpół, szepnął mu do ucha: - Graj dalej. Później wszystko ci wyjaśnię.

- Nie!

Sinclair przytknął mu lufę do skroni.

- To nie była prośba.

- Jesteś szalony, Althorpe! - krzyknął wicehrabia naprawdę już przerażony.

- Morderca!

- Co się tu dzieje?

Nareszcie! W ich stronę biegli uzbrojeni policjanci. Sinclair odczekał, aż się zbliżą, i opuścił pistolet.

- Ten człowiek zabił mojego brata - oświadczył. - Proszę go aresztować.

- On zwariował! Nikogo nie zabiłem!

- Zobaczymy - burknął kapitan. - Obaj panowie pójdą z nami, żeby złożyć zeznania.

- Nie zamordowałem twojego brata, Althorpe! Jeśli Marley grał, świetnie mu to wychodziło.

Sinclair w głębi duszy żałował, że naraża wicehrabiego na takie upokorzenie, ale z drugiej strony dobrze pamiętał, że próbował on namówić Victorię do romansu.

- Będziesz się bronił przed sądem - odparował i zważwszy poruszenie w tłumie gapiów, dodał dla lepszego efektu: - Sprawiedliwości stanie się zadość.

- On jest pijany! - wrzasnął Marley. - Czuć od niego whisky!

- Dopilnujemy, żeby sprawa została wyjaśniona, milordzie. A teraz proszę z nami.

Gdy dowódca kazał ludziom się rozejść, Sin dosiadł wierzchowca i ruszył za policjantami eskortującymi wicehrabiego. Na myśl o spotkaniu z Kingsfeldem uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Vixen? - Emma Grenville uściskała ją mocno i wprowadziła do swojego gabinetu. - Jesteś ostatnią osobą, którą spodziewałabym się zobaczyć w Hampshire. Co tu robisz?

W odpowiedzi Victoria wybuchnęła płaczem po raz szósty albo siódmy tego dnia.

- Potrzebuję twojej pomocy - wykrztusiła.

Przyjaciółka wskazała jej krzesło i sama usiadła na wprost niej.

- Możesz na mnie liczyć - zapewniła rzeczowym tonem. - Przykro mi, że wcześniej mnie nie zastałaś i że musiałaś tak długo czekać.

- Nie szkodzi. I tak musiałam pomyśleć.

Emma zmierzyła ją wzrokiem.

- Molly powiedziała, że zjawiałaś się w towarzystwie młodego dżentelmena i starszej damy, ale odjechali bez ciebie.

- Tak, to krewni Sinclaira. Pojechali dalej do Althorpe.

- A lord Althorpe?

Pannie Grenville nigdy nie brakowało przenikliwości.

- To długa historia i nie wiem, czy zdążę ją opowiedzieć.

Emma wstała i wzięła ją za rękę.

- Więc lepiej zacznij od razu. Przy kolacji. Moje dziewczęta bardzo się ucieszą, że będą mogły cię poznać. Jesteś tu znana.

Victorii udało się roześmiać.

- Próbujesz mnie rozweselić. - Westchnęła głęboko. - Obiecuję, że kiedyś wszystko ci opowiem, ale na razie potrzebuję powozu, konia albo dorożki. Wracam do Londynu.

Przyjaciółka się zawahała.

- Dlaczego?

- Pokłóciliśmy się i Sinclair wysłał mnie na wieś. Zastanawiałam się nad jego motywami i doszłam do wniosku, że chciał uchronić mnie przed niebezpieczeństwem.

- Niebezpieczeństwem? Więc może powinnaś go posłuchać.

Victoria potrząsnęła głową.

- To ja się o niego boję. - Głos jej drżał, ale łez już zabrakło. - Sinclair uważa, że wie, co dla mnie najlepsze. Sama nie wiem, co dla mnie najlepsze, ale na pewno nie siedzenie na wsi, żeby on mógł ryzykować życie.

Przyjaciółka ścisnęła jej dłoń; w orzechowych oczach malowało się współczucie.

- Chciałabym kiedyś poznać twójego męża - powiedziała cicho. - Nigdy nie sądziłam, że moja Vixen się zakocha.

- Och, Emmo. Mam nadzieję, że ty również znajdziesz miłość. Czasami jest najgorszą rzeczą na świecie, która mogła ci się przytrafić, a czasami bywa... cudowna.

Panna Grenville wybuchnęła śmiechem.

- Po takiej rekomendacji chyba zostanę starą panną. Weźmiesz moją klacz Pimpernel, ale na pewno nie pozwolę ci jeździć po nocy.

Victoria spochmurniała.

- Mówisz jak dyrektorka, a jesteś tylko trzy lata starsza ode mnie.

- Jestem dyrektorką. A ty musisz dawać przykład moim uczennicom. Wyjedziesz rano. Zdażysz jeszcze opowiedzieć mi swoją historię.

Vixen najchętniej wyruszyłaby bezzwłocznie, ale wiedziała, że Emma ma rację. W ciemności pewnie by się zgubiła albo została napadnięta przez rozbójników. Pogłaskała jeszcze płaski brzuch. Teraz musiała się troszczyć nie tylko o siebie i Sinclaira.

Choć była zła na męża, bardzo za nim tęskniła. Pragnęła znaleźć się w jego ramionach, powiedzieć mu, że będą mieli dziecko, i zmusić go w końcu do wyznania, że ją kocha.

Westchnęła.

- Wszystko zaczęło się pewnego wieczoru u lady Franton.

Przyjaciółka się uśmiechnęła.

- To długa opowieść, prawda?

Victoria skinęła głową.

- I jeszcze nie ma zakończenia.

- W ogóle się nie pojawił?

- Nie, milordzie.

Sinclair Spiorunował Milo wzrokiem, ale wyglądało na to, że nie usłyszy od niego innej odpowiedzi. Dziwne, bo Kingsfeld powinien aż się palić do złożenia mu wizyty.

- Listu też nie było?

- Nie, milordzie. Żadnych gości, żadnej korespondencji.

- Cholera! - zaklął Sin pod nosem. Nienawidził tej części śledztwa, kiedy zrobił już wszystko i pozostało mu tylko czekać, aż ofiara wpadnie w pułapkę. - Będę z gabinetem, gdyby ktoś przyszedł.

- Dobrze, milordzie. Jeśli przyniosą pocztę, także jest pan w domu, jak przypuszczam?

Milo robił się bezczelny.

- Tak. Również dla domokrażców, kataryniarzy, wędrownych artystów i tańczących niedźwiedzi. Chcę widzieć się z każdym, kto zapuka do tych drzwi.

Gdy tylko przekroczył próg gabinetu, uświadomił sobie, że popełnił błąd. Na widok pustego biurka Victorii omal się nie cofnął. Niestety ucieczka nic by nie dała. Wszystko w Grafton House przypominało mu żonę: kwiaty w wazonie, wzór na tapecie, smugi słońca na podłodze.

Po dwóch latach wysiłków był bliski schwywania mordercy Thomasa. Powinien się cieszyć, a spacerował w kółko po pokoju i zastanawiał się, czy nie zranił Victorii zbyt mocno, by uzyskać jej przebaczenie. O miłości nie śmiał nawet marzyć.

Rodzice traktowali Victorię jak dziecko, nie wierzyli w jej rozsądek, zamykali w domu. On zrobił to samo, odesłał żonę do Althorpe, choć wiedział, że zrani ją tym do głębi.

Po godzinie stwierdził, że oszaleje od tego chodzenia. Sesja w parlamencie miała trwać całe popołudnie, ale było bardzo prawdopodobne, że ciekawość wcześniej wygoni Kingsfelda do domu...

W tym momencie otworzyły się frontowe drzwi, ale chwilę później Sinclair usłyszał kobiecy głos. Gdy wyszedł do holu, ku swojemu zaskoczeniu ujrzał najbliższą przyjaciółkę żony.

- Milady? Co pani... - Aż się zachwiał od ciosu w szczękę. - Do diaska! Za co to było?

- Jak mógł pan pozwolić jej wyjechać? - krzyknęła lady Kilcairn, zaciskając pięść, jakby chciała uderzyć go jeszcze raz.

- To nie pani sprawa - odparł sztywno.

- Możemy porozmawiać na osobności?

Sinclair wziął ją pod ramię i sprowadził po schodach na żwirowy podjazd.

- Przepraszam, jeśli panią obraziłem - powiedział, idąc ku czekającej karocy. - Nie zamierzam jednak dyskutować z panią na temat mojej żony. Nie dzisiaj.

- Dobrze, ale najpierw o czymś pana poinformuję.

- O czym?

- Victoria spodziewa się dziecka - oznajmiła lady Kilcairn z płonącym wzrokiem.

Ziemia zakołysała się pod nim tak mocno, że musiał usiąść na najniższym stopniu.

-Co?

Alexandra pokiwała głową.

- Domyśliłam się, że nic panu nie powiedziała. Uważam, że Vixen zasługuje na szczęście, a dla niej oznacza ono życie z panem, lordzie Althorpe. Nie wolno panu sprawić jej zawodu.

Po odjeździe lady Kilcairn Sinclair jeszcze długo siedział na schodach i niewidzącym wzrokiem patrzył w ziemię. Dziecko. To dlatego była taka zde-

nerwowana. A on okazał się kompletnym osłem. Miał zostać ojcem, lecz wcale na to nie zasługiwał... ani na Victorię.

Mimo wszystko dobrze zrobił, wysyłając ją na wieś. Przynajmniej będzie bezpieczna. Wkrótce sam pojedzie do Althorpe, przeprosi żonę i zapewni, że ją kocha. Wstał powoli i wrócił do domu, nie dostrzegając Milo, który stał w progu. Dobry Boże! Zostanie ojcem!

Już się zmierzchało, kiedy Sinclair ponownie usłyszał trzask frontowych drzwi i cichy szmer męskich głosów. Siadł na krześle z pistoletem w dłoni. Przez chwilę żałował, że usunął z gabinetu masywne biurko Thomasa. Wpakowanie Kingsfeldowi kuli w łeb z tego miejsca byłoby symbolicznym gestem sprawiedliwości.

Gdy drzwi się otworzyły, zacisnął palce na rękocyści, ale nikt nie wszedł do pokoju.

- Sin? Tu Crispin. Nie odstrzel mi głowy.

- Włącz, do cholery!

Kiedy Szkot ostrożnie wszedł do gabinetu, Sinclairowi oddech zamarł w krtani na widok jego ściągniętej i poważnej twarzy. Gdy za nim pojawił się Wally z jeszcze bardziej ponurą miną i Bates, Sin wstał tak gwałtownie, że przewrócił krzesło.

- Co się stało?

- Nie jesteśmy pewni. Przetrzęsaliśmy szuflady biurka i poprzestawialiśmy książki na półkach, żeby Kingsfeld nie miał wątpliwości, że ktoś buszował po jego domu. - Harding jeszcze bardziej sępniał. - To moja wina. Przyjechałem prosto tutaj, na wypadek gdybyś potrzebował pomocy. Wallace został na czatach przy Hovarth House.

- I?

Wally odchrząknął.

- Kingsfeld wrócił do domu, pięć minut później wypadł jak burza, dosiadł konia i odjechał. Uznałem, że zamierza złożyć ci wizytę, więc sam postanowiłem sprawdzić, czy Bates już jest. Wysłałbym go po dokumenty, o których mówiłeś.

Sinclair usiadł powoli na brzegu biurka.

- Gdzie jest Kingsfeld? - spytał przez zaciśnięte zęby. - Tu nie dotarł.

- Nie wiemy. Zanim się zorientowaliśmy, że nie ma go u ciebie, upłynęła godzina.

- Rozdzielimy się i przeszukamy kluby.

- Sin, my...

- Cholera, Crispin! Dlaczego tak długo czekaliście? - Dźgnął Szkota palcem w pierś. - Przepraszam, to moja wina. Próbowałem być sprytny zamiast po prostu zastrzelić drania.

- Już zaglądaliśmy do klubów - oznajmił Harding. - Także do Jacksona i wszystkich sklepów przy Bond Street.

Strach zmroził Sinclairowi krew w żyłach.

- Sprawdźcie jeszcze raz. Ja jadę do Hovarth House i lepiej, żeby Geoffreys wiedział, dokąd wybrał się jego pan.

- A jak sądzisz?

- Znajdźcie go, bo wolę się nie domyślać, gdzie może być - odparł grobowym tonem.

Astin nie był głupi, skoro przez dwa lata nikt go nawet nie podejrzewał. Sama Victoria mogła pojechać dokądkolwiek, natomiast w towarzystwie Augusty i Kita tylko w jedno miejsce. Sinclair tak bar-

dzo pragnął ich ochronić, że nieopatrznie wystawił na atak mordercy. Gdyby coś im się stało, nigdy by sobie tego nie darował.

- Sin?

- Spotkamy się tutaj za godzinę. Jeśli zobaczycie Kingsfelda, łapcie go natychmiast. Nie obchodzi mnie, jak to zrobicie.

Idąc przez hol ku drzwiom, spostrzegł, że na twarzy kamerdynera maluje się niepokój. Uznał, że pora okazać mu trochę zaufania.

- Milo, wybierz trzech lokajów, znajdźcie sobie jakąś broń i czekajcie na lorda Kingsfelda.

Służący wytrzeszczył oczy.

- Podejrzewam, że to on zabił Thomasa - wyjaśnił Sinclair. - Nie chcę, żeby jeszcze komuś zrobił krzywdę.

Kamerdyner rozprostował plecy.

- Jeśli przyjdzie, już nie opuści tego domu, milordzie.

Sin pokiwał głową.

- Wrócimy za godzinę. Im możesz ufać. - Wskazał na kolegów. - I lordowi Kilcainnowi również.

- Dobrze, milordzie.

Większość świec w Hovarth House była zgaszona, co Sinclair wziął za znak, że gospodarz jest nieobecny, a służba nie spodziewa się go w najbliższym czasie. Zabębnił do drzwi.

Minęła prawie minuta, nim pojawił się Geofreys.

- Lord Althorpe? Niestety lorda Kingsfelda nie ma w domu.

- A gdzie jest?

- Nie mogę powiedzieć, milordzie.
- Niedawno było do was włamanie, prawda?
Kamerdyner zrobił zdziwioną minę.
- Tak, milordzie. Skąd pan...

Sinclair bezceremonialnie usunął go z drogi, wszedł do holu i zatrzasnął za sobą drzwi.

- Wiem, bo dokonano go na moje polecenie.
Gdzie Kingsfełd?

- Ja... Proszę mnie puścić, milordzie.

- Prawie cię lubię, Geoffreys. Nie chciałbym, żebyś stracił zęby.

Pchnął kamerdynera na stolik.

- To bezprawie, milordzie.

- Tak. Odpowiadaj na moje pytanie. Natychmiast!

- Nie mogę, milordzie. Arthur! Marvin!

Do holu wpadli dwaj rośli lokaje.

- Chyba będzie pan musiał go puścić, milordzie - powiedział większy, zmierzając prosto na niego.

Sinclair wolną ręką sięgnął po pistolet i wycelował go w czoło Geoffreysa.

- Wasz pracodawca zamordował mojego brata. Pytam po raz ostatni, gdzie on jest?

- Ja nie...

Kamerdyner gwałtownie wciągnął powietrze i bezwładnie zawisł mu na rękach.

- Cholera! - zaklął Sinclair i wolno opuścił go na podłogę.

Kiedy się wyprostował, mężczyźni zaatakowali. Zrobił unik, ale jeden z napastników uderzył go w nogi i wszyscy trzej runęli na nieprzytomnego Geoffreysa. Sin zerwał się błyskawicznie i pierwszego lokaja, który próbował wstać, zdzielił w czoło

rękojeścią pistoletu. Szybko przekręcił broń w dłoni i wycelował ją w drugiego służącego, który właśnie dźwignął się na kolana.

- Jak masz na imię? - spytał, ocierając krew z wargi.

- M-Marvin.

- Zadam ci tylko jedno pytanie, Marvinie. Jeśli nie odpowiesz, strzelę ci w łeb i poczekam, aż twój kolega oprzytomnieje. Rozumiesz?

- Tak, milordzie.

- Świetnie. Gdzie jest Kingsfeld? Wystarczy domysł. Gdy lokaj się zawahał, uderzył go lufą w skroń.

- Czy wspomniałem, że nie żartuję? - warknął, mrużąc oczy.

- Auu! On mnie zabije!

- Ja też. Wolisz zginąć teraz czy później? Decyduj.

- Pojechał do Althorpe.

Serce Sinclaira na chwilę przestało bić.

- Sam?

Marvin potrząsnął głową.

- Wilkins i jeszcze dwaj ludzie mają się z nim spotkać w drodze.

Wilkins był głównym koniuszym Hovarthów, potężnie zbudowanym mężczyzną o groźnym wyglądzie.

- Co jeszcze mi powiesz?

- Kazano nam mówić, że earl pojechał do Kingsfeld w pilnej sprawie i niedługo wróci. Geoffreys wie tyle samo co my.

- W takim razie dobrze, że go nie zabiłem. Nie ruszajcie się stąd i bądźcie gotowi powtórzyć wszystko to, co przed chwilą mi powiedziałeś. Jeśli uciekniecie, i tak was znajdę. Jasne?

- Tak, milordzie.

Sinclair ruszył do wyjścia. Wątpił, czy choć jeden ze służących Kingsfelda zostanie w Londynie do świtu, ale nie miał czasu, żeby ich związać i sprawdzić, czy w domu jest ktoś, kto mógłby ich uwolnić. Chyba że...

- Rozmyśliłem się. Pójdiesz ze mną.

-Ale...

- Natychmiast!

Gdy wyszli przed dom. Sin gestem wskazał swojemu jeńcowi ulicę.

- Zawołaj dorożkę - polecił.

Sam dosiadł Diable. Na ogół spokojny wierzcho-wiec chyba wyczuł jego napięcie, bo zaczął nerwowo przestępować z nogi na nogę i parskać. Parę minut później Sinclair kazał Marwinowi wsiąść do pojazdu i nogą zamknął drzwi.

- Jak się nazywasz, człowieku? - spytał woźnicy.

- Gibben. A bo co?

-Jeśli zawieziesz tego człowieka do Grafton House i przekazesz go tamtejszemu kamerdynerowi, dostaniesz jeszcze dwa takie - powiedział, pokazując mu stufuntowy banknot. - Jak to brzmi, Gibben?

- Jak anielski śpiew, milordzie - odparł mężczyzna z szerokim uśmiechem.

Sinclair wręczył mu pieniądze.

- Kamerdyner ma na imię Milo. Powiedz mu, że pojechałem do Althorpe i że zapłatę dla ciebie znajdzie w dolnej szufladzie mojego biurka.

- Dobrze, milordzie.

- Jeśli dotrzesz do Grafton House bez tego człowieka, znajdę cię, Gibben.

Mężczyzna uśmiechnął się od ucha do ucha i schował banknot do buta.

- Odstawię go na miejsce, milordzie. Najwyżej trochę poobijanego.

- Byle żywego.

Dorożkarz uchylił kapelusza i popędził konie. Sfatygowany pojazd ruszył ulicą z niepokojącą szybkością. Sinowi niemal zrobiło się żal Marvinina.

Sam skierował się na południowy zachód. Nie zamierzał czekać na kolegów ani odpoczywać w drodze do Althorpe, póki nie weźmie Victorii w ramiona. I już jej nie puści.

- Nie podoba mi się, że jedziesz sama. Do Londynu jest wiele godzin drogi, a wszędzie czyhają rabusie. Victoria pocałowała przyjaciółkę w policzek.

- Nie boję się samotnych podróży. Zresztą nie ma nikogo, kto mógłby mi towarzyszyć.

- Mogę wysłać z tobą ogrodnika Johna. Albo jednego ze stajennych lorda Haverly, który mieszka niedaleko stąd.

- Poradzę sobie, Emmo. Za kilka dni przyślę powóz po Jenny.

- A co zrobisz, kiedy już dotrzesz do Londynu? Myślę, że lord Althorpe nie potrzebuje twojej pomocy.

- Może jest świetnym szpiegiem, ale nie ma pojęcia, co to znaczy być mężem - stwierdziła Victoria, dosiadając klaczy. - Zamierzam go wyedukować. I nie zostawię go, żeby sam stawił czoło Kingsfeldowi.

Tej nocy prawie nie spała, martwiąc się, że mąż będzie na nią zły i nie uwierzy w winę Astina Ho-

vartha. Jeśli earl go zrani albo zabije, ona też umrze. Wiedziała, że żaden inny mężczyzna nie da jej takiego szczęścia. Zmusi Sinclaira, żeby ją pokochał. Na pewno jej się uda.

- No, dobrze - powiedziała Emma z zatroskaną miną. - Wiem, że nie zdołam cię zatrzymać, ale, proszę, bądź ostrożna, Vixen. Kieruj się rozsądkiem, a nie sercem i nie zrób jakiegoś głupstwa.

Victoria się uśmiechnęła.

- Po to właśnie są serca.

Ścisnęła boki gniadej klaczy i ruszyła ku bramie dawnego klasztoru. Dziewczynki przyciskały nosy do szyb w oknach na piętrze, a ona przez chwilę zastanawiała się, która z nich jest następną Vixen. I czy jej córka kiedyś będzie uczyć się w tej szkole.

Dwie mile od Akademii Panny Grenville przystanąła na szczycie wzniesienia. Kręta droga była pusta jak okiem sięgnąć. Victoria obliczyła, że jeśli utrzyma dobre tempo, a pogoda się nie zmieni, dotrze do Londynu przed nocą.

- Nie traćmy czasu, Pimper...

Na odległym wzgórzu raptem ujrzała czterech jeźdźców. Puls jej przyspieszył. Idiotka, zbeształa się w duchu. Otaczały ją ziemie lorda Haverly, więc mogli to być jego ludzie, goście albo zwykli podróżni. Znajdowali się za daleko, żeby mogła dostrzec szczegóły, ale człowiek jadący na czele wyglądał dziwnie znajomo.

Raptem stanął jej przed oczami jeden z rysunków Thomasa: lord Kingsfeld na koniu. Po plecach przebiegł jej zimny dreszcz, serce zaczęło łomotać. Coś się stało Sinclairowi!

- O, nie - wyszeptała.

Krew odpłynęła jej z twarzy, w głowie się zakreśliło.

Jeźdźcy nie zatrzymali się na rozstaju dróg, tylko popędzili dalej na północ gościńcem zrytym koleinami. Kierowali się ku Althorpe. Victoria czym prędzej zawróciła wierzchowca i ruszyła w stronę rodowej posiadłości Sina inną drogą Augusta i Christopher nie wiedzieli, kim naprawdę jest Kingsfeld. Nie mogła pozwolić, żeby spotkała ich jakaś krzywda. Sin nie zniósłby kolejnej straty.

Miała trzy albo cztery mile przewagi nad hrabią i jego siepaczami. Przy odrobinie szczęścia dotrze do Althorpe przed nimi. Popędziła klacz. Musi zdążyć. Nie zawiedzie Sinclaira.

18

Tylko dzięki rysunkom Thomasa Victoria poznała, że jest w Althorpe. Jezioro, pagórki, brzoźowe i sosnowe zagajniki wydawały się tak znajome, jakby już kiedyś tu była.

Sam dom, biały i imponujący, okazał się jeszcze większy niż jej rodowa siedziba Stiveton. Nie miała jednak czasu go podziwiać, bo galopem wpadła na żwirowy podjazd.

- Halo! - zawołała.

Dopiero po dłuższej chwili frontowe drzwi się otworzyły i w progu stanął Roman.

- Lady Vixen! Na litość...

- Kingsfeld tu jedzie - wysapała.

- Do diabła! - Lokaj zbiegł po schodach i pomógł jej zsiąść z konia. - Sam?

- Nie. Ma ze sobą trzech ludzi. Gdzie Augusta i Kit?

- Jedzą obiad. Widzieli panią, milady?

- Chyba nie, ale nie jestem pewna. Na gościńcu są długie, płaskie odcinki.

- Rozumiem. Wejźmy do środka.

Musiała się wesprzeć na jego ramieniu, bo nogi odmawiały jej posłuszeństwa.

- Ile tu jest służby?

- Sześć osób, łącznie z kucharką i pokojówką. To

za mało, żeby stawić czoło czterem uzbrojonym mężczyznom.

- Myślisz, że są uzbrojeni?

- Na pewno.

Victoria weszła do jadalni.

Na twarzy Kita odmalowało się jeszcze większe zdumienie niż wcześniej na twarzy Romana.

- Vixen! Sądziłem...

- Posłuchaj mnie, proszę. Lord Kingsfeld jedzie tutaj z trzema ludźmi.

- Astin? Po co...

- Mój Boże! - szepnęła Augusta, blednąc jak papier.

- Sinclair i ja sądzimy, że to on zabił Thomasa - oznajmiła Victoria, żałując, że nie ma czasu, by delikatniej przekazać im tę wieść.

- Co? Nie! Nie wierzę!

- Christopherze, przyjmijmy na razie, że to prawda - powiedziała baronowa. - Co robimy?

- Czy w okolicy znajdziemy jakąś pomoc?

Kit potrząsnął głową.

- Nie o tej porze roku. Przez lato wszystkie wiejskie rezydencje są zamknięte na głucho.

- Idę przygotować powóz i natychmiast wyjeżdżamy - zdecydował Roman.

- Nie - sprzeciwiła się Victoria, kładąc mu dłoń na ramieniu. - Dogonią nas nawet na zmęczonych koniach. W otwartym terenie nie mamy szans.

- Naprawdę myślisz, że Astin zrobi nam krzywdę? - spytał Christopher, jednocześnie rozgniewany i oszołomiony.

Wcale mu się nie dziwiła. Jeszcze pięć minut temu Hovarth był jego drogim przyjacielem.

- Po co innego by tu przyjeżdżał? A ty jak sądzisz, Augusto?

Lady Drewsbury wolno potrząsnęła głową.

- Ja też nie widzę innego powodu. - Wstała od stołu. - To bardzo duży dom. Proponuję, żebyśmy się ukryli.

- Ukryli? Przed człowiekiem, który zamordował mojego brata? Nigdy!

- Lady Drewsbury ma rację - wtrącił Roman. - Jeśli się rozdziela, żeby was znaleźć, moje szanse będą większe.

- A kim pan jest, u licha? - zapytał Kit.

- Byłym szpiegiem ministerstwa wojny. Podobnie jak Sinclair.

- Szpiegiem... Dobry Boże, chyba tracę rozum.

- Później, Christopherze - ucięła babka cierpkim tonem. - Na razie poszukajmy jakiejś broni.

Zza uchylonego okna dobiegł chrzęst kopyt na żwirze.

- Już są! - zawołała Victoria w panice.

Roman wyjął z kieszeni pistolet.

- Pójdę ich przywitać - oznajmił z zawziętą miną.

- Nie. Zostaniesz tutaj i będziesz bronił Augusty i Christophera. Jasne?

- A kto ochroni panią, milady?

Zmierzyła go wzrokiem.

- Ja sama.

Lokaj bezceremonialnie chwycił ją za ramię i wypchnął do holu.

- Wszyscy na górę! - rozkazał tonem nie dopuszczającym sprzeciwu.

Althorpe wyglądało na opuszczone, ale przy schodach stała gniada, okryta pianą klacz. Człowiek, który złożył wizytę Graftonom, nie będzie miał więcej szczęścia od reszty rodziny Sinclaira, zwłaszcza tej suki, jego żony, która skierowała na niego podejrzenia.

- Nie zabijajcie nikogo, póki 'wszystkich nie zbierzemy w jednym miejscu - rozkazał Hovarth, zsiadając z wierzchowca. - Chyba że będziecie musieli.
- Tak jest, milordzie.

Frontowe drzwi były uchylone. Astin pchnął je lekko i zobaczył, że hol jest pusty. Dał swoim ludziom znak, żeby weszli, i sam ruszył za nimi.

Kiedy się dowiedział, że z Londynu wyjechała nie tylko lady Althorpe, ale również baronowa i jej najmłodszy wnuk, zrozumiał. Sinclair myślał, że postępuje sprytnie, prosząc o kolejne dowody winy Marleya, a tymczasem zastawiał pułapkę na najbliższego przyjaciela swojego nieżyjącego brata. Aresztowanie wicehrabiego zaskoczyło go, póki nie zobaczył swojego gabinetu. Pojął wtedy, że Sin próbuje go zmusić do zrobienia fałszywego kroku. Jego podła intryga omal się nie udała.

Gdy doszedł do wniosku, że Augusta, Kit i ta głupia gęś pojechali do Althorpe, rozwiązanie nasunęło mu się samo. Przy odrobinie szczęścia może uda mu się nawet zasugerować, że tragiczny w skutkach pożar wiejskiej rezydencji wzniecił Sinclair. Liczni świadkowie potwierdzą, że po nagłym wyjeździe żony nowy markiz zachowywał się jak człowiek niezrównoważony. Astin uśmiechnął się do siebie. Tak, to byłby doskonały sposób na zakończenie całej sprawy.

- W pokojach od frontu nie ma nikogo, milordzie - zameldował Wilkins.

- Chyba zobaczyli, że nadjeżdżamy. Odszukajcie wszystkich domowników i zgromadźcie ich w kuchni.

- W kuchni, milordzie?

- Właśnie tam wybucha najwięcej pożarów, prawda?

Victoria jeszcze nigdy w życiu tak się nie bała, ale jednocześnie płonął w niej gniew. To jej dom i będzie go bronić przed napaścią. Jest odpowiedzialna za rodzinę i służących, którzy razem z nią ukryli się w połączonych sypialniach.

Wolała nie myśleć teraz o Sinclairze. Musiała zaplanować bitwę.

- Romanie - szepnęła.

Lokaj podszedł do niej cicho.

- Niech się pani nie obawia, milady. Nie dopuszczę tych łotrów do pani.

- Musimy schwytać ich żywych.

- Żywych?

- Nie wiemy, czy mój mąż zdobył dowody potrzebne do skazania Kingsfelda.

- Proszę o wybaczenie, ale naprawdę mnie to w tej chwili nie obchodzi. Sin kazał mi pilnować pani jak oka w głowie.

- Tak? Ale jemu nie zależy wyłącznie na zemście. On pragnie sprawiedliwości.

- Chce, żeby pani była bezpieczna.

Victoria skarciła go wzrokiem.

- Nie kłóć się ze mną, Romanie. Potrzebuję twojej pomocy.

Lokaj westchnął.

- Mam nadzieję, że Sin mnie nie zabije. Co pani proponuje?

- Już mówiłam: musimy złapać ich żywych.

Roman zaśmiał się krótko i potrząsnął głową.

- Potrzebujemy dokładniejszego planu.

- Ty jesteś fachowcem. Wymyśl coś.

W tym momencie skrzypnęły drzwi i Victoria gwałtownie wciągnęła powietrze. Gdy w szparze ukazała się biała chustka, a potem głowa Kita, ona nie zemdlała z ulgi.

- Usłyszałeś nas?

- Nie, ale wiem, że coś knujecie. Jestem to i owo winien Kingsfeldowi. Tuż po pogrzebie powiedział, że nie jest w stanie zastąpić mi brata, ale zrobi wszystko, żebym tak bardzo nie odczuł jego braku. Pozwoliłem draniowi, żeby napisał mi list polecający do Oksfordu.

- Dobrze, możesz się do nas przyłączyć. - Vixen uścisnęła dłoń szwagra. - Oczywiście pod warunkiem, że będziesz ostrożny.

- Zgoda.

- Chwileczkę - zaprotestował Roman. - Nie pozwolę...

- Są dwa wyjścia - przerwała mu zdecydowanym tonem. - Możemy wchodzić ci w drogę albo naprawdę pomóc.

- W porządku - burknął lokaj. - Jeśli chcemy dostać ich żywych, musimy wyłapywać ich pojedynczo.

- Żywych? - powtórzył Kit, łypiąc na nich podejrzliwie.

- Chodzi o dowody - wyjaśniła bratowa.

- Racja.

Właśnie tłumaczyli plan Augustcie, gdy na schodach rozległy się kroki. Pokój, w którym znaleźli kryjówkę, był siódmym albo ósmym od podestu. Reszta domowników ukryła się w drugim końcu korytarza. Parę minut później Victoria usłyszała, że ktoś cicho otworzył piątę z kolei pomieszczenie.

- Gotowi? - zapytał bezgłośnie Roman stojący za drzwiami.

Skinęła głową. Wiedziała, że nie wolno jej popełnić błędu, bo nie dostanie drugiej szansy.

Ujrawszy, że klamka porusza się wolno, wstrzymała oddech. Siedziała na łóżku i nawet nie miała by dokąd uciec. Drzwi się uchyliły i do sypialni wszedł duży, krępy mężczyzna z pistoletem w ręce.

- Co do licha... - wymamrotał na jej widok.

- Dzień dobry - powiedziała z uśmiechem. - Cze-
kałam na pana.

Intruz uniósł broń.

- Pani jest Vixen?

- Tak. Chciałby pan wiedzieć, dlaczego tak mnie nazywają?

- Słodki...

Uderzony w tył głowy solidnym polanem, osunął się bezwładnie na dywan. Roman chwycił nieprzytomnego pod ramię i wspólnie z Kitem, który wygramolił się spod łóżka, zaciągnął go do garderoby.

- Jeszcze trzech - rzucił Christopher z zawziętą miną i sznurem od zasłon skrępował jeńcowi ręce na plecach.

Tymczasem lokaj zabrał mężczyźnie pistolet.

- Umie pan tym się posługiwać, panie Grafton?

- Oczywiście. - Kit schował broń do kieszeni. - Czekamy, aż zjawi się następny? To może potrwać godziny.

W tym momencie drzwi otworzyły się z hukiem.

Victoria krzyknęła i zerwała się do ucieczki, ale Kingsfeld był szybszy. Niczym imadło zacisnął rękę na jej kostce, a kiedy kopnęła go mocno drugą nogą, ją również chwycił i unieruchomił.

- Dość tego! - ryknął i uderzył ją w twarz.

Oszołomiona ciosem upadła na łóżko. Gdy hrabia podniósł ją szarpnięciem, zobaczyła, że w progu stoi drugi napastnik i celuje z pistoletu w Romana i Kita.

- Dobrze! - krzyknęła. - Poddajemy się!

- Słyszeliście - warknął Kingsfeld. - Rzućcie broń.

- Co to ma znaczyć, Astinie? - zapytała lady Drewsbury, wychodząc z przyległego pokoju.

W rękach ścisnęła wazon. Dostrzegłszy stalowy błysk w jej oczach, Victoria zrozumiała, po kim Sinclair odziedziczył siłę charakteru.

- Po prostu twój wnuk oszalał i nie zostawił mi innego wyjścia, jak ostateczne położenie kresu całej sprawie, droga Augusto. Odłóż to natychmiast.

Baronowa rzuciła wazon na łóżko.

- Co zamierzasz zrobić, morderco?

- Sprzątnąć bałagan. - Uśmiechnął się złowrogo. - Idziemy. Wszyscy.

Victoria pierwsza wyszła na korytarz. Gdy hrabia pchnął ją ku schodom, potknęła się i nagle zamarła. Przed nią stał Sinclair.

- Schył się! - krzyknął.

Natychmiast otrząsnęła się z osłupienia i wykona-

ła polecenie, a Sin z rozmachem zdzielił Kingsfelda pięścią w szczękę. Gdy Hovarth zatoczył się do tyłu, wróciła biegiem do sypialni i bez namysłu skoczyła na plecy jego pomagierowi. Jednocześnie Kit podciął mu nogi, ale mężczyzna zrzucił ją z siebie, ciskając na szafę, i runął na Kita całym ciężarem. Christopher z impetem uderzył głową w nocny stolik.

Napastnik odsunął z drogi zamrozonego chłopaka i zaczął pełznąć w stronę Victorii. W ostatniej sekundzie Augusta opuściła mu wazon na głowę. Zbir osunął się na dywan pośród brzęku tłuczonej porcelany.

Nagle rozległ się strzał. Kula ze świstem przeleciała przez pokój i utkwiała w ścianie. Victoria krzyknęła i przerażona wypadła z sypialni.

Jej mąż właśnie wyrwał mocniej zbudowanemu przeciwnikowi pistolet z ręki i zadał mu kolejny cios. Obaj upadli i potoczyli się korytarzem, zawzięcie okładając pięściami. W pewnym momencie hrabia zerwał się i wyciągnął nóż z buta.

- Sin!

Sinclair zrobił unik, a kiedy Hovarth ponownie zaatakował, schylił się raptownie, a następnie wyprostował, przerzucając go przez ramię. Kingsfeld z urywanym krzykiem spadł ze schodów i znieruchomiał na podeście z głową wykrzywioną pod dziwnym kątem. Grafton dopadł go w dwóch susach i wykopnął nóż z bezwładnych palców, po czym usiadł ciężko na najniższym stopniu. Dzięki Bogu, który czuwał na takimi głupcami jak on, zdążył na czas.

- Nie żyje? - zapytał z góry Kit, masując wielki guz na czole.

-Tak.

- Został jeszcze jeden.
- Jest w salonie i na razie nigdzie się nie wybiera.
- To dobrze.

Sinclair wstał powoli, kompletnie wyczerpany. Ze szczytu schodów patrzyła na niego Victoria. Włosy miała w nieładzie, wyraz twarzy nieodgadniony.

Już myślał, że więcej jej nie zobaczy i że nigdy nie znajdzie takiego szczęścia, jakie ona mu dała. Nawet teraz nie wiedział, czego się spodziewać. Okłamał ją, wykorzystał, uraził, sprawił jej ból. Niemożliwe, żeby mu wybaczyła.

Stanął przed nią z niepewną miną.

- Victorio - powiedział cicho.

Ze szlochem rzuciła mu się w ramiona.

- Jesteś cały? Powiedz, że nic ci się nie stało.

Zamknął oczy i wtulił twarz w jej włosy.

- Tak mi przykro - szepnął. - Przepraszam.

- Nigdy więcej mnie nie okłamuj - powiedziała z naciskiem.

Odsunął się i spojrzał jej w oczy.

- Czy to znaczy, że dajesz mi następną szansę?

- Oczywiście. Przecież cię kocham.

Przez dłuższą chwilę gapił się na nią oniemiały. Mur, który wokół siebie zbudował, zniknął bez śladu.

- Naprawdę mnie kochasz? - zapytał w końcu z niedowierzaniem.

Po gładkim policzku Victorii spłynęła łza.

- Tak. Bałam się o ciebie, więc pożyczyłam konia od Emmy Grenville i ruszyłam w drogę do Londynu, ale kiedy zobaczyłam Kinsfelda jadącego do Althorpe, zawróciłam, żeby ostrzec...

- Świadomie naraziłaś się na niebezpieczeństwo.

- Ty też.
- Wziął żonę w objęcia.
- Kocham cię - szepnął i pocałował ją żarliwie.
- Sinclairze, muszę ci coś powiedzieć - zaczęła ostrożnie Victoria.
- Już wiem.
- Spojrzała na niego ze zdziwieniem.
- I mimo to wysłałeś mnie na wieś?
- Nie, nie. - Przytrzymał ją mocno, żeby mu nie uciekła. - Dowiedziałem się wczoraj od Alexandry Balfour.
- Od Alexandry?
- Zdzieliła mnie pięścią, a potem przekazała nowinę o dziecku.
- We fiołkowych oczach rozbłysły iskierki.
- Lex cię uderzyła? Luciena nigdy nie biła.
- Odniosłem wrażenie, że jest na mnie zła, nawet wściekła. Na Boga, Victorio, pokonałaś konno całą drogę z Akademii do Althorpe? Na pewno dobrze się czujesz?
- Teraz tak.
- Pocałował ją znowu.
- Masz prawo mnie spoliczkować. Wiem, że cię zraniłem i rozgniewałem.
- Byłam zła, póki nie zrozumiałam twojego postępowania. Co cię w końcu przekonało, że to Kingsfeld?
- Zerknęła na podest, ale Sinclair czym prędzej zasłonił sobą przykry widok.
- Twoje argumenty. A poza tym odkryłem, że Astin miał pod Paryżem fabrykę lamp.
- Zabił Thomasa z powodu lamp?
- Tak się złożyło, że ją zwiedziłem, bo jeden z ge-

nerałów Bonapartego przegrał ze mną zakład o strzelbę, a ponieważ obaj byliśmy pijani, zabrał mnie do wytwórni broni. Dopiero teraz się okazało, że należała do Kingsfelda i że w czasie wojny wcale nie produkowano w niej lamp.

- Więc zasłużył sobie na śmierć - skwitowała Victoria z przekonaniem. - Myślisz, że twój brat odkrył prawdę?

- Astin pewnie się tego bał. Podobno Thomas zamierzał do projektu ustawy dołączyć listę wszystkich parów, którzy mają nieruchomości we Francji.

- Podejrzewał Kingsfelda, bo inaczej nie chowałby notatek.

Sinclair pokiwał głową, a następnie przeniósł wzrok na Christophera i babcię Augustę, stojących przy balustradzie.

- Przepraszam, że nie mogłem wam wcześniej nic powiedzieć.

- Mimo wszystko powinieneś być, ty ośle - rzucił Kit gniewnym tonem.

W tym momencie z hukiem otworzyły się drzwi wejściowe.

- Sin!

- Jesteśmy na górze. Wszystko w porządku.

Crispin z dudnieniem wbiegł po schodach, zatrzymując się na moment, żeby spojrzeć na ciało Kingsfelda.

- Dzięki Bogu! Zjeżdżając ze wzgórza, słyszeliśmy strzał.

Kilka sekund później zjawili się Wallace i Bates.

- Robię się za stary na takie rzeczy - wychrypiął Wally, dysząc ciężko.

- Nie szkodzi - powiedział Sinclair, przytulając żonę. - Właśnie przeszedłem na emeryturę.

- Obawiam się, Sin, że mamy jeszcze jedną sprawę do załatwienia w Londynie - wtrącił Harding.

Sinclair przez chwilę patrzył na niego pustym wzrokiem. Pomścił Thomasa, skończył ze szpiegowaniem i kłamstwami. Nareszcie mógł pomyśleć o przyszłości zamiast wciąż oglądać się przez ramię. Czekało go normalne życie: z żoną, dziećmi i stadkiem zwierząt. Chyba nie miałyby nic przeciwko temu, gdyby Victoria postanowiła przygarnąć osieroczonego słonia.

- Jaką sprawę? - zapytała Victoria, opierając głowę o pierś Sina.

- Marleya.

- Marleya? Przecież on nic złego nie zrobił, prawda?

- Nie licząc tego, że próbował mi cię ukraść.

- Nie miał najmniejszej szansy.

- Kazałem go aresztować, żeby wprowadzić Kingsfelda w błąd. Musimy wrócić do Londynu, zanim go powieszają.

Jej wargi drgnęły.

- Biedny John.

- Tak. Od tej pory tylko ja będę wpędzał cię w kłopoty.

Victoria roześmiała się i uściskała męża.

- Czy to obietnica?